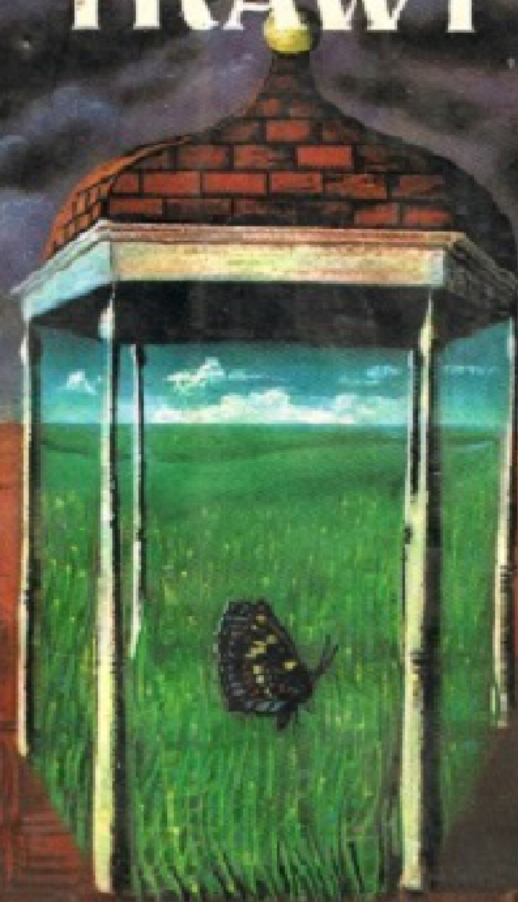
John Christopher

ŚMIERĆ TRAWY



FANTASTYKA PRZYGODA

JOHN CHRISTOPHER

ŚMIERĆ TRAWY

Tłumaczyła: Danuta Górska

NOTA O AUTORZE

John Christopher - tym pseudonimem brytyjski pisarz Christopher Samuel Youd. /Ur. 1922/ podpisuje swoje utwory SF, z których jest najlepiej znany. Debiutował powieścią fantasy The White Swan l949, sygnowaną własnym nazwiskiem. Był aktywnym fanom SF jeszcze przed wojną; pierwszy utwór SF opublikował 1949 w "Astounding Science Fiction" The Christmas Tree". I954 wydał pierwszą książką SF, zbiór 20 opowiadań The Twenty Secund Century. Następna, ukazująca świat podzielony między ugrupowania byznesmenów, pt, The Year of the Comet /1955, US Planet In Perli/, była udaną powieścią, ale najlepszą pozostała jednak Śmierć trawy z 1956 US-No Blado of Grass - to także tytuł filmu zrealizowanego przez Cornela Wilde'a 1970.

Katastrofy, a raczej obrazy życia po katastrofie, to specialność JC z pierwszego okresu twórczości. Warto wymienić tutaj 3 tytuły: The World in Winter /1962 US–The Long Winter/. A Wrinkle ir. the Skin /1965, US–The Ragged Edge/ i Pendulum 1968, których bohaterowie z uporem walczą o przetrwanie w surowych warunkach i próbują budować egzystencję opartą na nowych podstawach. Wizerunek człowieka w tych powieściach, odartego z kultury i poczucia bezpieczeństwa, jest udanie naturalistyczny. Powieść The Possessore 1965 to zręczny horror SP, w którym na Ziemię przenikają inteligentne pasożyty z kosmosu.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych JC zmienił problematykę i adres swej twórczości - zaczął pisać powieści dla starszych dzieci począwszy od trylogii ukazującej bunt młodzieży przeciwko najeźdźcom z kosmosu, którzy ubezwłasnowolnili ludzkość: The White Mountains 1967, The City of Gold and Lead 1967 i The Pool of Fire 1968u JC powieści dla dzieci mają wartką akcję, ale i głębsze treści; okazały się niezwykle popularne, więc pozostał on pisarzem dla dzieci. Kolejno ukazywały się: The Lotus Cayes l969, The Guardians /1970, nagroda dziennika "Guardian" dla najlepszej młodzieżowej SP roku/. Dom and Va 1973, Wild Jack 1974, Empty World 1977, trylogia The Prince in Waiting 1970, Beyond the Buming Lands 1971 i The Sword of Spirits 1972. Podobnie jak z książkami dla dorosłych, młodzieżowa SP JC przeważnie rozgrywa się w warunkach postkatastrofleśnych oraz często

przeciwstawia romantyczny indywidualizm jakiejś formie konformistycznego lab totalitarnego systemu, czasem walka ta ukazana jest symbolicznie jako starcie dwóch nieprzystawalnych do siebie sposobów życia: na łonie natury i w wielkim mieście /np, Wild-Pack/.

W swojej najsłynniejszej powieści Śmierć trawy JC wykreował świat po katastrofie, która naruszyła równowagę w przyrodzie: czynnik kosmiczny wywołuje zagładę wszelkich traw, w tym zbóż. Jak pamiętamy, w powieściach Johna Wyndhama niewzruszony konserwatyzm klas średnich, do których zaliczają się jego bohaterowie, sygnalizują czytelnikowi, że kryzys, jaki oni przechodzą , zostanie na końcu szczęśliwie zażegnany. Inaczej jest u AC, o czyn świadczy rosnąca zatwardziałość i zwyrodnienie charakteru Johna Custance'a. Bohaterowie AC zamieszkują mroczniejszy, mniej zaciszny świat, do którego muszą się przystosować.

PROLOG

Jak to się czasem zdarza, śmierć położyła kres rodzinnej kłótni.

Kiedy wczesnym latem 1976 roku Hilda Cunstence owdowiała, po raz pierwszy od trzynastu lat, odkąd wyszła za ciąż, napisała do swojego ojca. Ich pragnienia połączyły się - Hilda tęskniła za wzgórzami Westmorlandu po ponurych latach spędzonych w Londynie, a on czuł się samotny i pragnął przed śmiercią ujrzeć jeszcze raz swoją Jodyną córkę i dwóch nieznanych wnuków. Chłopcy przebywali w szkole i nie wezwano ich na pogrzeb ojca, a po zakończeniu letniego semestru przyjechali do małego domku w Richmond tylko na jedną noc, żeby następnego dnia wyjechać z matką na północ.

W pociągu John, młodszy z braci, odezwał się:

- Ale dlaczego nigdy nie spotkaliśmy się z dziadkiem Beverley?

Jego matka spojrzała przez okno na brudne, ponure przedmieścia Londynu, wydające się falować w upale i jakby przytłoczone zmęczeniem.

- Nie bardzo wiadomo, jak się te rzeczy zaczynają - odpowiedziała wymijająco. - Zaczyna się od kłótni i nikt nie chce ustąpić, e potem kłótnie przeradzają się w milczenie, i nikt go nie chce przerwać.

Pomyślała o swoich spokojnych, beztroskich, dziewczęcych latach w dolinie i o burzliwym uczuciu, które ją porwało. Była wówczas przekonana, te cokolwiek złego by się nie stało, nigdy nie będzie żałować swego uczucia. Czas pokazał, że pomyliła się podwójnie: po pierwsze co do zadowolenia z małżeństwa i dzieci, a po drugie nie wierząc, te takie zadowolenie może wypływać z czegoś, co patrząc wstecz oceniała jako brud i zepsucie. Wówczas nie dostrzegała owego

zepsucia, ale jej ojciec musiał je widzieć i nie potrafił tego przed nią ukryć. To było powodem - niesmak ojca i jej oburzenie.

- Ale kto zaczął kłótnię? - zapytał John.

Żałowała tylko, te to oznaczało, iż ci dwaj mężczyzna nigdy się nie spotkają. W wielu sprawach byli do siebie podobni i przypuszczała, ta mogliby się polubić, gdyby jej duma tego nie uniemożliwiła.

- Teraz to nie ma znaczenia - odpowiedziała.

David opuścił swój egzemplarz Boy's Own Paper. Chociaż o rok starszy od brata, był tylko nieznacznie wyższy, a występujące między nimi silne fizyczne podobieństwo powodowało, że często brano ich za bliźnięta. David jednakże myślał i poruszał się wolniej, niż John, i bardziej cenił sobie konkretne rzeczy, niż słowa.

- Ta dolina - zapytał - jaka ona jest, mamo?

- Dolina? Wspaniała. Jest... Nie, myślę, że lepiej, jeśli będzie dla was niespodzianką. I tak nie potrafiłabym jej opisać.

- Och, opowiedz, mamo! - zawołał John,

- Może zobaczymy ją z pociągu? - zastanawiał się David.

Ich matka roześmiała się. - Z pociągu? Nie zobaczymy nawet miejsca, gdzie się zaczyna. To prawie godzina jazdy od Stavely.

- Jak duża jest ta dolina? - zapytał John. - Czy wszędzie dookoła są wzgórza?

Uśmiechnęła się do nich, - Zobaczycie.

Jess Hillen, dzierżawca dziadka, czekał na nich z samochodem w Stavely i wkrótce wjeżdżali już pomiędzy wzgórza. Dzień miał się ku końcowi, kiedy w blaskach zachodzącego słońca ujrzeli wreszcie Ślepy Parów.

Lepszą nazwą byłaby Dolina Cyklopa, ponieważ parów spoglądał swoim jedynym okiem na zachód. Z wyjątkiem tej jednej szczerby dolina miało kształt głębokiego półmiska lub salaterki; jej zbocza, miejscami nagle i skaliste, miejscami porośnięte szorstkim wrzosem, wspinały się stromo ku niebu. W zestawieniu z ich surowym, niegościnnym wyglądom sama dolina wyglądała jeszcze bardziej uroczo; letni wietrzyk kołysał zielone łany pszenicy, a ponad nimi, tam, gdzie grunt się podnosił, widać było bardziej soczystą zieleń pastwisk.

Wejście do doliny nie mogło Już być węższe. Po lewej stronie drogi, w odległości dziesięciu jardów, skalna ściana wznosiła się stromo ku górze i przewieszała nad ich głowami. Po prawej stronie rzeka Lepe pieniła się przy samym skraju drogi. Jej drugi brzeg, odległy o piętnaście jardów, wznosił się stromo tworząc następną ścianę skalną blokującą wejście do doliny.

Hilda Custanos odwróciła się, żeby popatrzeć na synów.

- No i jak?

- Do licha! - powiedział John. - Ta rzeka... Chciałem powiedzieć - jak ona wpływa do doliny?

- To jest Lape. Ma trzydzieści pięć mil długości, z czego przez dwadzieścia pięć mil płynie pod ziemią, jeśli wierzyć opowieściom. W każdym razie w dolinie wypływa spod ziemi. W tych stronach jest wiele takich rzek.

- Wygląda na głęboką.

- Jest głęboka. I bardzo bystra. Obawiam się, że nie me mowy o kąpieli. Wyżej w dolinie jest ogrodzona przed bydłem. Zwierzęta nie mają szans, jeśli wpadną do wody.

Można przypuszczać, że w zimie wylewa - zauważył rozsądnie

John.

Matka przytaknęła, - Zawsze tak się dzieje. Prawda, Jess?

- Ostatniej zimy byliśmy odcięci przez miesiąc — powiedział Jese.

- Nie Jest tak źle, odkąd mamy radio.

- Myślę, że to fantastyczne - oświadczył John, - Ale jesteście naprawdę odcięci? Możecie przecież wspiąć się na wzgórza.

Jess wyszczerzył zęby. - Niektórzy to zrobili, Ale trzeba się wspinać po skałach, a zejście jest jeszcze trudniejsze. Najlepiej siedzieć na miejscu, kiedy Lepe wylewa.

Hilda Custance zerknęła na swojego starszego syna, David spoglądał w dolinę, w której gęstniały cieniej widać było teraz zabudowania farmy Hillenów, ale farma Beverley znajdowała się wyżej.

- No więc - odezwała się Hilda - co o tym myślisz, David?

Niechętnie oderwał wzrok od widoku doliny, spojrzał na nią i powiedział:

- Myślę, że chciałbym tu mieszkać zawsze.

Tego lata chłopcy szaleli po całej dolinie.

Miała około trzech mil długości i w najszerszym miejscu może z pół mili szerokości. Znajdowały się tu tylko dwie farmy i rzeka, wypływająca z południowego zbocza mniej więcej dwie mile od wejścia. Ziemia była urodzajna i starannie uprawiana, ale dla dwóch chłopców w wieku jedenastu i dwunastu lat było mnóstwo miejsca do zabawy i wzgórza, na które mogli się wspinać.

Wdrapali się na górę w dwóch czy trzech miejscach i stali zdyszani, spoglądając wokół na dzikie wzgórza i wrzosowiska. Dolina za nimi wydawała się mała, John rozkoszował się poczuciem izolacji, górowania nad wszystkim, poczuciem własnej potęgi; z tej odległości domy na farmach wyglądały jak zabawki, które mógł z łatwością poprzewracać na ziemię, A cała tonąca w zieleni dolina wydawała się oazą pośród nagich wzgórz, David znajdował w tym mniejszą przyjemność i po trzeciej wspinaczce odmówił dalszych wycieczek. Wystarczało mu, że jest w dolinie; wzgórza obejmowały ją i chroniły jak ogromne dłonie, a wspinaczka na nie była zajęciem tyleż bezcelowym, co niewdzięcznym.

Ta rozbieżność zainteresowań powodowała, że chłopcy spędzali

większość czasu oddzielnie. Kiedy John wędrował po otaczających dolinę wzgórzach, David zwiedzał pola uprawne ku rosnącemu zadowoleniu jego dziadka. Pod koniec drugiego tygodnia ich pobytu obaj, chłopiec i stary człowiek, w ciepłe, pochmurne popołudnie wybrali się nad nadrzeczne pole. Chłopiec przyglądał się ciekawie, jak jego dziadek zrywa w kilku miejscach kłosy pszenicy i uważnie je ogląda. Dziadek był dalekowidzem i oglądając kłosy musiał je trzymać na odległość ramienia.

- Z tego, co widzę, będą dobre zbiory - powiedział.

Z prawej strony dochodził ich bezustanny, stłumiony grzmot Lepe, która w tym miejscu przebijała się na powierzchnię.

David zapytał: - Zostaniemy tu na żniwa?

- To zależy. Być może. A chciałbyś zostać?

- Och, tak, dziadku! - wykrzyknął David z zapałem.

Zapadła cisza mącona jedynie szumem Lepe. Dziadek spojrzał na dolinę, którą Beverleyowie uprawiali od półtora wieku, a potem odwrócił się do chłopca stojącego u jogo boku.

- Myślę, że nie potrzebujemy dużo czasu, żeby się dobrze poznać David, chłopcze - mruknął. - Powiedz, czy chciałbyś uprawiać tę dolinę, kiedy dorośniesz?

- Bardziej niż cokolwiek.

- Wiec będzie twoja. Farma powinna mieć jednego właściciela, a nie sądzę, żeby twój brat polubił takie życie.

- John chce być inżynierem - wyjaśnił David.

- I wygląda na to, że będzie dobrym inżynierem. A ty kim chciałbyś zostać?

- Jeszcze o tym nie myślałem.

- Może nie powinienem tego mówić - zaczął dziadek - bo poza krótkimi wyjazdami do Lepeton Market całe życie spędziłem na farmie , ale nie znam innego sposobu życia, który by dawał człowiekowi tyle zadowolenia, A to jest dobra ziemie i dobre miejsce dla kogoś komu wystarcza własne towarzystwo i kilku sąsiadów. Na Górnej Łące są pod ziemią kamienne płyty, i ludzie powiadają, że kiedyś, w dawnych czasach, dolina była twierdzą. Wiem, że teraz nie można by się było w niej bronić przeciwko karabinom i samolotom, ale zawsze, kiedy wyjeżdżałem, miałem uczucie, że mogę wrócić przez przesmyk i zamknąć ze sobą drzwi.

- Poczułem to samo, kiedy tu przyjechaliśmy - wyznał Dawid.

- Mój dziadek - powiedział dziadek Davida - kazał się tu pochować. Nawet wtedy ludziom się to nie podobało, ale w tamtych czasach musieli się z tym pogodzić. Dzisiaj za bardzo się we wszystko wtrącają, do diabła! Człowiek powinien mieć prawo, żeby być pochowanym we własnej ziemi.

Zmierzył wzrokiem zielone łany pszenicy.

- Ale nie będę się tak bardzo martwił, jeśli zostawię to komuś z mojej własnej krwi.

Następnego popołudnie John stanął na południowym stoku doliny i napatrzywszy się, zaczął znowu schodzić na dół.

Południowe zbocza opadały wprost do Lepe przez całą długość doliny, tak więc można się było na nie wspiąć tylko od wschodniego krańca. Ale teraz chłopiec zdał sobie sprawę, że może zejść po stoku, który omywała rzeka. Z miejsca, w którym stał, dostrzegł w dole szczelinę; mogła to być jaskinia. Zaczął się do niej opuszczać, naruszając świeżą ziemię.

Posuwał się w dół zwinnie, lecz ostrożnie, ponieważ jakkolwiek szybki w myśleniu i działaniu, nie był jednak lekkomyślny. Dotarł w końcu do szczeliny, znajdującej się około piętnastu jardów nad ciemną, kotłującą się wodą, i zobaczył, że było to tylko niewielkie zagłębienie. Rozczarowany, rozejrzał się poszukując nowego celu dla swych ambicji. Nad samym brzegiem rzeki skała wznosiła się tworząc coś w rodzaju występu. Można było tam usiąść i machać nogami w wodzie. To już nie było to, co jaskinia, ale lepsze, niż powrót na farmę bez żadnych osiągnięć.

Opuścił się z jeszcze większą ostrożnością. Zbocze było strome, a szum rzeki przerażał go. Występ, kiedy w końcu do niego dotarł, dawał niewiele oparcia, Do tego czasu ten pomysł całkowicie go opanował - zanurzyć w wodzie chociaż jedną stopę, to by wystarczyło, żeby wypełnić zadanie, które sobie postawił. Przywierając kurczowo do skały sięgnął ręką w dół, żeby odpiąć sandałek na prawej nodze, Kiedy to zrobił, lewe noga ześlizgnęła się z gładkiego kamienia. Czując, że spada z całej siły uchwycił się skały, ale nie znalazł oparcia dla rąk. Obsunął się w dół i wody Lepe lodowato zimne nawet w środku lata, kotłujące się dziko - zamknęły się nad nim.

Umiał pływać całkiem dobrze jak na chłopca w jego wielu, ale nie miał szans w walce z gwałtownym nurtem. Prąd wciągnął go w głęboki kanał, który rzeka wyżłobiła sobie w ciągu wieków, na długo przedtem, zanim na jej brzegach pojawili się farmerzy. Porwany prądem toczył się jak kamyk po dnie, jakby rzeka chciała z niego wycisnąć ostatni dech i pozbawić go życia. Czuł jedynie szarpnięcia prądu i gwałtowne uderzenia własnego pulsu.

Potem, nagle, zobaczył, że ciemność wokół niego rozprasza się, ustępuje przed światłem przefiltrowanym przez warstwę wzburzonej, ale już niezbyt głębokiej wody. Resztką sił udało mu się wyprostować i jego głowa znalazła się na powierzchni. Dygocząc zaczerpnął tchu i ujrzał, że był niemal na środku rzeki. Prąd był zbyt silny, żeby mógł ustać nieruchomo, więc częściowo płynąc, częściowo biegnąc pozwalał się ciągnąć przez wartki nurt Lepe w stronę przełomu oznaczającego koniec doliny,

Kiedy już rzeka wydostała się na zewnątrz, nurt stał się spokojniejszy. Sto jardów od przełomu John był w stanie, choć z trudem, przepłynąć przez stosunkowo ciepłą wodę do drugiego brzegu i wydostać się nań. Mokry i wyczerpany, wpatrywał się w rwący nurt, który w tak krótkim czasie przeniósł go przez pokaźny odcinek drogi, Wciąż jeszcze patrzył, kiedy usłyszał zbliżający się stukot kopyt końskich i skrzypienie wózka, a w chwilę później głos dziadka

- Hej, John! Popływałeś sobie?

Niepewnie podniósł się i potykając się dobrnął w stronę wózka, Ramię dziadka objęto go i uniosło do góry,

- Trochę się trzęsiesz, chłopie, Wpadłeś do wody?

Umysł Johna nie otrząsnął się jeszcze z szoku; urywanymi zdaniami, łamiącym się głosem opowiedział tyle, Ile zdołał. Stary człowiek słuchał.

- No, wygląda na to, że co ma wisieć, nie utonie. Nawet dorosły mężczyzna nie oceniałby swoich szans wysoko, gdyby mu się coś takiego przytrafiło. Mówisz, że wystawiłeś głowę na powierzchnię stojąc na dnie? Mój ojciec często opowiadał o mieliźnie na środku Lepe, ale nikt nie miał ochoty tego sprawdzić. Jest wystarczająco głęboka przy brzegach.

Spojrzał na chłopca, którym w następstwie tej przygody zaczęły wstrząsać dreszcze,

- Ale nie ma sensu, żebym tu stał i gadał cały dzień. Musimy zawieźć cię do domu i przeorać w suche ubranie. Ruszaj, Flossie!

Strzelił z bata. John powiedział szybko:

- Dziadku, nie powiesz nic mamie, prawda? Proszę!

- Jak to mam nie mówić? - odparł stary człowiek, - Przecież musi zobaczyć, że jesteś przemoczony do nitki.

- Myślałem, że mógłbym wysuszyć się na słońcu...

- Oj, musiałbyś się suszyć przez tydzień! Ale... Nie chcesz, żeby się dowiedziała o twoim nurkowaniu? Boisz się, że cię skrzyczy?

- Nie.

Ich spojrzenia skrzyżowały się, - No dobrze - powiedział w końca dziadek, - Myślę, że powinienem zachować: twój sekret, chłopie.

Co byś powiedział, gdybyśmy pojechali do Hillenów i tam byś się wysuszył? Musisz się przebrać.

- Zgoda - odparł John. - To jest wyjście. Dziękuję, dziadku.

Ze skrzypieniem kół przejechali po kamiennej drodze przez przesmyk i przed nimi ukazała się farma Hillena. Stary człowiek przerwał milczenie:

- Więc chcesz być inżynierem?

John oderwał pełen fascynacji wzrok od wartkiego nurtu Lepe.

- Tak, dziadku.

- Nie interesuje cię rolnictwo?

- Nie bardzo - odparł John ostrożnie.

Dziadek odetchnął z ulgą. - Tak właśnie myślałem.

Zaczął coś jeszcze mówić, ale przerwał. Dopiero kiedy dojeżdżali do domu Hillena, odezwał się ponownie:

- Cieszę się z tego. Chyba kocham tę ziemię bardziej, niż cokolwiek innego, ale mogłoby dojść do tego, że wolałbym jej nie mieć. Wolałbym, żeby najlepsza ziemia pod słońcem stała się pustynią, gdyby miała zażegnać złą krew między braćmi.

Ściągnął lejce i zawołał Jessa Hillena.

ROZDZIAŁ 1

W ćwierć wieku później dwaj bracia stali ramię w ramię nad brzegiem Lepe. David podniósł laskę i wskazał jakiś odległy punkt na zboczu wzgórza.

- Tam idą!

John spojrzał w kierunku wskazanym przez brata i ujrzał dwie małe plamki, które mozolnie wspinały się w górę. Roześmiał się.

- Jak zwykle Devey ustala tempo, ale założę się, że Mary będzie pierwsze na szczycie.

- Pamiętaj, że jest parę lat starsza.

- Jesteś niedobrym wujkiem, Bezwstydnie faworyzujesz siostrzeńca.

Obaj wyszczerzyli zęby. - To dobra dziewczyna - odparł David - ale Devey ~ no cóż, to jest Davey.

- Powinieneś się ożenić i mieć kilkoro własnych.

- Nigdy nie miałem czasu na zaloty.

John roześmiał się. - Myślałem, że wy, wieśniacy, załatwiacie to śpiewająco podczas sadzenia kapusty,

- Nie uprawiam kapusty. Teraz nie ma sensu uprawiać cokolwiek poza pszenicą i ziemniakami. Tego chce rząd, więc im to daję.

John przyjrzał mu się z rozbawieniem. - Masz w sobie coś z niezgrabnego, uczciwego wieśniaka i to mi się podoba. A co z hodowlą bydła na mięso? I z mlecznymi krowami?

- Mówiłem o uprawach. Ale skoro chcesz wiedzieć, przypuszczam że mlecznych krów też będę musiał się pozbyć. Zajmują więcej miejsca, niż przynoszą pożytku.

John potrząsnął głową. - Nie potrafię sobie wyobrazić doliny bez krów.

- Odwieczne złudzenie mieszczuchów, że wieś nigdy się nie zmienia, - odparł David, - Wieś zmienia się szybciej, niż miasto,

W mieście zmieniają się tylko domy - są może większe i brzydsze, i to wszystko. Ale wieś zmienia się w sposób bardziej zasadniczy,

- Możemy o tym podyskutować – odpowiedział John. - Przede wszystkim...

David spojrzał ponad jego ramieniem. - Idzie Ann - oznajmił. Kiedy znalazła się w zasięgu głosu, dodał: - I ty mnie pytasz, czemu się nigdy nie ożeniłem?

Ann położyła im ręce aa ramionach. - Co mi się podoba tu w dolinie - powiedziała - to wysoki poziom miejscowych komplementów.

David, naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego się nigdy nie ożeniłeś?

- Twierdzi, że dotąd nie miał na to czasu - wyjaśnił John.

- Jesteś mieszańcem - oświadczyła Ann, - Masz w sobie dość z wieśniaka, żeby uważać, że żona powinna być sprzętem domowym, a jednocześnie, będąc jednym z tych nowo myślnych absolwentów uniwersytetu , masz dość przyzwoitości, żeby się tego wstydzić.

- A jak według ciebie traktowałbym swoją żonę - zapytał Dawid - zakładając, że w końcu bym się ożenił? Zaprzęgałbym ją do pługa, gdyby traktor się zepsuł?

- To by zależało od żony - od tego, czy ty byś nią rządził, czy ona tobą.

- Może to ona by cię zaprzęgała do pługa! - wtrącił John.

- Będziesz musiała mi znaleźć jakąś ładną i lubiącą rządzić dziewczynę, Ann. Z pewnością masz przyjaciółki, które potrafiłyby sobie poradzić z wesmorlandzkim gburem?

- Nie mam odwagi - odparła Ann. - Wiesz, ile razy próbowałam i nigdy nic z tego nie wyszło.

- Nic dziwnego! Wszystkie były albo płaskie jak deski, w okularach, z brudnymi palcami i New Statesmanem zatkniętym za lewe ucho - albo wystrojone w kolorowe tweedy, nylonowe pończochy i pantofle na wysokich obcasach.

- A Norma?

- Norma - powiedział Devid - chciała koniecznie zobaczyć, jak ogier pokrywa klacz. Uważała, że to będzie wysoce interesujące doświadczanie .

- Co w tym niewłaściwego dla żony farmera?

- Nie mam pojęcia - odparł David oschle. - Ale stary Jess był zgorszony, kiedy to usłyszał. Tu na wsi mamy swoje normy przyzwoitości chociaż tobie mogą się wydawać śmieszne.

- Tak, jak mówiłam - powiedziała Ann - jesteś tylko częściowo ucywilizowany. Zostaniesz kawalerem do śmierci,

David uśmiechnął się krzywo. - Chciałbym tylko wiedzieć, czy Davey zostanie ze mną, w tych barbarzyńskich warunkach?

- Daved zostanie architektem - oświadczył John. — Chciałbym na starość mieć jakieś sensowne projekty, które mógłbym realizować. Powinieneś zobaczyć to szkaradztwo, które teraz budujemy.

- Davey będzie tym, kim zechce - sprzeciwiła się Ann. - W tej chwili zresztą zamierza zostać alpinistą. A co z Mary? O jej przyszłości nie masz zamiaru decydować?

- Nie widzę Kary w roli architekta - stwierdził jej ojciec.

- Mary wyjdzie za mąż - dodał wujek - jak wszystkie kobiety, które są coś warte.

Ann zmierzyła ich wzrokiem, - Obaj jesteście prawdziwymi dzikusami — stwierdziła.

- Przypuszczam, że wszyscy mężczyźni tacy są David ma tylko cieńszą warstewkę kultury.

- Ale dlaczego nie powinno się zakładać, że wartościowa kobieta wyjdzie za mąż? - chciał wiedzieć David.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby Davey również się ożenił - fuknęła Ann.

- Na moim roku na uniwersytecie byłe pewną dziewczyna - zaczął David, - Miała najlepsze wyniki z nas wszystkich, a z tego, co słyszałem, prowadziła gospodarstwo ojca w Lancashire, odkąd skończyła czternaście lat. Nawet nie uzyskała dyplomu. Wyszła za amerykańskiego lotnika i wyjechała z nim do Detroit.

- W takim razie - zwróciła się Ann do Johna - nie potrzebujesz martwić się o córkę, która niewątpliwie poślubi amerykańskiego lotnika i zamieszka z nim w Detroit.

David uśmiechnął się łagodnie. - Coś w tym rodzaju.

Ann posłała mu częściowo ubawione, częściowo zrozpaczone spojrzenie, ale powstrzymała się od dalszych komentarzy. W milczeniu szli brzegiem rzeki. Powietrze miało w sobie majową łagodność. Po błękitnym niebie wolno wędrowały białe obłoki. W dolinie zawsze jakoś bardziej uświadamiali sobie istnienie nieba, może dlatego, że otoczone było pierścieniem wzgórz. Po ziemi przepłynął cień, zakrył ich i przesunął się dalej.

- Jaki spokój - odezwała się Ann, - Szczęściarz z ciebie, David.

- Nie wracajcie w niedzielę - zaproponował David. - Zostańcie tu. Przydadzą mi się dodatkowe ręce przy ziemniakach teraz, kiedy Luke zachorował.

- Muszę wracać do mojego szkaradztwa - odparł John, - A dzieciaki nigdy nie odrobią swoich zadań wakacyjnych, jeśli tu zostaną. Obawiam się, że obowiązki wzywają nas do Londynu.

- Tu jest taka obfitość wszystkiego - westchnęła Ann, - Rozejrzyj się dookoła i pomyśl o tych nieszczęsnych Chińczykach.

- Jakie są ostatnie wiadomości? Słuchałaś dziennika przed wyjściem?

- Amerykanie wysyłają więcej statków ze zbożem.

- Było coś z Pekinu?

- Nic oficjalnego. Przypuszcza się, że Pekin spłonął. A w Hong Kongu musieli odpierać statki na granicach miasta.

- Delikatnie to ujmują - zauważył John ponuro. - Widzieliście kiedyś te stare filmy o pladze królików w Australii? Ogrodzenia z drutu

wysokie na dziesięć stóp, i króliki - setki, tysiące królików napierające na nietłoczące się i włażące na siebie, dopóki nie przelezą przez ogrodzenie albo dopóki ogrodzenie nie załamie się pod ich ciężarem. To właśnie dzieje się teraz w Hong Kongu, tylko że to nie króliki tłoczą się pod ogrodzeniem, ale istoty ludzkie.

- Myślisz, że jest aż tek źle? - zapytał David.

- Jeśli nie gorzej. Króliki kierowały się tylko ślepym instynktem głodu, Ludzie posługują się inteligencją, więc żeby ich powstrzymać, trzeba zastosować ostrzejsze środki. Przypuszczam, że mają mnóstwo amunicji, ale z pewnością to nie wystarczy,

- Uważasz, że Hong Kong upadnie?

- Jestem tego pewien. Nacisk będzie się zwiększał aż do skutku. Mogą strzelać do nich z samolotów karabinami maszynowymi, mogą zrzucać na nich bomby i napalm, ale w miejsce każdego zabitego nadejdzie setka następnych z głębi kraju.

- Napalm! - wykrzyknęła Ann. - Och, nie!

- Co innego im pozostaje? To albo ewakuacja, a nie mają tyle statków, żeby ewakuować na czas cały Hond Kong,

David zauważył: - Ale jeśli nawet zdobędą Hong Kong, nie znajdą tyle żywności, żeby każdemu zapewnić trzy porządne posiłki dziennie, i znowu wrócą do punktu wyjścia.

- Trzy porządne posiłki? Nie myślę, żeby starczyło nawet na jeden. Ale co to za różnica? Ci ludzie umierają z głodu. W takiej sytuacji można popełnić morderstwo dla kęsa strawy.

- A Indie? - zapytał David. - A Birma i cała reszta Azji?

- Bóg jeden wie. W końcu zostali ostrzeżeni. To chiński rząd wpakował ich w to bagno, bo nie chciał przyznać, że stanął w obliczu problemu, z którym nie potrafi sobie poradzić.

- Jak oni mogli sobie wyobrazić, że potrafią utrzymać to w sekrecie? - spytała Ann.

John wzruszył ramionami. - Oni wprowadzili ustawę przeciw płodowi, pamiętasz? Poza tym na początku to wydawało się łatwe. Wyodrębnili wirus już po miesiącu, kiedy zaatakował ich pola ryżowe. Nadali mu ładną, nazwę - wirus Chung Li. Wszystko, co musieli zrobić, to odkryć sposób jego zniszczenia, który jednocześnie nie niszczyłby roślin, albo wyhodować odmianę odporną na wirus. A wreszcie nie mogli przewidzieć, że wirus będzie się tek szybko rozprzestrzeniał.

- Ale jeśliby zbiory zawiodły?

- Zbudowali magazyny, żeby zapobiec klęsce głodu - otrzymali to kredyty. Myśleli, że dotrwają do wiosennych zbiorów. I wierzyli, że do tej pory pokonają, wirusa.

- Amerykanie uważają, że rząd chiński celowo zbagatelizował tę sprawę.

- Mogą uratować resztę dalekiego Wschodu, ale dla Chin - a więc i

dla Hong Kongu - jest już za późno.

Ann spoglądała na wzgórze i dwie małe figurki wdrapujące się na szczyt.

- Dzieci umierają z głodu - powiedziała. - Na pewno możemy jakoś im pomóc.

- Jak? - zapytał John. - Wysyłamy żywność, ale to kropla w morzu.

- I możemy rozmawiać i śmiać się i żartować - dodała Ann - jesteśmy syci i bezpieczni, podczas gdy tamci umierają.

- Niewiele więcej możemy zrobić, prawda, moja droga? - powiedział Devid. - Przedtem też ludzie umierali co chwila; teraz tylko umiera ich więcej. Śmierć jest ta sama, czy umiera jednostka, czy sto tysięcy.

- Pewnie masz rację - przyznała ze smutkiem.

- Mieliśmy szczęście - zauważył David, - Wirus mógłby w taki sam sposób zaatakować pszenicę.

Mimo wszystko to by nie dało takich samych efektów, prawda?

- zapytał John. - Nie jesteśmy tak uzależnieni od pszenicy, jak Chińczycy i w ogóle Azjaci od ryżu.

- Byłoby wystarczająco źle. Z pewnością chleb byłby na kartki.

- Chleb na kartki i - wykrzyknęła Ann. - A w Chinach miliony ludzi walczą o garść ziarna.

Umilkli, W górze słońce weszło na bezchmurna część nieba.

Ponad cichy, uspokajający szum Lepe wzniosłe się pieśń drozda.

- Biedaczyska - odezwał się Devid.

- W pociągu jechał z nami facet - powiedział John - który z prawdziwą satysfakcją wyjaśniał wszystkim, że przecież żółtki to komuniści, więc dostali tylko to, na co zasługują. Ale przy dzieciach nie mogłem facetowi powiedzieć, co o nim myślę.

- A my, czy jesteśmy dużo lepsi? - zawołała Ann, - Teraz o tym pamiętamy i jest nam przykro, ale przez resztę czasu nie myślimy o tym i zajmujemy się własnymi sprawami.

- Nie mamy wyjścia - odparł David. - Ten facet z pociągu też na pewno nie gada o tym przez cały czas. Tacy już są ludzie. To nie jest takie złe, dopóki nie zapominamy jakie mamy szczęście.

- Czyżby? Chyba biblijny bogacz powiedział coś takiego.

Usłyszeli niesiony letnim wiatrem słaby okrzyk i ich oczy poszukały źródła dźwięku. Na tle nieba stała mała figurka, i kiedy patrzyli, druga figurka wdrapała się na szczyt i stanęła obok.

John uśmiechnął się. - Mary jest pierwsza. Wytrwałość zwyciężyła.

- Raczej wiek zwyciężył - sprzeciwił się David.

- Pomachajmy im, żeby widzieli, że ich zobaczyliśmy.

Pomachali i dwie figurki podniosły ręce w odpowiedzi. Kiedy ruszyli dalej, Ann oznajmiła;

- Muszę wam powiedzieć, że Mary postanowiła zostać lekarką.

- O, to jest rozsądny pomysł - przyznał David. - Zawsze może wyjść

za lekarza i otworzyć z nim wspólną praktykę.

- W Detroit? - upewnił się John.

- Według Davida to jeden z pożytecznych zawodów - wyjaśniła Ann.

- Na równi ze sztuką gotowania.

Devid wepchnął laskę w dziurę w ziemi. - Ktoś, kto tak jak ja żyje blisko natury, może to lepiej ocenić. Pożyteczne umiejętności należy stawiać na pierwszym miejscu, a dopiero potem można się zajmować drapaczami chmur,

- A jednak - odparł John - gdyby inżynierowie nie zbudowali budynku dość wielkiego, żeby pomieścić Ministerstwo Rolnictwa, co by się stało z farmerami?

David nie odpowiedział na zaczepkę. Doszli do miejsca, gdzie ścieżka biegła brzegiem rzeki, a po prawej zaczynało się bagno, David schylił się do kępki trawy, której źdźbła wznosiły się na jąłeś dwie stopy. Pociągnął i z łatwością wyrwał kilka łodyg.

- Szkodliwy chwast? - zapytała Ann.

David potrząsnął głową. - Oryzoides, rodzaj Leersia, dział Oryzae.

- Dla laika to nic nie znaczy - zauważył John.

- Ta trawa rzadko występuje w Wielkiej Brytanii - ciągnął David. - W tej części kraju jest jeszcze rzadsza; - czasem można ją spotkać w południowych hrabstwach - Hampshire, Surrey i tak dalej.

- Te łodygi - odezwała się Ann - wyglądają, jakby gniły.

- Korzenie też - dodał David, - Oryzae dzielą się na trzy rodzaje. Leersia jest jednym z nich, a Oryza drugim.

- Te nazwy brzmią jak imiona bojowniczek o równouprawnienie kobiet - skomentował John.

- Oryza sativa - powiedział David - to ryż.

- Ryż! - wykrzyknęła Ann, - W takim razie...

- To jest ryż - dokończył David. Wyciągnął długie źdźbło i podniósł do góry. Przez środek źdźbła przechodziła brązowa linia obrzeżona pasami ciemniejszej zieleni; koniec był całkowicie brązowy i przegniły. - A to jest wirus Chung-Li.

- Tutaj, w Anglii? - spytał John niedowierzająco.

- Tak, tutaj, w naszej spokojnej, zielonej Anglii - potwierdził David, - Wiedziałem, że atakuje również Leersia, ale nie spodziewałem się, że dojdzie tu tak szybko.

Ann wpatrywała się zafascynowana w kępkę trawy naznaczoną piętnem rozkładu,

- Wirus - szepnęła. - Po prostu wirus.

David spojrzał ponad bagnem na pole kukurydzy w oddali.

- Dzięki Bogu te wirusy są wybredne i nie żrą wszystkiego. Ta cholerna rzecz przewędrowała pół świata, żeby dopaść jednej małej kępki trawy i może jeszcze kilkudziesięciu takich kępek w całej Anglii.

- No, tak - powiedział John - ale trawa?

- Pszenica i owies, i jęczmień, i żyto - nie mówiąc o roślinach na paszę. Z Chinami jest kiepsko, ale mogłoby być o wiele gorzej.

- To prawda - potwierdziła Ann - to mogło stać się u nas. Czy to chciałeś powiedzieć? Znowu o nich zapomnieliśmy. A za pięć minut pewnie znowu znajdziemy jakąś wymówkę, żeby zapomnieć.

David zgniótł trawkę w dłoni i wrzucił do wody. Popłynęła, porwana szybkim prądem rzeki.

- Nie możemy zrobić nic innego - powtórzył.

ROZDZIAŁ 2

Ann wyłożyła karty i włączyła radioodbiornik, żeby wysłuchać dziennika o dziewiątej. John wylądował z trzema bez atu, których prawdopodobnie nie będzie mógł ugrać; zrobił to głównie po to, żeby przelicytować Rogera i Olivię, którzy potrzebowali tylko trzydziestu punktów do robra i zakończenia gry. John popatrzył w twoje kar ty i zmarszczył brwi.

Roger Buckley zawołał hałaśliwie: - No, dalej, stary! Może by tak wyimpasować tę dziewiątkę?

Roger był jedynym przyjacielem z wojska, z którym John utrzymywał bliższy kontakt, Ann ale podobał się od pierwszego wejrzenia, a dłuższa znajomość zdołała zaledwie sprawić, że mogła go tolerować. Nie cierpiała roztaczanej przez niego atmosfery uczniackiej wesołości niemal tak samo, jak rzadkich momentów gwałtownej depresji, a jeszcze bardziej nie znosiła jago prawdziwego, twardego charakteru, ukrywającego się za fasadą pozornej wylewności.

Miała powody przypuszczać, że Roger znał jej uczucia i lekceważył je, podobnie jak lekceważył wiele innych spraw, które jej wydawały się ważne. To jeszcze bardziej ją drażniło i dawno już nakłoniłaby Johna, żeby zerwał tę przyjaźń, gdyby nie pewna osoba.

Osobą tą była Olivia. Kiedy Roger wkrótce po ich pierwszym spotkaniu przyprowadził do ich domu tę wysoką, spokojną, raczej nieśmiałą dziewczynę i przedstawił ją jako swoją narzeczoną, Ann była zaskoczona i pewna, że ten związek - kolejny związek Rogera, jak poinformował ją John - nigdy nie zakończy się małżeństwem.

Ale myliła się. Zaprzyjaźniła się z Olivią przewidując, że Roger wkrótce zostawi ją na lodzie, a potem kontynuowała tę przyjaźń, żeby móc chronić Olivię, kiedy po ślubie Roger odkryje swoje prawdziwe oblicze. Była upokorzona odkrywając stopniowo, że nie tylko małżeństwo Olivii wydawało się całkiem szczęśliwe, ale sama Ann nie dałaby sobie rady, gdyby Olivia w swój łagodny, pełen wyrozumiałości sposób nie pomagała jej w przezwyciężaniu własnych kryzysów, Nie polubiła Rogera ani trochę bardziej, ale chętniej spotykała się nim ze względu na Olivię.

John wyszedł blotką do króla i waleta na stole, Olivia spokojnie położyła ósemkę. John zawahał się i w końcu wyciągnął waleta. Z triumfalnym chichotem Roger przebił go damą, Z radia odezwał się głos mówiący z charakterystycznym akcentem BBC:

“Nadzwyczajna Komisja ONZ do spraw Chin ogłosiła dziś swój tymczasowy raport, w którym ocenia liczbę przypadków śmierci głodowej w Chinach na co najmniej dwieście milionów”.

- Coś słabo z kierami na stole - zauważył Roger. - Możemy spróbować je zgrać.

- Dwieście milionów! - powtórzyła Ann. - To niewiarygodne.

- Co to jest dwieście milionów? - sprzeciwił się Roger. — W Chinach jest cholernie dużo żółtków. W przeciągu paru pokoleń to się wyrówna.

Ann oceniła już cynizm Rogera podczas ostatniej kłótni i teraz nie chciała zaczynać na nowo. Jej umysłem zawładnął strach zrodzony z wyobraźni.

- Raport podaje dalej - ciągnął głos spikera - że przeprowadzone w warunkach polowych testy z izotopem 717 wykazały, iż izotop ten niemal całkowicie kontroluje rozwój wirusa Chung-Li, Opylenie wszystkich pól ryżowych tym izotopem jest zadaniem niecierpiącym zwłoki i jako takie przydzielone zostało nowo utworzonym Powietrznym Siłom Pomocy Narodów Zjednoczonych, Oczekuje się, że dostawy izotopu w ilości zapewniającej opylenie bezpośrednio zagrożonych terenów zostaną dostarczone w ciągu kilku dni, a pozostałe dostawy - w ciągu miesiąca.

- Dzięki Bogu - powiedział John.

- Jeśli już skończyłeś dziękczynne modły, może byś się dorzucił do tego kiera - odpowiedział na to Roger.

- Roger! - Zaprotestowała cicho Olivia.

- Dwieście milionów - mruknął John. - Gigantyczny pomnik ludzkiej pychy i uporu. Gdyby pozwolili naszym ludziom zacząć badania nad wirusem sześć miesięcy wcześniej, ci ludzie by teraz żyli

- Skoro już mówimy o pomnikach ludzkiej pychy - wtrącił Roger - i skoro koniecznie chcesz odwlec chwilę, wtedy będziesz musiał położyć tego kierowego asa - jak tam z twoim własnym małym pomnikiem? Słyszałem plotki, że masz jakieś kłopoty w pracy.

- Czy ty zawsze musisz o wszystkim wiedzieć?

Roger pracował w wydziale propagandy Ministerstwa Przemysłu.

Żył w świecie fałszu i zakłamania, tak jak uważała Ann, potęgowało jego wrodzony cynizm.

Roger - i skoro koniecznie chcesz odwlec chwilę, wtedy będziesz musiał położyć tego kierowego asa - jak tam z twoim własnym małym pomnikiem? Słyszałem plotki, że masz jakieś kłopoty w pracy.

Christopher John - Śmierć trawy- Powiedz twojemu ministrowi, żeby uspokoił swojego przyjaciela - odparł John, - Jego gniazdko będzie

gotowe dokładnie w przewidzianym terminie.

- Probiera w tym - stwierdził Roger - czy ten kolega będzie gotowy je przyjąć.

- Następna plotka?

- Nie nazywałbym tego plotką. Oczywiście facet może położyć głowę pod topór. To będzie nawet interesujące widowisko,

Roger - odezwała się Ann - czy sprawia ci wielką przyjemność widok cudzego nieszczęścia?

Natychmiast, jak tylko to powiedziała, pożałowała, że dała się sprowokować. Roger popatrzył na nią z rozbawieniem; miał duże, brązowe oczy i twarz o zwodniczo łagodnym wyrazie, a jago podbródek widziany pod pewnym kątem wydawał się cofnięty,

- Jestem wciąż małym chłopcem i nigdy nie dorosnę - roześmiał się. - Kiedyś byłeś w moim wieku, na pewno śmieszyło cię, kiedy ktoś się pośliznął na skórce od banana. Teraz myślisz o tym, że facet mógłby sobie skręcić kark i zostawić zrozpaczoną żonę i gromadkę przymierających głodem dzieciaków. Musisz mi pozwolić cieszyć się życiem na swój własny sposób, najlepiej, jak potrafię.

- On jest beznadziejny - westchnęła Olivia. - Nie zwracaj na niego uwagi, Ann.

Mówiła z pobłażliwym uśmiechem, jak wyrozumiała matka łagodnie strofująca niegrzeczne dziecko. Ale tak można się było zwracać do dziecka, pomyślała Ann z irytacją, a nie do kogoś dorosłego i pozbawionego zasad moralnych, Wciąż obserwując Ann, Roger kontynuował:

- Wy wszyscy dorośli musicie pamiętać o tym, że żyjecie w dorosłym świecie - w świecie, gdzie opłaca się być rozsądnym i cywilizowanym człowiekiem. Ale ten świat jest nietrwały. Spójrzcie, co się dzieje w Chinach, które od tak dawna były ostoją cywilizacji. Kiedy w brzuchu burczy z głodu, cywilizacja przestaje mieć jakiekolwiek znaczenie.

- Skłonny jestem zgodzić się z tobą, Oliwia - burknął John. - Jesteś zapóźniony w rozwoju, Roger.

- Czasem zachowuje się, jakby miał tyle lat, co Steve - dodała Olivia.

Steve był dziewięcioletnim synem Buckleyów; Roger był do niezbyt przywiązany, żeby pozwolić mu wyjechać do szkoły.

Steve był chłopcem raczej niewysokim, stanowczo zbyt rozwiniętym jak na swój wiek i skłonnym do ataków niepohamowanej złości,

- Tylko że Steve z tego wyrośnie - zauważyła Ann.

Roger wyszczerzył zęby: - Jeśli tak, to nie jest moim synem!

Dzieci przyjechały do domu na wakacje i obie rodziny jak zwykle wybrały się na weekend nad morze. Zazwyczaj wspólnie wynajmowały przyczepę i jeden samochód holował ją nad morze, a drugi z z powrotem. W przyczepie mieściła się czwórka dorosłych, a dzieci spały obok w namiocie.

Pogodę na podróż mieli dobrą i sobotni ranek zastał ich leżących na rozgrzanych słońcem kamieniach pośród szumu morza. Dzieci urozmaicały sobie czas pływaniem i polowaniem na kraby wzdłuż brzegu. Spośród czworga dorosłych Johnowi i dwu kobietom wystarczało w zupełności leżenie na słońcu. Roger, z natury bardziej czynny, najpierw towarzyszył dzieciom, ale szybko zrezygnował i leżąc nieopodal pogrążył się w głębokiej i wciąż rosnącej frustracji.

Kiedy po raz dziesiąty spojrzał na zegarek, John westchnął:

- No dobrze. Ruszmy się stąd.

- Co dobrze? - zaprotestowała Ann. - Gdzie się chcesz ruszać? przecież nikt cię nie prosi, żebyś przygotował obiad.

- Roger już od pół godziny obgryza paznokcie - wyjaśnił John, lepiej zabiorę go na spacer do wioski. O tej porze bar już będzie otwarty.

- Jest już otwarty od pół godziny - zaznaczył Roger. - Proponuję, żebyśmy wzięli wasz samochód.

- Lunch jest o pierwszej - przypomniała Olivia. - Dla spóźnialskich nic nie zostawiamy.

- Nie martw się.

Kiedy postawili przed sobą szklanki z piwem, Roger odetchnął:

- Nareszcie. Nad morzem zawsze mam pragnienie. To pewnie przez tę sól w powietrzu.

John pociągnął ze szklanki i postawił ją z powrotem na stole,

- Jesteś jakiś rozdrażniony, Rodge. Zauważyłem to już wczoraj, coś cię gnębi?

Siedzieli w głównym barze. Przez otwarte drzwi widzieli piaszczyste pobocze drugi i rozciągającą się dalej zieleń łąk. Powietrze było ciepłe i łagodne.

- To jest pogoda, jaką lubią kukułki - zacytował Roger. - Kiedy siedzą sobie przed “Przystania Wędrowca”, a służące spacerują po drodze ubrane w muślinowe sukienki, a obywatele marzą o południowych krajach. I ja także. Rozdrażniony? Możliwe.

- Mogę ci w czymś pomóc?

Roger przyglądał mu się przez chwilę. - Pierwszym obowiązkiem faceta od propagandy jest lojalność, drugim jest dyskrecja, a kiedy ktoś za głośno gada, to zwykle marnie kończy. Mój problem polega na tym, że zawsze krzyżuję palce, kiedy przyrzekam lojalność i dyskrecję komuś, kto nie jest moim osobistym przyjacielem.

- Do czego zmierzasz?

- Na moim miejscu trzymałbyś język ze zębami - stwierdził Roger - ponieważ uczciwość jest jedna z niepodważalnych cech twojego charakteru. Więc chyba mogę ci zaufać, że się nie wygadasz. Nawet przed Ann, Olivii nic nie powiedziałem,

- Jeżeli to jest takie ważne i tajne - powiedział John z powątpiewaniem - to może lepiej nic mi nie mów?

- Szczerze mówiąc uważam, że lepiej by zrobili, gdyby postawili sprawę otwarcie, ale nie o to chodzi. Chcę tylko mieć pewność, że nikt nie wyśledzi, skąd wyszły przecieki, A że będą przecieki, tego jestem pewien.

- Teraz mnie naprawdę zaintrygowałeś - przyznał John.

Roger opróżnił szklankę, zaczekał, aż John zrobi to samo, i zaniósł obie szklanki do baru, żeby napełnić je ponownie. Kiedy wrócił na miejsce, pociągnął długi łyk, zanim zaczął mówić.

- Pamiętasz izotop 717?

- Tę rzecz, którą rozpylali na ryż?

- Właśnie. Wirus można było pokonać na dwa sposoby; albo odkryć coś co będzie go zabijało, albo wyhodować nową, uodpornioną odmianę ryżu. Oczywiście drugi sposób wymagał więcej czasu i dlatego poświęcono mu mniej uwagi. Potem naukowcy odkryli 717, zobaczyli, że jest niezwykle skuteczny w walce z wirusem i pospiesznie wprowadzili go do akcji.

- Przecież ten izotop zabijał wirusa - wtrącił John, - Widziałem zdjęcia.

- Z tego, co słyszałem, wirusy to zabawne stworzonka. Właściwym rozwiązaniem byłoby wyhodowanie odmiany ryżu odpornej na wirusa. Jeśli tylko badanie prowadzone są na odpowiednią skalę i wystarczająco dokładnie, prawie na pewno można odkryć różne odporne odmiany.

John popatrzył na niego uważnie. - Mów dalej.

- Widocznie ten wirus był bardziej skomplikowany, niż myślano. Do tej pory odkryto pięć faz jego rozwoju. Kiedy zaczęto stosować Izotop 717, znane były cztery fazy i 717 zabijał je wszystkie. Odkryli fazę piątą, kiedy przekonali się, że po tym wszystkim wirus istnieje dalej,

- Ale w takim razie...

- Chung-Li pobił ich na głowę - oznajmił Roger.

- Chcesz powiedzieć - zaoponował John - że zostały jeszcze Jakieś ślady wirusa na polach. Przecież to mogą być najwyżej ślady, zważywszy, jak efektywny był 717.

- Najwyżej ślady - powtórzył Roger, - Oczywiście może się zdarzyć, że będziemy mieli szczęście. Faza 5 może się rozprzestrzeniać powoli w przeciwieństwie do poprzednich faz, Ale z tego, co słyszałem, rozszerza się tak samo szybko, - więc jesteśmy w punkcie wyjścia - powiedział John powoli.

- A raczej nie całkiem w punkcie wyjścia. W końcu, jeśli poradzili obie z pierwszymi czterema fazami, to powinni poradzić sobie i piątą.

- To samo sobie powtarzałem - mruknął Roger, - Ale co innego mnie niepokoi.

- No?

- Zanim zastosowano 717, faza piąta była ukryta. Nie wiem, jak o się

dzieje, ale słyszałem, że bardziej agresywne odmiany wiru-

a czasami nie mogą się od razu uaktywnić. Dopiero kiedy 717 zniszczył poprzednie fazy, piątka pokazała zęby. A trzeba ci wiedzieć, e piątka różni się w istotny sposób od swoich wielkich braci.

John czekał, Roger pociągnął głęboki łyk piwa i mówił dalej;

- Chung-Li atakował rodzaj Oryzae z rodziny Gramineae. Faza piąta ma mniej wybredne apetyty. Świetnie się rozwija na całej rodzinie Gramineae.

- Gramineae!

Roger uśmiechnął się niewesoło, - Po prostu ostatnio podłapałem trochę naukowego żargonu, Gramineae oznacza trawy - wszystkie trawy.

John przypomniał sobie słowa Davida: Mieliśmy szczęście,

- Trawy - powiedział - to również pszenica.

- Pszenica, owies, jęczmień, żyto - to na początek, A potem mięso, przetwory mleczarskie, drób. Za parę lat będziemy żywić się rybami i frytkami - Jeżeli będziemy mieli tłuszcz, żeby je usmażyć.

- Znajdzie się jakieś rozwiązanie.

- Oczywiście - zgodził się Roger - znajdzie się. Znaleźli przecież sposób na poprzednie fazy wirusa, Zastanawiam się, jaki będzie zasięg fazy szóstej - może obejmie ziemniaki?

Johnowi przyszło coś do głowy. - Jeśli, jest jak mówisz, trzymają to w sekrecie - sądzę, że na skalę międzynarodową - to może dlatego, że mają powody przypuszczać, ze są już o krok od rozwiązania?

- Oczywiście można na to patrzeć w ten sposób, ale ja osobiście czuję, że chcą tylko zyskać na czasie, zanim przygotują karabiny maszynowe,

- Karabiny maszynowe?

- Dla następnych dwustu milionów,

- Nie wierzę, żeby do tego doszło. Nie wtedy, kiedy cały świat od początku nad tym pracuje. W końcu gdyby Chińczycy mieli dość rozsądku, żeby poprosić o pomoc...

- Jesteśmy genialną rasą - zauważył Roger. - Nauczyliśmy się, jak wykorzystywać węgiel i ropę, a kiedy tylko zauważyliśmy, że zaczynają się wyczerpywać, natychmiast gotowi jesteśmy przeskoczyć na energię atomową. Osiągnięcia ostatniego stulecia są wstrząsające. Gdybym był Marsjaninem, założyłbym się nawet o tysiąc do jednego, że intelekt tej miary pokona w końcu taką drobnostkę, jak Jakiś wirus. Nie myśl, że jestem pesymistą, ale lubię się asekurować nawet wtedy, kiedy szanse wyglądają nieźle,

- Nawet gdyby założyć najgorsze - upierał się John - z pewnością moglibyśmy przeżyć na rybach i jarzynach. To nie byłby jeszcze koniec świata,

- Moglibyśmy? - spytał Roger z powątpiewaniem. - Wszyscy? Nie

przy obecnych zasobach żywności.

- Kiedy się ma farmera w rodzinie, człowiek dowiaduje się pożytecznych rzeczy - poinformował go John. - Z jednego akra ziemi uzyskuje się od jednego do dwóch cetnarów mięsa albo trzydzieści cetnarów chleba - ale aż dziesięć ton ziemniaków.

- To bardzo pocieszające - przyznał Roger, - Teraz gotów jestem uwierzyć, że faza 5 nie zetrze rasy ludzkiej z powierzchni ziemi. Pozostaje mi tylko zatroszczyć się o swoich najbliższych.

Nie muszę już się martwić, co się stanie z całym światem,

- To nie są Chiny, do ciężkiej cholery! - wybuchnął John.

- Zgadza się - odparł Roger. - To kraj zamieszkały przez pięćdziesiąt milionów ludzi, który importuje niemal połowę niezbędnej żywności.

- Najwyżej będziemy musieli zacisnąć pasa.

- Szkielet zaciskający pasa wygląda trochę głupio.

- Mówię ci - nalegał John - jeśli zamiast zboża uprawia się ziemniaki, otrzymuje się ogromny zbiór, ponad sześć razy większy.

- To idź i powiedz to rządowi. Albo lepiej nie. Cokolwiek się stanie, nie chciałbym jeszcze stracić pracy. A posunąłem się już za daleko i klucz do tajemnicy jest teraz w twoim posiadaniu.

Nawet gdybyś był jedynym człowiekiem posiadającym tę informację i gdyby ona mogła nas obu ocalić od śmierci głodowej, i tak pomyślałbym dwa razy, zanim kazałbym ci rozgłaszać, że nie dotrzymałem wymogów bezpieczeństwa.

- Dwa razy, może - parsknął John - ale nie trzy. W końcu to będzie też twoja przyszłość.

- Ach, ale ktoś inny może o tym wiedzieć, mogą się znaleźć inne środki ocalenia, wirus może zginać sam z siebie, nawet ziemia może przedtem spaść na słońce - i wtedy straciłbym pracę na darmo. Przetłumacz to na język polityków i racje stanu. Z pewnością, jeżeli nie znajdziemy sposobu powstrzymania wirusa, jedynym rozsądnym wyjściem będzie sadzenie ziemniaków na każdym wolnym skrawku gruntu. Ale w którym momencie należy podjąć decyzję, że nie potrafimy powstrzymać wirusa? A jeśli zanieczyścimy spokojny, zielony krajobraz Anglii polami ziemniaków, a potem okaże się, że wirusa jednak można pokonać - wyobrażasz sobie, co powiedzą wyborcy, kiedy w przyszłym roku zaproponuje się im ziemniaki zamiast chleba?

- Nie wyobrażam sobie. Wiem, co powinni powiedzieć - dzięki Bogu, ze nie jesteśmy skazani na kanibalizm, jak Chińczycy.

- Wdzięczność - oświadczył Roger - nie ma wielkiego znaczenie w polityce.

Ponownie spojrzenie Johna powędrowało na zewnątrz, przez szeroko otwarte drzwi gospody. Po drugiej stronie drogi na łące grupa wiejskich chłopców grała w krykieta. Ich głosy wydawały się przypływać ku niemu niesione promieniami słońca.

- Chyba obaj jesteśmy trochę panikarzami - stwierdził. - Minie jeszcze dużo czasu, zanim Faza 5 się rozprzestrzeni, i wcale to się nie musi skończyć jedzeniem ziemniaków albo głodem i ludożerstwem. Przecież odkrycie 717 zabrało naukowcom tylko trzy miesiące, odkąd naprawdę zaczęli poważnie nad tym pracować.

- Tak - zgodził się Roger - i to również mnie niepokoi. Wszystkie narody świata uspokajają się w taki sam sposób. Naukowcy jeszcze nigdy nas nie zawiedli. I nigdy nie uwierzymy, że mogą zawieść - dopóki to nie nastąpi.

- Jeśli coś nigdy dotąd nie zawiodło, logika każe przypuszczać, że nie zawiedzie i teraz.

- Mam nadzieję - westchnął Roger, Podniósł swoją na wpół opróżnioną szklankę. - Spójrzcie i nacieszcie oczy pięknem świata w tej ostatniej godzinie. Świat bez piwa? Nie mogę sobie tego wyobrazić. Wypijmy i zamówmy następną kolejkę.

ROZDZIAŁ 3

Wiadomości o Fazie 5 wirusa Chuag-li rozeszły się w ciągu lata i wywołały zamieszki w tych częściach Dalekiego Wschodu, które sąsiadowały bezpośrednio z ogniskiem zarazy. Zachód spoglądał na to z niepokojem. Wysyłano statki ze zbożem, które musiały być chronione przez uzbrojone oddziały wojska. W międzyczasie w laboratoriach i stacjach badawczych całego świata trwały wysiłki, aby znaleźć sposób zniszczenia wirusa, Farmerzy zostali poinstruowani, aby natychmiast meldowali o każdej oznace pojawienia się wirusa. Wprowadzono ciężkie kary pieniężne ze uchylanie się od tego obowiązku, jak również system rekompensat za zniszczenie zarażonych zbiorów. Ustalono dotąd, te Faza 5, podobnie Jak poprzednie, przenosi się zarówno przez korzenie, Jak i drogą powietrzną. Dzięki polityce niszczenia zarażonych roślin i dezynfekowanie gruntu w pewnej odległości wokół nich spodziewano się powstrzymać rozszerzenie się wirusa, dopóki nie zostanie odkryty środek, niszczący go radykalnie.

Polityka ta była umiarkowanie skuteczna. Faza 5, podobnie jak jej poprzedniczki, rozprzestrzeniała się po całym świecie, ale w krajach Zachodu zebrano mimo to około trzech czwartych normalnych plonów. Na Wschodzie sprawy przedstawiały się gorzej.

W sierpniu było Już wiadomo, że zbiory w Indiach zawiodły, w konsekwencji czego kraj ten stanął w obliczu głodu. Birmie i Japonii sytuacja nie wyglądała dużo lepiej.

Kraje zachodnie zaczęły rozważać celowość pomocy dla poszczególnych obszarów. Światowe zapasy zboża zostały już drastycznie zmniejszone na wiosnę, kiedy czyniono wysiłki, żeby uratować głodujące Chiny. Obecnie perspektywa niewielkich urodzajów

nawet na najmniej dotkniętych zarazą terenach sprawiła, że problem ten poddano pod dyskusję.

Na początku września Izba Reprezentantów Stanów Zjednoczonych zgłosiła poprawkę do prezydenckiej Ustawy o Pomocy Żywnościowej, żądając wprowadzenia zakazu wywozu żywności ponad ustalony limit. Pewna ilość produktów żywnościowych miała zostać zmagazynowana jako rezerwa na wyłączny użytek obywateli amerykańskich.

Ann nie mogła powstrzymać oburzenia, kiedy się o tym dowiedziała.

- się Miliony ludzi głodują - zawołała - a te spasione, stare łajdaki odnawiają im jedzenia!

Wszyscy czworo pili herbatę na trawniku przed domem Buckleyów. Dzieci otrzymały pewną ilość ciastek i wycofały się w krzaki, skąd od czasu do czasu dochodziły ich piski i wybuchy śmiechu.

- Co do mnie, nie jestem pewien, czy powinienem się na to oburzać - wyznał Roger - ponieważ sam mam nadzieję dożyć do wieku, kiedy stanę się spasionym starym łajdakiem.

- Musisz przyznać, że to było bezlitosne posunięcie - odezwał się John.

- Każdy akt samoobrony jest taki. Z Amerykanami jest ten kłopot, że zawsze wykładają karty na stół. Inne kraje produkujące zboże po prostu ukrywają swoje zapasy i będą siedzieć cicho.

- Nie mogę w to uwierzyć - oświadczyła Ann.

- Nie możesz? Zjem własny kapelusz, jeśli Rosjanie wyślą teraz na wschód chociaż jeden statek ze zbożem. Mam kilka starych kapeluszy, które, mogę poświęcić.

- Nawet jeśli masz rację - to jest jeszcze Kanada, Australia, Nowa Zelandia.

- Nie zrobią nic, jeżeli liczą się ze zdaniem brytyjskiego rządu.

- Dlaczego nasz rząd miałby ich powstrzymywać przed udzielaniem pomocy?

- Bo może sam jej potrzebować. Nasz rząd żywi wielką, powiedziałbym: rozpaczliwą nadzieję, że krew jest gęstsze, niż woda, która nas dzieli. Jeżeli wirus nie zniknie w ciągu roku...

- Ale ci ludzie teraz umierają z głodu!

- Współczujemy im z całego serca.

Spojrzała na niego z nagłą odrazą, - Jak możesz!

Roger odwzajemnił jej spojrzenie. - Zgodziliśmy się już kiedyś, że jestem zapóźniony w rozwoju, pamiętasz? Jeśli denerwuję ludzi z mojego otoczenia, to nie zapominaj, że czasami oni też mnie denerwują. Denerwuje mnie taka mętna gadanina. Uważam, że każdy powinien troszczyć się o siebie, i nie zamierzam czekać, aż ktoś przyłoży mi nóż do gardła. Nie widzę sensu w dzieleniu się ostatnim kęsem z głodującym żebrakiem.

- Ostatnim kęsem... - Ann objęła spojrzeniem stół i resztki obfitego

posiłku, - Ty to nazywasz ostatnim kęsem?

- Gdybym to ja rządził tym krajem - odparł Roger - od trzech miesięcy nie byłoby tu ani jednego ciastka, nie wspominając o chlebie, który jest ważniejszy. I wciąż jeszcze miałbym tyle zboża, żeby się dzielić z Azjatami. Dobry Boże! Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę z ekonomicznych uwarunkowań tego kraju?

- Jeśli mamy patrzeć bezczynnie, jak miliony ludzi umierają z głodu, i nie kiwnąć palcem, żeby im pomóc, to zasługujemy, żeby nas to samo spotkało - oświadczyła Ann.

- Czyżby? - sprzeciwił się Roger. - A kimże my jesteśmy, żeby decydować? Czy Kary, Davey i Steve mają umrzeć z głodu dlatego, że ja sobie tego życzę?

Olivia wtrąciła się: - Naprawdę uważam, że nie powinniśmy o tyra rozmawiać. Nikt z nas nie może na to nic poradzić. Możemy tylko mieć nadzieję, że zdołamy uniknąć najgorszego.

- Zgodnie z ostatnimi doniesieniami - oznajmił John — mają coś, co daje bardzo dobie wyniki w zwalczaniu Fazy 5.

- No właśnie! - wybuchnęła Ann, - W takim razie jak możemy usprawiedliwić wstrzymanie pomocy dla Wschodu? Że w przyszłym rokuj moglibyśmy mieć żywność na kartki?

- Bardzo dobre wyniki - powtórzył ironicznie Roger. - A słyszeliście, że odkryto trzy następne fazy, poza Fazą 5? Osobiście widzę tylko jedną nadzieję - trzymać się, dopóki wirus nie umrze ze starości, Wirusom czasem się to zdarza, A czy zostanie wtedy chociaż jedno źdźbło trawy, żeby zacząć od nowa - to już inna spraw.

Olivia popatrzyła na trawnik, na którym stały ich krzesła.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? - powiedziała. - To naprawdę zniszczy wszędzie całą trawę?

Roger wyrwał łodyżkę trawy i trzymał ją między kciukiem a palcem wskazującym,

- Oskarżają mnie o brak wyobraźni - zaczął - ale to nieprawda. Potrafię sobie doskonale wyobrazić głodujących Hindusów, Ale potrafię też sobie wyobrazić cały ten kraj ogołocony z zieleni, zamieniony w brązową pustynię, i nasze dzieci obgryzające korę z drzew.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Do uszu ich dochodziły radosne, pełne podniecenia okrzyki dzieci. Gdzieś w oddali śpiewał ptak.

John przerwał milczenie, - Lepiej już wracajmy, Muszę iść po samochód. Za długo to odkładam. - Zawołał Mary i Davey”a, - Wiesz, Rodge, to może się nigdy nie zdarzyć.

Roger mruknął; - Jestem równie leniwy, jak wy. Powinienem zacząć się przygotowywać - trenować walkę wręcz i uczyć się, jak najlepiej dzielić ludzkie ciało na pieczeń. A tymczasem siedzę bezczynnie.

W drodze do domu Ann wybuchnęła nagle;

- To nieludzkie! Bestialskie!

John ostrzegawczo kiwnął głową w stronę dzieci,

- Tak, wiem - uspokoiła go Ann. - Ale to okropne.

- On tylko dużo mówi, ale to nic nie znaczy - próbował ją uspokoić John.

- Nieprawda.

- Wiesz, Olivia miała rację. Sami nie możemy nic zrobić, Możemy tylko siedzieć i czekać, i mieć nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

- Nadzieję? Tylko nadzieję? Chyba nie powiesz, że uwierzyłeś jego ponure przepowiednie!

John nie odpowiedział od razu. Spoglądał na pożółkłe liście zaścielające starannie przycięte trawniki podmiejskich ogródków, samochód minął miejsce, gdzie trawa na przestrzeni dziesięciu czy piętnastu jardów została wyrwana z korzeniami; jeszcze jedno pole bitwy, widomy znak toczącej się wciąż kampanii przeciwko Fazie 5.

- Nie, chyba nie uwierzyłem. To się nie może zdarzyć, prawda?

Pod koniec jesieni ze Wschodu zaczęły nadchodzić coraz gorsze wiadomości. Najpierw Indie, potem Birma i Indochiny pogrążyły się w głodzie i barbarzyństwie. Japonia i wschodnie republiki Związku Radzieckiego zmierzały w tyra samym kierunku, a w Pakistanie fala zdesperowanych włóczęgów ruszyła na zachód i mimo że zakładała się z nieuzbrojonych, wycieńczonych głodem ludzi, doszła już do Turcji, zanim została powstrzymana.

Kraje stosunkowo mało dotknięte niszczycielskim wpływem wirusa Chung-Li patrzyły na to z naiwnym przerażeniem. Oficjalne wiadomości podkreślały rozmiary klęski głodu, wobec której każda pomoc byłaby jedynie kroplą w morzu potrzeb, ale unikały odpowiedzi na pytanie, czy wobec tego należy dzielić się żywnością z ofiarami katastrofy, czy też nie. Ci, którzy głosowali za wysyłaniem. W mniejszości i coraz bardziej tracili popularność w miarę, jak Zachód zaczynał sobie zdawać sprawę z rozmiarów katastrofy i z jej ogólnoświatowego zasięgu.

Dopiero przed samym Bożym Narodzeniem statki ze zbożem popłynęły znowu na wschód. Wówczas bowiem z południowej półkuli nadeszły krzepiące wiadomości - w Australii i Nowej Zelandii system czujnej kontroli i niszczenia zarażonych roślin zdawał egzamin i pozwalał ograniczyć rozszerzanie się wirusa, lato tego roku był wyjątkowo piękne i oczekiwano, że zbiory będą tylko niewiele mniejsze od przeciętnych.

Wraz z ogłoszeniem tych nowin powiało optymizmem. Katastrofę na Wschodzie, wyjaśniano, spowodowało w znacznej mierze wrodzone niedbalstwo Azjatów, Być może nie uda się całkowicie uchronić przed wirusem, ale przykład Australii i Nowej Zelandii pokazał, że można go utrzymać pod kontrolą. Jeśli zastosuje się podobne środki na Zachodzie, z pewnością można będzie przeżyć ograniczając racje

żywnościowe. A tymczasem w laboratoriach wciąż trwa walka z wirusem. Każdy dzień przybliża chwilę triumfu nad niewidzialnym wrogiem. W tej atmosferze trzeźwego optymizmu rodzina Custance wyjechała jak co roku na północ, żeby spędzić święta Bożego Narodzenia w Ślepej Dolinie.

Pierwszego dnia John wyszedł rano z bratem na obchód farmy.

Natknęli się na pierwszą łatę gołej ziemi nie dalej, niż sto jardów od domu. Była szeroka na około dziesięć stóp; czarna zamarznięta ziemia, naga pod zimowym niebem.

John podszedł wiedziony ciekawością, a David podążył za nim,

- Dużo masz tutaj takich miejsc? - zapytał Jo.

- Może z tuzin na całej farmie.

Trawa na krawędziach polanki, chociaż zamarznięte i trzeszczące pod stopami, wydawała się całkiem zdrowe.

- Wygląda na to, że dobrze sobie radzisz.

David potrząsnął głową. - To nic nie znaczy. Wszystko wskazuje na to, że wirus rozwija się tylko podczas okresu wegetacji, ale nie wiadomo, czy to znaczy że przez zimę pozostaje w stenie uśpienia, czy też ginie. Bóg jeden wie, co będzie na wiosnę.

Prawie trzy czwarte moich własnych ognisk infekcji pojawiło się pod koniec jesieni.

- Więc oficjalny optymizm nie robi na tobie wrażenia?

David pokazał laską obnażony skrawek gruntu:. - T o robi na mnie wrażenie.

- Pokonają go. Muszą.

- Było Rozporządzenie Królewskie - przypomniał David — że wszystkie pole, na których dotąd uprawiano zboże, mają być przeznaczone pod uprawę ziemniaków.

- Słyszałem o tym - kiwnął głową John.

- Właśnie zostało odwołane. We wczorajszym dzienniku.

- Muszą być pewni, że wszystko będzie dobrze,

- Mogą sobie być pewni - burknął David, - W przyszłym roku sadzę ziemniaki i buraki.

- Nie siejesz pszenicy, owsa?

- Ani akra.

John powiedział w zamyśleniu: - Jeśli do tego czasu wirus zostanie zniszczony, zboże osiągnie wysoką cenę.

- Myślisz, że inni o tym nie pomyśleli? Jak uważasz, dlaczego rozporządzenie zostało odwołane?

- To nie takie proste, co? - zauważył John. - Jeżeli zabronią siać zboże, a wirus zostanie pokonany, będziemy musieli kupować całe zboże za granicą po fantastycznych cenach.

- To jest gra - odparł David. - Życie albo wyższe podatki.

- Na pewno są duże szanse wygranej. - Dla mnie za małe, - David

potrząsnął głową. - Będę się trzymał ziemniaków.

David wrócił do tego tematu po południu w Wigilię. Mary i David junior wyszli na mroźne powietrze, żeby pozbyć się ociężałości po sutym świątecznym obiedzie. Troje dorosłych wolało trwać w spokoju, leżąc w wygodnych fotelach i jednym uchem słuchając symfonii Haydna z adapteru.

- Co tam słychać z twoim szkaradztwem, John? - zapytał David.

- Skończyliście je w terminie?

John przytaknął. - Prawie się porzygałem, kiedy je zobaczyłem w całej okazałości. Ale to, nad czym teraz pracujemy, pobije tamto po kilka punktów w skali brzydoty.

- Naprawdę musisz to robić?

- Musimy wykonywać zamówienia. Nawet architekt musi się dostosować do kaprysów zleceniodawcy, który za to płaci, a ja jestem tylko inżynierem.

- Ale przecież nic cię z tym nie wiąże?

- Tylko brak pieniędzy.

- Gdybyś chciał wziąć sobie roczny urlop, mógłbyś to zrobić?

- Oczywiście. Pozostawałby tylko niewielki problem - jak uchronić rodzinę od nędzy.

- Chciałbym, żebyście tu przyjechali na rok.

John, zaskoczony, usiadł prosto. - Co?

- Zrobilibyście mi przysługę, Nie musicie się martwić o finansową stronę rzeczy. Farmer może wydać swoje nieuczciwie zarobione pieniądze tylko na trzy sposoby; kupić więcej ziemi, wydać je na dziwki albo schować do pończochy. Nigdy nie chciałem mieć ziemi poza doliną i nie jestem dziewiarzem.

Po chwili John zapytał: - Czy to z powodu wirusa?

- Może to głupie - przyznał David - ale nie podoba mi się to wszystko, i widziałem zdjęcie pokazujące, co się stało na Wschodzie.

John popatrzył na Ann, która zaczęła protestować:

- Ale to było na Wschodzie. Nawet gdyby u nas zaczęło brakować żywności, to nasz kraj jest o wiele bardziej zdyscyplinowany. Jesteśmy przyzwyczajeni do reglamentacji i braków w zaopatrzeniu.

A w chwili obecnej nie ma powodu do niepokoju. To zbyt wiele żądać, żeby John rzucił pracę i żebyśmy wszyscy przez rok pasożytowali na tobie tylko dlatego, że sprawy mogą przybrać zły obrót.

- Wiem, że trudno sobie wyobrazić tam przyszłość - przyznał David. - Szczególnie kiedy siedzimy przy kominku z pełnymi brzuchami. Ale boję się.

- Nigdy jeszcze żadna choroba roślin czy zwierząt nie doprowadziła do wyginięcia całego gatunku - przypomniał John. - Nawet Czarna Śmierć.

David potrząsnął głową. - Nie możemy tego wiedzieć na pewno.

Tylko zgadujemy. Co zabiło wielkie jaszczury? Epoka lodowa? Konkurencje innych gatunków? Równie dobrze to mógł być wirus.

A co zniszczyło wszystkie rośliny, po których zostały tylko skamieniałości? Niebezpiecznie jest używać jako argumentu twierdzenia, że skoro ludzkość w przeciągu swojego krótkiego istnienia nie natrafiła na taki wirus, to on nie może istnieć. Człowiek może żyć długie lata i nigdy nie widzieć na własne oczy komety, ale to nie znaczy, że komety nie istnieją.

John próbował zakończyć dyskusję; - To bardzo ładnie z twojej strony, Dave, ale wiesz, że nie mógłbym tego zrobić. Lubię swoją pracę, chociaż rezultaty mogą ni się nie podobać. Jakbyś się czuł, gdybyś musiał spędzić cały rok w Highgate, siedząc na tyłku?

- W ciągu miesiąca zrobię z was farmerów.

- Może z Davey' a.

Ann spojrzała na tykający sennie zegar ścienny, który wisiał w tym miejscu od stu pięćdziesięciu lat, zdejmowany tylko przy wiosennych porządkach. Pomyślała, że tu, w tym cichym zakątku, zwycięstwo wirusa wydawało się jeszcze bardziej nieprawdopodobne, niż w Londynie.

- Zawsze możemy tu przyjechać, jeśli sprawy przybiorą zły obrót - odezwała się. - Ale na razie na to się nie zanosi.

- Zastanawiam się nad tym - odparł David. - Kiedy pierwszy raz przyjechaliśmy do doliny, dziadek Beverley powiedział mi coś, co zapamiętałem - powiedział, że kiedy wracał do doliny po jakiejś podróży, zawsze czuł, że może zamknąć drzwi ze sobą.

- Coś w tym jest - zgodziła się Ann.

- Jeśli sprawy przybiorą zły obrót - ciągnął David - w całej Anglii nie będzie zbyt wielu bezpiecznych miejsc, Ale to może być jedno z nich.

- Z ziemniakami i burakami - wtrącił John.

- I czymś jeszcze - David popatrzył na nich. - Zauważyliście ten stos desek przy drodze, zaraz za przesmykiem?

- Nowe budynki?

David wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zimowy pejzaż.

Wciąż patrząc przez okno powiedział;

- Nie. Nie budynki. Barykada.

Ann i John wymienili spojrzenia, Ann powtórzyła:

- Barykada?

David odwrócił się na pięcie, - Blokada, jeśli wolicie, Do tej doliny będzie prowadzić brama - brama, którą garstka ludzi będzie mogła obronić przeciw tłumom.

- Mówisz poważnie? - zapytał John,

Przyglądał się z niedowierzaniem starszemu bratu, który zawsze był taki spokojny, solidny i pozbawiony wyobraźni. Nadal był spokojny i zrównoważony, jakby nie zdawał sobie w pełni sprawy z wszystkich

implikacji tego, co powiedział,
- Całkiem poważnie — odparł.
- Ale jeżeli do niczego nie dojdzie... - zaczęła Ann.
- Wieśniacy będą się mieli z kogo wyśmiewać - dokończył David,
Będą mówili, że Custance zwariował. Mogę wyjść na głupca, ale zaryzykuję. Czuję w kościach, że to się źle skończy, i wolę się zabezpieczyć. Może zrobię z siebie pośmiewisko, ale to się nie liczy.
Jego spokojne pewność siebie zrobiła na nich wrażenie; poczuli zwłaszcza Ann - że pragną ulec jego namowom, przyłączyć się do niego, odgrodzić się od niespokojnego świata na zewnątrz.
Miłe uczucie to szybko minęło; musieli pamiętać o codziennych obowiązkach. Ann niechętnie zaczęła: - Dzieci mają szkołę...
David odczytał jej uczucia, ale nie okazał zdziwienia ani niezadowolenia. Odpowiedział spokojnie:
- W Lepeton też jest szkoła. Przez jeden rok mogą tu wytrzymać.
Ann spojrzała bezradnie na męża, John bąknął:
- Jest mnóstwo problemów... - Wrażenie, jakie wywarły na nim słowa Davida, już się zatarło; mało prawdopodobne, żeby jego przepowiednie miały się spełnić, - W każdym razie gdyby sytuacja miała się pogorszyć, zostaniemy ostrzeżeni wystarczająco wcześnie. Jak tylko zaczną się kłopoty, zaraz tu przyjedziemy.
- Nie zwlekajcie za długo - mruknął David.
Ann zadrżała i otrząsnęła się. - Za rok to wszystko będzie nam się wydawało dziwne.
- Tak - odpowiedział David - może tak będzie.

ROZDZIAŁ 4

Nastrój chwilowego odprężenia, który wydawał się ogarniać świat, utrzymywał się przez całą zimę. W zachodnich krajach opracowano system reglamentacji żywności i w paru przypadkach wprowadzono go w życie. W Anglii nie można było dostać ciastek, ale chleba było jeszcze pod dostatkiem. Prasa wciąż przerzucała się od optymizmu do pesymizmu i z powrotem, ale ton artykułów stał się bardziej umiarkowany. Najważniejszym i najczęściej roztrząsanym problemem było pytanie, ile jeszcze czasu upłynie, zanim wirus zostanie zniszczony i życie wróci do normy.
Znamienne było, myślał John, że nikt już nie wspominał o próbach przywrócenia do życia spustoszonych terenów w Azji. Nadmienił o tym Rogerowi Buckley podczas lunchu pod koniec lutego. Spotkali się w klubie Rogera - “Treasury”.
- Jasne, staramy się nie myśleć o nich za dużo - odpowiedział Roger. - To tak, jakbyśmy odcięli część świata i pozostawili tylko Europę, Azję, Australię i obie Ameryki. - W zeszłym tygodniu widziałem kilka zdjęć

zrobionych w Środkowych Chinach. Jeszcze parę miesięcy temu te zdjęcia ukazałyby się w prasie, ale teraz nikt nie zamierza ich opublikować.

- Jak wyglądały?

- Były kolorowe. Pełne smaku kompozycje brązu, żółci i szarości, Tylko goła ziemia i glina. Czy wiesz - na swój sposób były to bardziej przerażające, niż wszystkie zdjęcia głodujących ludzi.

Kelner z piwem pojawił się bezszelestnie i obsłużył ich z całym powolnym ceremoniałem. Kiedy odszedł, John zapytał:

- Przerażające?

- Przeraziły mnie. Dotąd nie zdawałem sobie całkowicie sprawy, jakiego spustoszenia dokonuje wirus. Automatycznie człowiek wyobraża sobie, że trochę trawy zostanie, chociaż parę stępek tu i tam. Ale nie zostaje nic. Oczywiście tylko trawa znika, ale zdziwiłbyś się, gdybyś sobie uświadomił, jak wielkie połacie ziemi pokryte są różnymi rodzajami traw.

- Słyszałeś jakieś plotki, co zamierzają z tym zrobić?

Roger niezdecydowanie pokręcił głową, - Ujmijmy to tak: pogłoski w kołach oficjalnych są tak samo niejasne, jak te, które można znaleźć w gazetach, tylko bardziej utajnione.

John zmienił temat: - Mój brat zamierza się zabarykadować. Mówiłam ci o tym?

Roger pochylił się ku niemu z zaciekawieniem, - Ten farmer?

Co chcesz przez to powiedzieć - zabarykadować się?

- Opowiadałem ci o tym miejscu - o Ślepej Dolinie, otoczonej przez wzgórze, do której prowadzi tylko jeden wąski przesmyk, on zamierza zagrodzić ten przesmyk i zamknąć wejście.

- Mów dalej. To interesując.

- To właściwie wszystko. On się niepokoi o następny sezon - gdy dotąd nie widziałem, żeby się czymś tak przejmował. Na wszelki wypadek postanowił na wszystkich swoich gruntach uprawiać rośliny bulwiaste. Nawet chciał, żebyśmy wszyscy pojechali tam na rok.

- Dopóki kryzys nie minie? Chyba naprawdę się przejął.

- A jednak - ciągnął John - od tamtej chwili zacząłem się tym zastanawiać... Z nas dwóch Dave zawsze był bardziej zrównoważony, a poza tym w tych sprawach nie należy lekceważyć opinii mieszkańców wsi. W korcu tu w Londynie otrzymujemy tylko wyselekcjonowane informacje.

Roger spojrzał na niego z uśmiechem. - Coś w tym jest, co mówisz, Johnny, ale nie zapominaj, że ja jestem jednym z tych, którzy selekcjonują informacje. Powiedz mi - gdybym wystarczająco wcześnie przekazał ci ostrzeżenie o mającej nastąpić katastrofie, myślisz, że w kryjówce twojego brata znalazłoby się trochę miejsce dla naszej trójki?

John zapytał w napięciu: - Uważasz, że dojdzie do katastrofy?

- Jak dotąd nic na to nie wskazuje. Ci, którzy powinni coś wiedzieć, promieniują tym samym optymizmem, który możesz znaleźć w gazetach. Ale podoba mi się "'Slepa Dolina" jako nazwa dla mojej polisy ubezpieczeniowej. Będę trzymał rękę na pulsie wydarzeń.

Gdy tylko poczuję jakieś ostrzegawcze drgnięcie, natychmiast zabieramy rodziny i po cichu wyjeżdżamy na północ. Co o tym sądzisz? Czy twój brat nas przyjmie?

- Tek, oczywiście - John zastanowił się nad tym pomysłem. - myślisz, czy zdołasz wychwycić ostrzeżenie wystarczająco wcześnie?

- Z pewnością. Będę cię informował na bieżąco. W tym przypadku możesz na mnie polegać, że zachowam maksymalną ostrożność. Nie uśmiecha mi się dać się zeskoczyć w Londynie podczas klęski głodu.

Obok nich przejechał popychany przez kelnera wózek z bogatym asortymentem serów. Otaczała ich senne atmosfera jadalni londyńskiego klubu w porze obiadu. W powietrzu unosił się przytłumiony, spokojny szmer głosów.

John uczynił gest w bliżej niesprecyzowanym kierunku.

- Trudno sobie wyobrazić, że coś mogłoby naruszyć ten spokój.

Roger odwrócił się i objął wzrokiem całą scenerię. Jego spojrzenie było łagodne, lecz czujne.

- Rzeczywiście trudno. Poza tym, jak to nam wystarczająco często powtarzały gazety, nie jesteśmy Azjatami. To będzie całkiem interesujące patrzeć, jak wszyscy staramy się zachować angielską flegmę, podczas gdy nad naszymi głowami szaleje burza. Nienaruszalny spokój. Ale co będzie, jeśli nie wytrzymamy?

Pojawił się kelner niosąc kotlety, Był to niewielki, gadatliwy człowieczek, nie tak wytworny, jak pozostali.

- Jednakże jakkolwiek by to nie było interesujące - dodał Roger - nie mam zamiaru być tego świadkiem.

Wiosna przyszła późno; przez cały marzec i początek kwietnia było zimno, sucho i pochmurnie. Wreszcie w drugim tygodniu kwietnia nad Anglię napłynęło cieplejsze, wilgotne powietrze i wówczas zaskoczeni obywatele odkryli, że wirus Chung-Li i nie utracił przez zimę nic ze swego wigoru. Kiedy na polach, łąkach i w ogrodach zaczęła wyrastać trawa, jej źdźbła naznaczone były prążkami ciemniejszej zieleni - zieleni, która rozszerzała się i przechodziła w zgniły brąz. Przed tym ponownym atakiem nieprzyjaciela nie było ucieczki.

John skontaktował się z Rogerem i zapytał:

- Jakie wiadomości?

- Bardzo dobre, i to ranie dziwi.

- Na moim trawniku jest tego pełno - poinformował go John, - Zacząłem wycinać tę trawę, ale potem zobaczyłem, że w całej dzielnicy trawa jest zarażone.

- Na moim też - przyznał Roger. - Wszędzie brązowy kolor gnicia. W

dodatku zniesiono kary za uchylanie się od obowiązku niszczenia zarażonej trawy.

- W takim razie co to ze dobre wiadomości? Dla mnie to wygląda ponuro.

- Jutro to będzie w gazetach. Faceci z UNESCO zaklinają się, że rozwiązali problem. Wyhodowali wirusa, który pasożytuje na Chung-Li - na wszystkich odmianach.

- Te wiadomości pojawiły się jakoś w samą porę - stwierdził podejrzliwie John. - Nie myślisz czasem...

Roger uśmiechnął się. - To była pierwsza rzecz, o której pomyślałem.

Ale biuletyn zawierający te dane został podpisany przez zespół poważnych naukowców, włączając w to paru, którzy nie żałowaliby wyników najdrobniejszego eksperymentu, żeby uratować od śmierci matkę staruszkę. Wyniki są prawdziwe.

- Uratowani w ostatniej chwili - wyszeptał John. - Nie chcę nawet myśleć, co by się mogło stać w przyszłym roku, gdyby nie to.

- Też wolę o tym nie myśleć - Przyznał się Roger. - Za żadne skarby nie chciałbym w tym uczestniczyć.

- Zastanawiam się, czy nie wysłać dzieci z powrotem do szkoły. Przypuszczam, że teraz wszystko wróci do normy.

- Lepiej to zrób - poradził mu Roger, - Na pewno będą trudności w zaopatrzeniu, bo w tym roku nie zdąża już wprowadzić do akcji nowego wirusa na tak wielką skałę, żeby uratować zbiory.

W Londynie to się bardziej odczuje, niż na prowincji.

Raport UNESCO został opublikowany we wszystkich środkach masowego przekazu. W tym samym czasie rząd ogłosił swoją ocenę sytuacji. Stany Zjednoczone, Kanada, Australia i Nowa Zelandia posiadały zapasy zboża i były przygotowane, żeby w najbliższym czasie wprowadzić reglamentację żywności. W Wielkiej Brytanii wprowadzono podobne, lecz ostrzejsze ograniczenia w spożyciu produktów zbożowych i mięsa.

Jeszcze raz nastroje się poprawiły. Połączenie wiadomości o powiązaniu problemu wirusa i wprowadzeniu reglamentacji żywności dawało efekt pokrzepiający i podnoszący na cuchu. Kiedy przyszedł list od Devida, jego ton wydawał się niemal śmiesznie nie na czasie.

David pisał:

W dolinie nie zostało ani jedno źdźbło trawy. Wczoraj zabiłem ostatnie krowy - spodziewam się, że ktoś w Londynie miał dość rozsądku, żeby w ciągu zimy przygotować dodatkowe chłodnie na mięso.

Tutaj przez kilka tygodni nie będziemy mieli co robić z wołowiną. Swoje mięso zasoliłem. Nawet jeśli wszystko pójdzie dobrze, płyną lata, zanim ten kraj znowu zobaczy mięso - albo mleko, albo ser.

Chciałbym móc uwierzyć, że wszystko będzie dobrze. To nie znaczy że nie wierzę w ten raport - znam reputację ludzi, którzy go podpisali - ale reporty niewiele dla mnie znaczą, kiedy widzę, że tam, gdzie było zielono, jest teras czarna ziemia.

Nie zapominajcie, że jesteście zawsze mile widziani, kiedykolwiek zdecydujecie się spakować i przyjechać, Możemy żywić się jarzynami i wieprzowiną - dalej trzymam świnie, bo to jedyne zwierzęta, które mogą rosnąć na diecie złożonej z ziemniaków. Poradzimy sobie bardzo dobrze. Martwię się tylko o resztę świata.”

John popchnął list przez stół do Ann i podszedł do okna,

Ann przeczytała i skrzywiła się,

- On ciągle okropnie się tym przejmuje, prawda? - zauważyła.

- Właśnie.

Popatrzył na to, co niegdyś było trawnikiem, a teraz zamieniło się w spłachetek brązowej ziemi z kilkoma chwastami. Już się przyzwyczaił do tego widoku,

- Nie przypuszczasz - zaczęła Ann - że mieszkając tam tylko z Hillenami i parobkami z farmy szkoda, że się nigdy nie ożenił.

- Chcesz powiedzieć, że jest stuknięty? Nie tylko on się martwi, co będzie dalej.

- Ale on strasznie przesadza - odparła Ann. Po chwili dodała:

- Mimo wszystko w jakiś sposób czuję, że byłoby bardziej sprawiedliwe, gdyby to wirus zwyciężył. Od dawna już traktujemy ziemię jak swoją własność, usiłujemy wydrzeć jej skarby, A przecież ziemia oznacza życie.

- Za łatwo się przystosowujemy - zauważył John. - Nigdy nie zwracaliśmy większej uwagi na trawę, więc teraz, kiedy jej nie menie widzimy dużej różnicy, Tylko, że to będzie miało o wiele poważniejsze skutki.

- Ale on prawie jakby chciał, żeby wirus zwyciężył!

- Wieśniacy nigdy nie darzyli sympatią mieszkańców miasta i nie ufali im. Dla nich miasto to żarłoczny, leniwy stwór, wiecznie łaknący jedzenia. Przypuszczam, że większość farmerów byłaby zadowolona widząc, jak miastowi dostają po nosie. Ale tylko wtedy, gdyby to nie było nic poważnego. Nie sądzę, żeby David naprawdę chciał, żeby Chung-Li nas pokonał. On tylko próbuje wziąć to pod uwagę.

Ann nie odpowiedziała, John odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Wpatrywała się w pusty ekran telewizora, ściskając w ręku list Davida.

- Może na starość stał się trochę zbyt nerwowy. Samotnym farmerom to się zdarza.

Ann odezwała się w końcu, - Ta umowa - że Roger ostrzeże nas, kiedy sytuacje się pogorszy, żebyśmy mogli na czas wyjechać na północ - czy ciągle obowiązuje?

John spojrzał na nią z zaciekawieniem. - Tak, oczywiście. Chociaż

teraz nie jest już chyba potrzebne.

- Możemy na nim polegać?

- A jak uważasz? Nawet gdyby chciał ryzykować naszym życiem, przecież nie ryzykowałby własnym i Olivii, i Steve' a.

- Pewnie masz rację, tylko ...

- Zresztą gdyby miały się zacząć kłopoty, nie będziemy potrzebowali ostrzeżenia Rogera. Sami się zorientujemy dużo wcześniej.

- Myślałam o dzieciach - wyznała Ann.

- Z nimi wszystko będzie dobrze. Davey nawet polubił puszkowe hamburgery, które nam przysyłają Amerykanie.

Ann uśmiechnęła się. - To prawda, zawsze możemy liczyć na hamburgery w puszkach.

Kiedy dzieci przyjechały na letnie wakacje. Jak zwykle wybierali się z Buckieyami nad morze. To była dziwna podróż przez spustoszony, przygnębiająco nagi kraj; monotonię ogołoconych pól urozmaicały jedynie plantacje ziemniaków. Ale sama droga była tak zatłoczona, jak zawsze, i jak zawsze trudno było znaleźć wolny kawałek plaży.

Było ciepło, ale pochmurnie i od czasu do czasu zaczynał siąpić deszcz. Nie odeszli daleko od przyczepy. Zatrzymali się na wysokim brzegu dającym dobry widok na Kanał i kamienistą plażę, Davey'a i Seve'a zainteresowała flotylla małych stateczków unosząca się falach parę mil od brzegu.

Kutry rybackie - wyjaśnił im Roger. - Łowią ryby, żeby dostarczyć nam mięsa, skoro nie ma już trawy, żeby wyżywić bydło,

- Od poniedziałku ryby mają być na kartki - wtrąciła Olivie. Pomyśleć tylko - ryby na kartki!

- Najwyższy czas - skomentowała Ann. - Ceny zaczęły już być straszne.

- Delikatny mechanizm brytyjskiej gospodarki narodowej działa spokojnie i skutecznie - zakpił Roger. - Powiedziano nam, że różnimy się od Azjatów, i, na Boga, to jest prawda! Wprowadzają już większe ograniczenia, ale nikt się nie skarży - po prostu coraz mocniej zaciskamy pasa.

- Narzekanie nic by nie dało, prawda? - zauważyła Ann.

- Teraz, kiedy mamy przed sobą perspektywę, że to wszystko wkrótce się skończy, to co innego - dodał John. - Wątpię, czy w przeciwnym wypadku bylibyśmy tacy spokojni i zdyscyplinowani.

Mary, które wycierała się w przyczepie po kąpieli, wytknęła głowę przez okno.

- W szkole zawsze można było wymienić beczkę śledzi na dwadzieścia funtów ziemniaków - teraz już dochodzi co dwustu funtów za puszkę. Widzisz tu Jakieś perspektywy, tato?

- Placki ziemniaczane - odparł John - a wokół stołu będzie krążyć pusta puszka po rybach, którą każdy będzie mógł powąchać przed

jedzeniem. Również bardzo pożywne.

Davey odezwał się: - Nie rozumiem, dlaczego słodycze też są na kartki. Przecież cukierków nie robi się z trawy?

- Za dużo ludzi zaczęło uzupełniać braki w wyżywieniu słodyczami - wyjaśnił mu John. - Łącznie z tobą. Teraz musisz się ograniczyć do swojego przydziału i do tego, co Mary zostawi z przydziału matki i mojego. I tak masz szczęście. Co by było, gdybyś był sierotą?

- No, a jak długo potrwa reglamentacje?

- Jeszcze przez parę lat, więc lepiej spróbuj się przyzwyczaić.

- To świństwo - oświadczył Davey - wszystko reglamentowane, a nawet nie ma wojny. Zawsze to by było jakieś urozmaicenie.

Dzieci wróciły do szkoły, a rodzice do codziennych obowiązków. Z początku, kiedy John i Roger zawarli swoje, umowę, John pilnował, żeby telefonować do Rogera za każdym razem, kiedy nie widzieli się przez parę dni, ale teraz nie zawracał sobie tym głowy.

Przydziały żywności stopniowo się zmniejszały, ale wciąż jeszcze było dość jedzenia, żeby nie dopuścić do prawdziwego głodu. Podawano, że w niektórych krajach w podobnej sytuacji dochodziło do zamieszek na tle braku żywności, szczególnie w krajach śródziemnomorskich. Londyn przyjmował to z satysfakcją, przeciwstawiając owemu chaosowi zdyscyplinowanie własnych obywateli, cierpliwie i karnie stojących w kolejkach po reglamentowane towary

“Jeszcze raz” pisał korespondent Daily Telegrach - “Brytyjczycy mieli okazję zaprezentować światu przykład nieugiętej i lojalnej postawy w obliczu nieszczęścia. Naród angielski posiada wytrwałość i hart ducha, które nie zwiodą go nigdy, cokolwiek się stanie.”

ROZDZIAŁ 5

John pojechał na plac budowy nowego domu, który znajdował się na granicy City. Nowy dźwig sprawiał kłopoty i wszystko zależało od tego, czy uda się go naprawić. Obecność Johna nie była, ściśle biorąc, konieczna, ale to on zlecił użycie nowego typu dźwigu, którego dotąd nie stosowali, i chciał dopilnować wszystkiego na miejscu.

Znajdował się właśnie w kabinie dźwigu, spoglądając w dół na fundamenty budynku, kiedy zobaczył Rogera dającego mu z dołu rozpaczliwe znaki. Pomachał w odpowiedzi, a wtedy Roger zaczął jeszcze gwałtowniej gestykulować, przynaglając go do zejścia,

John odwrócił się do mechanika, który grzebał obok we wnętrznościach maszyny. - Jak teraz?

- Trochę lepiej. Myślę, że do południa damy sobie z nim radę.

- Zaraz wracam.

Roger czekał na niego na dnie wykopu.

- Wpadłeś, żeby zobaczyć ten bałagan na własne oczy? — zapytał John.

Roger nie uśmiechnął się w odpowiedzi. Zamiast tego rozejrzał się po zatłoczonym placu budowy.

- Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

John wzruszył ramionami. - Mogę wyrzucić kierownika z jego biura. Ale zaraz po drugiej stronie ulicy jest mały pub i lepiej tam chodźmy,

- Gdzie chcesz, byle zaraz. O.K.?

Twarz Rogera byłe tak łagodna i spokojna, jak zawsze, ale ego głos brzmiał ostro i nalegająco. Razem przeszli przez ulicę. “Pod winogronami” był to mały, prywatny bar, który nigdy nie był specjalnie zatłoczony, a teraz, o wpół do dwunastej, świecił pustkami.

John zamówił dwie podwójne whisky i zaniósł je do najbardziej oddalonego od baru stolika w rogu, który zajął Roger.

- Złe wiadomości? - zapytał.

- Musimy wiać - oznajmił Roger. Pociągnął łyk whisky, - Zaczęło się.

- Go?

- Skurwysyny! - wybuchnął Roger. - Cholerni mordercy! Nie jesteśmy Azjatami, jesteśmy cholernymi porządnymi Anglikami, którzy grają w krykieta.

Jego pełna rozgoryczenie, nie udawana wściekłość uświadomiła Johnowi, że nadszedł kryzys. Zapytał ostro:

- Co jest? Co się stało?

Roger dokończył drinka, zatrzymał przechodzącą kelnerkę i wił następnego. Kiedy go otrzymał, zaczął:

- Po pierwsze - gem, set i wielka wygrana dla Chung-Li. Przegraliśmy.

- A co z anty-wirusem?

- Te wirusy to zabawne stworzonka - stwierdził Roger. - Pokonują wszystkie przeszkody, tyle że na mniejszą skalę. Przez jakiś czas - sto lat albo kilka miesięcy - panują nad światem, a potem - koniec, zostają starte z powierzchni ziemi. Nieczęsto ma się do czynienia z wirusem, który jak Imperium Rzymskie utrzymałby swoje panowanie przez tysiąc lat,

- No i co?

- No i wirus Chung-Li jest takim Imperium Rzymskim. Gdyby anty-wirus był tak silny, jak Francja czy Hiszpania, wszystko byłoby w porządku, Ale można go porównać najwyżej ze Szwecją. Wciąż istnieje, ale w osłabionej, zmodyfikowanej postaci, jaką wirusy często przybierają. Nie zagraża więcej Chung-Li.

- Kiedy to się stało?

- Bóg jeden wie. Jakiś czas temu. Udało im się utrzymać to w tajemnicy, podczas gdy próbowali odtworzyć agresywną odmianę.

- Z pewnością próbują dalej.

- Nie wiem. Możliwe. To już nie ma znaczenie.

- Oczywiście, że ma znaczenie.

- W ciągu ostatniego miesiąca - mówił dalej Roger - ten kraj istniał dzięki ciągłym dostawom żywności. Zapasy w magazynach wystarczają zaledwie na trzy dni. Faktycznie jesteśmy całkowicie uzależnieni od dostaw żywności z Ameryki i krajów Wspólnego Rynku. Wiedziałem o tym wcześniej, ale nie wydawało mi się to ważne. Mieliśmy zapewnioną żywność.

Pojawiła się ponownie kelnerka i zaczęła przecierać kontuar baru, gwiżdżąc popularną melodię. Roger zniżył głos.

- Uważam, że mój błąd był do wybaczenia. W normalnych okolicznościach umowy o dostawach żywności byłyby honorowane. Zbyt wielka część świata pogrążyła się już w barbarzyństwie; ludzie skłonni byli do pewnych poświęceń, żeby uratować resztę.

- Ale bliższa ciału koszula ... Dlatego powiedziałem, że nie ma znaczenia, czy uda im się doprowadzić anty-wirusa do formy, Ważne jest, że ludzie, którzy mają żywność, już w to nie uwierzą

W rezultacie nie będą chcieli pozbywać się jedzenie, którego w zimie mogą sami potrzebować. Wczoraj przybił do brzegu w Liverpool ostatni statek z żywnością zza Atlantyku. Mogą być jeszcze w drodze jakieś statki z Australii i Nowej Zelandii, o ile nie zostały wcześniej odwołane z powrotem.

- Rozumiem - powiedział powoli John. Spojrzał na Rogera. - czy to miałeś na myśli, kiedy krzyczałeś o skurwysynach i mordercach? Ale przecież muszą się zatroszczyć o swoją ludność. To nie od nas zależy ...

- Nie, nie o to mi chodziło. Mówiłem ci, że mam wtyczkę na samej górze. To Haggerty, sekretarz premiera. Kilka lat temu wyświadczyłem mu ważną przysługę. Teraz odpłacił mi z nawiązką, dostarczając mi poufnych wiadomości. Wszystko rozegrało się na szczeblu rządowym. Nasi ludzie od tygodnia wiedzą, co się stało. Próbowali nakłonić dostawców żywności, żeby zmienili zdanie - i czekali na cud, jak przypuszczam. Ale wszystko robili w tajemnicy - nie chcieli, żeby jakiekolwiek pogłoski o ich poczynaniach przedostały się do wiadomości publicznej, ponieważ opinia publiczna mogłaby protestować przeciwko podjęciu pewnych kroków, które uznali za stosowne. To zadowalało obie strony - tamci za oceanem też będą musieli przedsięwziąć środki ostrożności, zanim nowina się rozejdzie - oczywiście nieporównywalne z naszymi, ale wystarczające.

- A nasze środki? - zapytał John, - Na czym polegają?

- Wczoraj upadł rząd. Welling zajął fotel premiera, ale Lucas Jest nadal członkiem gabinetu. To wszystko bardzo przypomina rewolucję pałacową. Lucas po prostu nie chce mieć krwi na rękach.

- Krwi?

- Na tych wyspach żyje pięćdziesiąt cztery miliony ludzi, z czego

około czterdzieści pięć milionów w Anglii. Na diecie złożonej z buraków i ziemniaków może przeżyć najwyżej jedna trzecia. Problem tylko, jak wybrać tych, którzy przeżyją?

John odpowiedział ponuro: - To chyba oczywiste. Ludzie sami muszą wybrać.

- To by prowadziło do nadużyć, naruszałoby porządek i dyscyplinę. W tym kraju zawsze traktowaliśmy lekko problem dyscypliny, ale jest ona głęboko zakorzeniona w każdym z nas, co zwykle się ujawnia w sytuacjach kryzysowych.

- Welling - zamyślił się John. - Nigdy nie brałem go poważnie.

- Cóż, nowe czasy tworzą nowych ludzi. Sam nie lubię tej świni, ale ktoś taki jak on musiał dojść do władzy, Lucas nigdy nie potrafił podjąć żadnej decyzji, - Roger patrzył prosto przed siebie, unikając wzroku Johna, - Wojsko zaczyna już zbierać się na przedmieściach Londynu i otaczać pozostałe miasta. Jutro o świcie wszystkie drogi zostaną zamknięte.

- Jeśli to najlepsze, co zdołał wymyślić ... - parsknął John.

- Żadna armia na świecie nie zdoła powstrzymać naporu ludzi, który; głód zajrzał w oczy. Co on chce przez to zyskać?

- Czas. Wystarczającą ilość tego cennego środka, żeby zakończyć przygotowania do drugiego aktu.

- I co to ma być?

- Bomby atomowe na mniejsze miasta, bomby wodorowe na większe, jak Liverpool, Birmingham, Glasgow, Leeds - i dwie lub trzy na Londyn. Nie szkodzi, że się zmarnują - i tak w przyszłości nie będą już potrzebne.

Na chwilę zapadła cisza. Potem John powiedział powoli:

- Nie mogę w to uwierzyć. Nikt by w to nie uwierzył.

- Lucas nie uwierzył. Lucas zawsze był przywódcą zwykłych, szarych ludzi - miał drobnomieszczańskie uprzedzenia, ambicje i zamierzenia. Ale Lucas jako członek gabinetu Wellinga będzie stał z boku, ostentacyjnie umywając ręce, kiedy te plany będą realizowane. Czego innego można oczekiwać od szarego człowieka?

- Nigdy nie znajdą ludzi, żeby wykonać ten zamiar.

- Żyjemy w nowej epoce - pouczył go Roger, - A raczej w bardzo starej. Szeroko pojęte lojalność stałe się jednym z luksusów cywilizacji. Odtąd pojęcie lojalności zawęża się, a im jest węższe tyra ściślej należy jej przestrzegać. Gdyby to był jedyny sposób ocalenia Olivii i Steve” a, sam poprowadziłbym jeden z tych samolotów.

Zaszokowany, John zdołał tylko wykrzyknąć: - Nie!

- Kiedy powiedziałem, że to skurwysyny i mordercy - ciągnął Roger - mówiłem to z oburzeniem, ale i ze szczerym podziwem. Od dziś zamierzam sam zostać mordercą, jeśli zajdzie potrzeba, i mam nadzieję, że ty również jesteś na to przygotowany.

- Ale zrzucać bomby wodorowe na miasta - na swoich własnych rodaków ...

- Tak, na to właśnie Welling potrzebuje czasu. Przypuszczam, że to zajmie co najmniej dwadzieścia cztery godziny - może nawet czterdzieści osiem. Nie bądź głupi, Johnny! Nie tek dawno to było, kiedy poczucie solidarności nie wykraczało poza granicę własnej wsi. A postępek Wellinga może być nawet uznamy ze akt miłosierdzia.

- Miłosierdzia? Bomby wodorowe?

- Ci ludzie umrą. W całej Anglii zginie co najmniej trzydzieści milionów, zanim pozostali zdołają sobie zapewnić przeżycie. Jak byś wolał zginąć - z głodu lub pożarty przez innych czy od bomby wodorowej? To jest przynajmniej szybka śmierć. A w ten sposób można ograniczyć tę liczbę do trzydziestu milionów i zachować zbiory w całości dla pozostałych. Tak to uzasadniają.

Z drugiego baru doleciały dźwięki muzyki, kiedy kelnerka włączyła przenośne radio. Życie toczyło się dalej, spokojnie, jak gdyby nigdy nic,

- To się nie uda - stwierdził John.

- Skłonny jestem się z tobą zgodzić - przyznał Roger, - Przypuszczam, że nastąpi przeciek informacji i w miastach wybuchnie panika, zanim Welling zdoła ustawić w szyku swoje bombowce. Ale nie mam żadnych złudzeń, że to w jakiś sposób poprawi sytuację. Przewiduję, że to będzie oznaczało śmierć pięćdziesięciu milionów ludzi zamiast trzydziestu i o wiele bardziej prymitywne i barbarzyńskie warunki egzystencji dla tych, co przeżyją. Kto zdoła obronić pola ziemniaczane przed rozszalałymi tłumami? Kto uratuje sadzonki ziemniaków na przyszły rok? Welling to świnią, ale przewidująca świnia. Na swój sposób stara się uratować kraj.

- Uważasz, że wiadomość się rozejdzie? - zapytał John.

Wyobraził sobie Londyn pogrążony w panice i siebie z Ann.

Jak nie mogą wydostać się z miasta, żeby odnaleźć dzieci.

Roger wyszczerzył zęby. - Trochę niepokojące, no nie? Śmieszne, ale wydaje mi się, że jeśli raz pozostawimy za sobą miliony mieszkańców Londynu, nie potrzebujemy się ich więcej obawiać.

A im szybciej wyjedziemy, tym lepiej, John zaczął: - Dzieci ...

- Mary jest w Beckenham, a Davey w tej szkole w Hertfordshire. Pomyślałem o tym. Możemy zabrać Davey”a po drodze, jadąc na północ,

Moim zadaniem jest odebrać Mary. Natychmiast. Ja zawiadomię Ann. Będzie mogła zapakować najważniejsze rzeczy. Olivia, Steve i ja załadujemy samochód i przyjedziemy do was. Kiedy wrócisz z Mary, złądujemy wesz samochód i ruszymy. Powinniśmy, jeśli to możliwe, wyjechać z Londynu jak najwcześniej , zanim się ściemni.

- Chyba masz rację - zgodził się John.

Roger powiódł spojrzeniem, po wnętrzu baru - kwiaty w błyszczącej

miedzianej wazie, kalendarz na ścianie, kołyszący się w lekkim przeciągu, podłoga jeszcze wilgotne od szorowania.

- Pożegnaj się z tym - nakazał. - To świat, który przeminął. Odtąd będziemy nędzarzami, którzy mają szczęście, że żyją.

Bieckenham, powiedział mu Roger, było jednym z miejsc wyznaczonych do bombardowania. Wprowadzono go do gabinetu Miss Errington, dyrektorki szkoły, i poproszono, żeby chwilę zaczekał, pokoju panował porządek i atmosfera kobiecości. Ta kombinacja swojego czasu wywarła na Ann równie wielkie wrażenie, jak sama Miss Errington. Była to kobieta bardzo wysoka i w pewien nieuchwytny sposób śmieszna.

Pochyliła głowę wchodząc w drzwi.

- Dzień dobry, penie Custance. Przepraszam, że kazałam panu czekać.

- Mam nadzieję, że nie oderwałem pani od lunchu?

Uśmiechnęła się. - W dzisiejszych czasach to taki drobiazg.

że nie ma o czym mówić, panie Cuastance. Przyjechał pan po Mary?

- Tak, Chciałbym ją zabrać ze sobą.

- Proszę, niech pan siada - powiedziała Miss Errington. Spojrzała na niego ze spokojnym zainteresowaniem. - Chce pan ją zabrać? Dlaczego?

Te słowa sprawiły, że poczuł gorzki ciężar swojej tajemnicy. Nie wolno mu było nikogo ostrzec; Roger nalegał na to i John się zgodził. Podstawowym warunkiem powodzenia ich plenów, tak samo, jak niszczycielskich zamiarów Wellinga, było utrzymanie całej sprawy w sekrecie.

A to oznaczało, że musiał skazać tę wysoką, dystyngowaną kobietę razem z jej podopiecznymi na śmierć.

- To sprawa rodzinna - wyjaśnił niepewnie. - Ktoś z rodziny, kto jest przejazdem w Londynie. Rozumie pani ...

- Widzi pan, panie Custance, staramy się ograniczać tego rodzaju wyjazdy do minimum. Rozumie pan, że to bardzo dezorganizuje pracę. Oczywiście w czasie weekendów to co innego.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawy. To jest jej wujek, który dziś wieczorem odlatuje samolotem za granicę,

- Doprawdy? Na długo?

- Prawdopodobnie na parę lat - odparł John, teraz już bez zająknięcia. - Bardzo chciał zobaczyć Mary, zanim wyjedzie.

- Ależ mógł go sam przywieźć tutaj. - Miss Errington zawahała się. - Kiedy przywiezie ją pan z powrotem?

- Mógłbym ją odwieźć dziś wieczorem.

- Cóż, w takim razie ... Pójdę i powiem, żeby ją zawołano.

- Podeszła do drzwi, otwarła je i zawołała przez korytarz: - Heleno? Mogłabyś poprosić tu Mary Custence? - Do Johna powiedziała: - Jeśli

to tylko na jedno popołudnie, nie będzie potrzebowała swoich rzeczy, prawda?

- Nie - przyznał - nie musi nic brać.

Miss Errington usiadła ponownie. - Powinnam panu powiedzieć, że jestem bardzo zadowolona z pańskiej córki, panie Custance.

W jej wieku dziewczęta zaczynają się zmieniać - można już dostrzec zadatki tego, czym się staną w przyszłości. Mary ostatnio uzyskiwała bardzo dobre wyniki. Wierzę, że ma przed sobą wielką karierę naukową, jeśli tylko zechce. Kariera naukowa, pomyślał John - jak utrzymać maleńką oazę życia w spustoszonym świecie.

Na głos powiedział: - To brzmi zachęcająco.

Miss Errington uśmiechnęła się. - Chociaż to są prawdopodobnie akademickie rozważania. Należy wątpić, czy młodzi ludzie w jej otoczeniu pozwolą jej prowadzić tak smutne, jałowe życie.

- Nie widzę w tym nic smutnego, Miss Errington. Pani własne życie z pewnością musi być bardzo interesujące.

Zaśmiała się. - Okazało się lepsze, niż myślałem! Zaczynem się zastanawiać nad przejściem na emeryturę.

Weszła Mary, pospiesznie dygnęła przed Miss Errington i podbiegła do ojca.

- Tatuś! Co się stało?

Miss Errington wyjaśniła: - Twój ojciec zamierza zabrać się na parę godzin. Twój wujek, który wyjeżdża za granicę, jest przejazdem w Londynie i chciałby cię zobaczyć,

- Wujek David? Za granicę?

John szybko powiedział: - To wynikło niespodziewanie. Wytłumaczę ci wszystko po drodze. Możesz jechać tak, jak jesteś?

- Tak, oczywiście.

- W takim razie nie zatrzymuję was - powiedziała Miss Errington. - Czy może przywieźć ją pan z powrotem na ósmą, panie Custance?

- Postaram się.

Podała mu swoją długą, delikatną rękę. - Do widzenia,

John zawahał się; jego świadomość buntowała się przed uściśnięciem ręki tej kobiety i pozostawieniem jej tek, niepodejrzewającej , co ją czeka. A jednak nie odważył się nic powiedzieć; ani też, pomyślał, ona sama nie uwierzyłaby mu, gdyby jej powiedział.

W desperacji oświadczył: - Mogę nie przywieźć Mary na ósmą, jeśli dowiem się, że cały Londyn me być pochłonięty przez trzęsienie ziemi. Zatem jeśli nie wrócimy, radzę pani zabrać wszystkie dziewczęta i wyjechać na wieś. Bez względu na niewygody.

Miss Errington spojrzała na niego lekko zdziwiona, że pozwolił sobie na tak absurdalny i niesmaczny żart. Mary również przyglądała mu się ze zdziwieniem, W końcu dyrektorka odezwała się: - No dobrze,

ale oczywiście przywiezie ją pan na ósmą.

- Oczywiście - odpowiedział z rezygnacją.

Kiedy samochód wyjechał z terenów szkoły, Mary zapytała:

- To nie wujek David, prawda?

- Nie.

- W takim razie o co chodzi, tato?

- Się mogę ci jeszcze powiedzieć, Ale wyjeżdżamy z Londynu.

- Dzisiaj? Więc nie wrócę wieczorem do szkoły? - Nie odpowiedział, - Czy stało się coś strasznego?

- Wystarczająco strasznego. Będziemy mieszkać w dolinie. Jak ci się to podoba?

Uśmiechnęła się. - Nie nazwałabym tego strasznym.

- Straszne rzeczy - odparł John - spotkają innych ludzi.

Dotarli do domu parę minut po drugiej, Kiedy szli po ogrodowej ścieżce, drzwi otwarły się i stanęła w nich Ann. Wyglądała na zdenerwowaną i nieszczęśliwą. John otoczył ją ramieniem.

- Punkt pierwszy wykonany bez przeszkód. Wszystko będzie dobrze, kochanie. Nie martw się, Rogera i pozostałych nie ma?

- To przez samochód. Pękł im cylinder czy coś takiego, Roger jest w garażu, pogania mechaników. Przyjadą, jak tylko będą mogli.

- Powiedział, ile to mniej więcej potrwa? - zapytał John wściekły.

- Nie powinno potrwać dłużej, niż godzinę.

Mary wtrąciła się: - Czy Buckleyowie jada z nami? Co się dzieje?

- Biegnij do swojego pokoju, kochanie - poleciła jej Ann. - Spakowałam twoje rzeczy, ale zostawiłam troszkę miejsca na wypadek, gdybyś chciała zabrać coś, co ma dla ciebie szczególne znaczenie. Ale musisz się dobrze zastanowić, bo to bardzo mało miejsca.

Mary przyglądała im się przez chwilę, a potem zapytała z powagą:

- A co z rzeczami Davida? Tez mam je przejrzeć?

- Tak kochanie. Zobacz, czy nie zapomniałem czegoś ważnego,

Kiedy tiary poszła na górę, Ann przywarł do męża.

- John, to nie może być prawda!

- Roger opowiedział ci o wszystkim?

- Tak, ale oni nie mogą tego zrobić! Nie mogą!

- Nie mogą? Właśnie przyrzekłem Miss Brrington, że odwiozę Mary dziś wieczorem. Jeśli mogłem tak postąpić wiedząc, co się stanie, to nie jestem od nich lepszy.

Ann przez chwilę milczała. Wreszcie odezwała się:

- Zanim to się skończy ... Czy zaczniemy się nienawidzić?

Ozy też po prostu przyzwyczaimy się i nawet nic zauważymy, w co się zmieniliśmy?

- Nie wiem - odparł John, - Nic nie wiem poza tym, że musimy uratować się i uratować dzieci,

- Uratować je - po co?

- Będziemy się o to martwić później. Może to brutalne - wyjechać nie mówiąc innym ani słowa o tym, co się stanie - ale nie możemy na to nic poradzić, Kiedy już zamieszkamy w dolinie, wszystko będzie inaczej. Będziemy mogli znowu żyd normalnie.

- Normalnie?

- Będzie ciężko, ale to nie musi być złe życie. To będzie zależało tylko od nas. Przynajmniej będziemy sami sobą rządzić. Nie będziemy musieli żyć pod władzą państwa, które tyranizuje, okrada i okłamuje swoich obywateli, a w końcu, kiedy stają się ciężarem, morduje ich.

- Nie, chyba nie.

- Drenie! - warknął Roger. - Zapłaciłem im podwójnie za ekspresową robotę, a oni przez trzy czwarte czasu obijali się i szukali narzędzi.

Dochodziła czwarte. Ann zapytała:

- Zdążymy wypić herbatę? Właśnie miałem nastawić czajnik.

- Teoretycznie.- odparł Roger - mamy mnóstwo czasu. Mimo to myślę, że zrezygnujemy z herbaty. Wyczuwam wszędzie jakiś - niepokój. Musiały być inne przecieki, zastanawiam się tylko, ile ich było. W każdym razie odetchnę dopiero wtedy, kiedy wyjedziemy z Londynu.

Ann kiwnęła głową. - W porządku. - Ruszyła w stronę kuchni. John zawołał na nią:

- Potrzebujesz czegoś?

Ann obejrzała się. - Zostawiłem pełen czajnik. Chciałem tylko wyleć wodę.

Roger zaśmiał się. - Oto kobiecy rozsądek. Zawsze możemy na nim polegać. Kobieta opuszcza swój dom na zawsze, ale przedtem musi odstawić czajnik na miejsce. Mężczyzna w takiej sytuacji raczej rozwaliłby czajnik o podłogę, a następnie podpalił dom.

Wyjechali z domu Custance'ów i skierowali się na północ. Samochód Johna prowadził. Mieli jechać Great Horth Road aż do Welwyn, a potem skręcić na zachód do szkoły Davey' a.

Kiedy przejeżdżali przez East Pinchley, usłyszeli klakson samochodu Rogera, a w chwilę później Roger przyspieszył, wyminął ich i zahamował blokując im drogę. Olivia wychyliła się przez okno i zawołała:

- Radio!

John włączył odbiornik.

... podkreślił stanowczo, że rozpowszechniane ostatnio pogłoski są całkowicie bezpodstawne. Panujemy nad sytuacją. Kraj nasz posiada wystarczające zapasy żywności

Roger, Olivia i Steve wysiedli i podeszli do samochodu Johna. Roger powiedział:

- Ktoś się przestraszył.

W Anglii, Walii i Szkocji" - kontynuował głos - "część pól obsiana została wyselekcjonowanym ziarnem i pod koniec jesieni należy się spodziewać udanych zbiorów".

- Siać zboże w lipcu! - wykrzyknął John,

- Genialny pomysł - zgodził się Roger. - Kiedy pojawiają się niepokojące pogłoski, należy ogłosić, że Dobra Wróżka jest już w drodze. Nie trzeba nawet zachowywać pozorów prawdopodobieństwa.

Głos spikera nieznacznie się zmienił:

"Rząd zdaje sobie sprawę, że jedyne niebezpieczeństwo może stanowić wybuch ogólnej paniki wśród ludności. Jako środek zapobiegawczy uchwalono szereg przejściowych zarządzeń, które natychmiast zostaną wprowadzone w życie."

"Pierwsze z tych zarządzeń dotyczy ograniczenie swobody poruszania się ludności. Wyjazdy do innych miast są chwilowo zabronione. Należy się spodziewać, że w dniu jutrzejszym wprowadzony zostanie system priorytetów umożliwiający podstawową komunikację między miastami, ale na razie zakaz jest absolutnie ..."

- Zaczęło się! - krzyknął Roger, - Dalej, spróbujmy się przedostać . Może jeszcze nie są gotowi.

Dwa samochody ponownie ruszyły na północ, przecięły North Circular Road i jechały dalej przez North Finchley and Barnet. Spokojny, tchnący pewnością siebie głos w radio monotonnie wyliczał kolejne zarządzenia, a następnie rozległy się dźwięki muzyki. Na ulicach panował normalny ruch, ludzie robili zakupy albo po prostu spacerowali. Tutaj, w dzielnicach podmiejskich, nie dostrzegało się żadnych śladów paniki. Gdyby miało do czegoś dojść, kłopoty zaczęłyby się raczej w centrum Londynu.

Natknęli się na blokadę zaraz ze Wrothan Park. W poprzek drogi ustawiono bariery, a za nimi stały postacie w mundurach khaki. Dwa samochody zahamowały. John i Roger wysiedli i podeszli do bariery, Stało już tam z pół tuzina kierowców, wykłócających się z dowodzącym oficerem. Inni, zaprzestawszy kłótni, wycofywali samochody i zawracali.

- Cholera, dziesięć minut! - zaklął Roger. - Musieliśmy się spóźnić dziesięć minut, inaczej stałby już tu cały tłum.

Oficer był młodym, sympatycznym, dość rozgarniętym chłopcem i najwyraźniej rozkoszował się niezwykłą, w jego pojęciu, sytuacją.

- Bardzo mi przykro - mówił - ale wypełniamy tylko rozkazy. Wyjazdy z Londynu są zabronione.

Człowiek stojący na czele grupy niezadowolonych, masywnie zbudowany mężczyzna około pięćdziesiątki, z ciemną cerą i wyglądający na Żyda, zaprotestował:

- Ale moja firma w Sheffield! Przyjechałem do Londynu tylko na jeden dzień.

- Niech pan słucha wiadomości dziś wieczorem.- poradził mu oficer. - Ogłoszą jakieś dodatkowe przepisy dla takich, jak pan.

Roger cicho powiedział: - Nie damy redy, Johnny. Nie możemy nawet zaproponować mu łapówki, kiedy dookoła są ludzie.

Oficer mówił dalej; - Proszę nie traktować tego oficjalnie, nie powiedziano nam, że to tylko manewry. Rząd wypróbowuje środki ostrożności na wypadek paniki, po prostu, żeby się zabezpieczyć.

Rano prawdopodobnie wszystko będzie odwołane.

Masywnie zbudowany mężczyzna zauważył: - Jeśli to tylko manewry, to może pan nas przepuścić. To przecież nie ma znaczenia. Młody oficer uśmiechnął się. - Przykro mi. Za uchybienie obowiązkom w czasie manewrów można tak samo łatwo dostać się pod sąd wojenny, jak w czasie wojny. Radzę panu wrócić do miasta i spróbować jutro.

Roger potrząsnął głową i razem z Johnem zaczęli iść w stronę zaparkowanych samochodów. Roger stwierdził:

- Bardzo chytrze to urządzili. Nieoficjalnie to tylko manewry. Dzięki temu oddziały blokujące drogi nic nie podejrzewają. Ciekawe czy mają tu zostać i spłonąć razem z innymi? Przypuszczam, że nie.

- Warto spróbować ich ostrzec, co się dzieje.

- To nic nie da. Równie dobrze mogą nas zaaresztować za rozpowszechnianie fałszywych pogłosek. To jeden z nowych przepisów, słyszałeś?

Doszli do samochodów. John zapytał:

- Więc co mamy robić? Wepchnąć samochody do rowu i próbować na piechotę przez pola?

- Co się dzieje? - odezwała się Ann. - Nie chcą nas przepuścić.

- Pola będą patrolowane - odparł Roger. - Prawdopodobnie przez drogi. Pieszo nie mamy szans.

- Więc co zrobimy? - histerycznie krzyknęła Ann.

Roger zaśmiał się. - Spokojnie, Annie! Wszystko gra.

W jego śmiechu zabrzmiała siła i pewność siebie, i John przyjął to z wdzięcznością. Poczuł się podniesiony na duchu, Roger mówił dalej: - Przede wszystkim musimy się stąd wydostać. Zanim utkniemy w korku, - Za nimi na drodze zaczęły się gromadzić samochody. - Wracamy do Chipping Barnet. Spotkamy się przy zakręcie w prawo. Pojedziemy pierwsi. Na razie.

Była to ciche uliczka: urbs in rurę.Dwa samochody zatrzymały się w jej najbardziej odosobnionej części. Droga graniczyła tu z niewielką plantacją, a po drugiej stronie stały nowomodne domki jednorodzinne.

Buckley’ owie wysiedli z samochodu i Olivia ze Steve’ m wcisnęli się na tylne siedzenie do Ann.

- Punkt pierwszy - zaczął Roger, - Ta drogę przecina A1 i możemy nią dojechać do Hatfield. Ale myślę, że teraz nie warto próbować. Na pewno jest tam blokada i dziś wieczór nie mamy szans się przez nią

przedostać, tak samo, jak przez blokadę na A1.

Obok nich przejechał Vanguard, a tuż za nim Austin, którego John rozpoznał - widział go przy blokadzie. Roger pokazał na nie ruchem głowy.

- Kilku będzie próbowało, ale to nic nie da.

Steve zapytał: - Nie możemy rozwalić jakiejś bariery, tato? Widziałem to w kinie.

- To nie kino - ofuknął go Roger. - Dziś wieczorem wielu ludzi będzie próbowało przedrzeć się przez blokady. W nocy będzie spokojniej, i w ogóle noc to lepsza pora. Twój samochód tu zostanie. Ja pojadę swoim do miasta - muszę jeszcze coś załatwić.

- Chcesz nas tu zostawić! - zawołała Ann.

- To konieczne. Mam nadzieję, że nie zajmie mi to więcej, niż parę godzin.

John zrozumiał go zbyt dobrze, żeby myśleć że Roger zapomni o czymś, ważnym i teraz chce to zabrać. Wiedział, że ich plany był dobre - po prostu pojawił się nowy czynnik, który należało uwzględnić.

- W tym miejscu nie powinno chyba być żadnych kłopotów? - zapytał. Roger pokręcił głową, - W takim razie jadę z tobą. We dwóch będzie bezpieczniej.

Roger zastanowił się przez chwilę i skinął głową. - C.K, Masz rację.

- Ale nie wiecie, co się dzieje w Londynie! - krzyknęła Ann.

- Mogą być zamieszki. Z pewnością to nie jest takie ważne, żebyście musieli ryzykować.

- Od dziś - oświadczył Roger - musimy ryzykować, jeśli chcemy przeżyć. Jeśli chcesz wiedzieć, to wracam po strzelby. Wszystko zaczyna się walić szybciej, niż myślałem. Ale dzisiaj powinno jeszcze być bezpiecznie.

- John, chcę, żebyś został - nalegała Ann.

- Ależ, Ann - zaczął John.

Roger przerwał im. - Jeśli chcemy popełnić samobójstwo, to rzeczywiście możemy tu stać i tracić czas na kłótnie, Musimy mieć przywódcę, którego rozkazy będą wypełniane bez gadania. Rzuć monetę, Johnny.

- Nie. To twój pomysł.

Roger wyciągnął z kieszeni półkoronówkę i podrzucił ją w górę.

- Wybieraj.

Srebrny krążek zawirował w powietrzu, - Reszke - powiedział John. - Moneta odbiła się od jezdni i potoczyła do rynsztoka,

Roger pochylił się, żeby zobaczyć, co wypadło.

- Wygrałeś - ogłosił, - A więc?

John pocałował Ann i wysiadł z samochodu. - Postaramy się wrócić jak najszybciej - obiecał.

- Więc znowu kobieta stała się niewolnicą - skonstatowała Ann

rozgoryczeniem.

Roger parsknął śmiechem. - Zaczynają się nowe, wspaniałe czasy, wraca Złoty Wiek.

- Możemy to zrobić - tłumaczył Roger, - facet nie spuszcza żaluzji przeć szóstą. To niewielki interes - Jeden sprzedawca i chłopak na posyłki - ale dobrze zaopatrzony.

Dotarli już do centrum Londynu, gdzie w godzinach szczytu panował kompletny chaos. W chaosie tym elementy porządku wprowadziły światła uliczne i policjanci w białych rękawiczkach, wszystko wyglądało jak zwykle. Kiedy przed ich samochodem światła zmieniły się na zielone, jak zawsze przez ulicę przebiegło kilku nieuważnych przechodniów.

- Bydło na rzeź - powiedział gorzko John.

Roger rzucił mu szybkie spojrzenie, - Miejmy nadzieję, że pozostaną tacy do końca. Przyjrzyj się im dobrze. Wiele milionów ludzi musi umrzeć. Naszym zadaniem Jest tego uniknąć.

Zaraz za światłami samochód skręcił z głównej ulicy w wąską sną uliczkę i przyhamował. Była za pięć szósta.

- Czy on nas Jeszcze obsłuży? - zaniepokoił się John.

Roger zatrzymał się przy krawężniku naprzeciw niewielkiego sklepu, którego wystawa prezentowała kolekcję sportowych karabinów. Zaparkował samochód, ale zostawił silnik na chodzie.

- Będzie musiał - mruknął - tak czy inaczej.

W sklepie był tylko sprzedawca, mały, przygarbiony człowiek około sześćdziesiątki. Miał układną minę ekspedienta i niepasujące do niej bystre, uważne spojrzenie.

Roger zaczął: - Dobry wieczór, panie Pirri’e. Złapałem pana w ostatniej chwili.

Pan Pirrie oparł dłonie na ladzie. - Ach - pan Buckley, o że się nie mylę? To prawda, właśnie miałem zamykać. Czyn mogę służyć?

- Cóż, zobaczymy - powiedział Roger. - Parę rewolwerów, dwie dobre strzelby z celownikami optycznymi, i oczywiście amunicja. Ma, ma pan automaty?

Pirrie uśmiechnął się uprzejmie. - A zezwolenie?

Roger ruszył do przodu, dopóki nie stanął po drugiej stronie lady naprzeciwko starego człowieka. - Chyba nie warto sobie tym zawracać głowy. Wie pan, że nie jestem kryminalistą. Potrzebuję broni zaraz i zapłacę panu najwyższą możliwą cenę.

Pirrie lekko potrząsnął głową nie spuszczając oczu z twarz; Rogera.

- Nie robię takich interesów.

- No dobrze, mogę zobaczyć tamtą strzelbę kaliber 22? - po kazał palcem Roger.

Pirrie spojrzał we wskazanym kierunku, a wtedy Roger przechylił się przez ladę i złapał go za gardło. W pierwszej chwili John sądził, że

mały człowieczek został pokonany, ale w następnym momencie zobaczył, jak Pirrie, uwolniwszy się od Rogera, cofa się w głąb sklepu. W prawej ręce ściskał rewolwer.

- Niech pan stoi spokojnie, panie Buckley - powiedział. - Pański przyjaciel również. Nie opłaca się napadać na sklep z bronią, bo wtedy z reguły ma się co czynienia z człowiekiem posiadającym niejakie doświadczenie w posługiwaniu się rewolwerem. Proszę mi nie przerywać, kiedy będę telefonował.

Cofnął się, dopóki jego wolne ręka nie dotknęła, telefonu.

Roger powiedział ostro : - Chwileczkę. Mogę coś panu zaproponować.

- Wątpię w to.

- Pańskie życie?

- Z pewnością nie - uśmiechnął się Pirr'ie. Jego ręka spoczywała na telefonie, ale wciąż nie podnosił słuchawki.

- Myśli pan, że dlaczego próbowałem pana znokautować? Nie wyobraża pan sobie chyba, że zrobiłbym coś takiego, gdybym nie był doprowadzony do ostateczności,

- Skłonny jestem zgodzić się z panem w tym punkcie - powiedział uprzejmie Pirrie. - Nikomu innemu nie pozwoliłbym posunąć się tak daleko, ale nie spodziewałem się, że były członek Obrony Cywilnej tak łatwo da się wytrącić z równowagi. A już na pewno nie spodziewałem się, że pańskie zachowanie przybierze tak gwałtowne formy,

Roger przerwał mu. - Zostawiliśmy rodziny w samochodzie zaraz za Great North Road. Jeśli zechce się pan do nas przyłączyć, znajdzie się miejsce dla pana,

- Sądziłem - odparł Pirrie - że wyjazdy z Londynu są chwilo zabronione.

Roger przytaknął. - Między innymi dlatego potrzebowaliśmy broni. Dziś w nocy chcemy się wydostać.

- Ale nie macie broni.

- To pańska zasługa - warknął Roger - i cholernie dobrze pan o tym wie.

Pirrie zdjął rękę z telefonu. - Może byłby pan uprzejmy wyjaśnić mi pokrótce, skąd te nagła potrzeba broni i chęć wyjazdu z Londynu.

Słuchał, nie przerywając ani słowem, kiedy Roger mówił. W końcu odezwał się cichym głosem;

- Farma w dolinie, powiada pan? W dolinie, którą można obronić?

- Pół tuzina ludzi może się tam bronić przeciwko całej armii - wtrącił John.

Pirrie opuścił rewolwer. - Miałem dziś po południu telefon od miejscowego naczelnika policji. Pytał, czy chciałbym mieć tu ochronę. Wydawał się bardzo przejmować moim bezpieczeństwem, a Jedyne wyjaśnienie, jakiego mi udzielił, to że słyszał jakieś niepokojące

pogłoski, które mogłyby wywołać zamieszki.

- Nie nalegał, żeby dać panu ochronę?

- Nie. Przypuszczam, że ochrona policyjne zanadto by się rzucały w oczy, co mogłoby być niewskazane, - lekko skłonił głowę przed Rogerem. - Rozumie pan teraz, dlaczego byłem tak dobrze przygotowany na pańskie wystąpienie.

- A teraz Już nam pan wierzy? - naciskał John.

Pirrie westchnął. - Wierzę, że wy w to wierzycie. Niezależnie ud tego zastanawiałem się już, czy istnieje jakiś sposób, żeby się wydostać z Londynu. Nawet jeśli wasza historyjka jest wymysłem, wolałbym nie być tu zatrzymywany przemocą. Być może jestem zbyt łatwowierny, ale jeżeli ktoś tak jak ja zajmuje się handlem bronią szybko przestaje wierzyć w szlachetność ludzkiej natury.

- W porządku - powiedział Roger. - Jakie strzelby bierzemy ? Pirrie odwrócił się nieznacznie i tym razem podniósł słuchawkę telefonu . Roger odruchowo posunął się ku niemu. Pirrie zerknął na rewolwer, który wciąż trzymał w ręku, i podał go Rogerowi,

- Dzwonię do mojej żony - wyjaśnił - Mieszkamy w St. John ‘s Wood. Sądzę, że tam, gdzie mogą przejechać dwa samochody, zmieści się też trzeci. Dodatkowy środek lokomocji może się nam przydać.

Zaczął wykręcać numer. Roger powiedział ostrzegawczo:

- Niech pan uważa na to, co pan mówi.

Pirrie powiedział do słuchawki : - Halo, moja droga. Właśnie wchodzę. Pomyślałeś sobie, że miło by było wpaść do Rosenblumów dziś wieczorem - tak, do Resenblumów. Przygotuj wszystko, dobrze? Zaraz będę.

Odłożył słuchawkę. - Rosenblumowie mieszkają w Leeds - wyjaśnił. - Millicent szybko się orientuje.

Roger popatrzył na niego z szacunkiem. - Mój Boże, naprawdę szybko! Widzę, że zarówno pan, jak i Millicent będziecie bardzo pożytecznymi członkami naszej grupy. Jeszcze jedno - ustaliliśmy już wcześniej, że przedsięwzięcie tego rodzaju wymaga przywódcy.

Pirrie kiwnął głową. - To pan?

- Nie. Obecny tu John Custance.

Pirrie obrzucił Johna szybkim, taksującym spojrzeniem.

- Bardzo dobrze. A teraz broń. Wybiorę, co trzeba, a wy możecie zacząć nosić ją do samochodu.

Wynosili resztę amunicji, kiedy podszedł do nich policjant na służbie. Popatrzył z pewnym zainteresowaniem na małe pudełka w ich rękach.

- Dobry wieczór, panie Pirrie - powiedział, - Przenosi pan zapasy?

- To dla pańskich kolegów - poinformował go Pirrie. - Prosili mnie o to. Mógłby pan rzucić okiem na sklep? Za jakiś czas wrócimy po następną partię.

- Zrobię, co się da - powiedział konstabl z powątpiewaniem - ale mam cały rejon do obejścia, pan rozumie.

Pirrie zamknął drzwi i zawiesił kłódkę. - Żartujemy sobie - uśmiechnął się - że to pańscy koledzy rozpuszczają te pogłoski.

Kiedy ruszyli, John odetchnął. - He. szczęście nie zapytał, po co panu dwaj pomocnicy.

- Prawdziwy policjant - pouczył go Pirrie - staje się bardzo dociekliwy, jeśli jego ciekawość raz zostanie rozbudzona. Jednakże jeżeli uda się tego uniknąć, nie ma się czego obawiać. A teraz prosto na St. John's Wood High Street. Tam powiem, jak jechać dalej.

Stosując się do wskazówek Pirrie 'go zaparkowali za starożytnym Fordem. Pirrie zawołał czystym, donośnym głosem; - Millicent!

- a wtedy z samochodu wysiadła kobieta i podeszła do nich. Była młodsza od Pirrie' go co najmniej o dwadzieścia lat i prawie dorównywała mu wzrostem. Miała ciemną cerę i regularne, chociaż nieco zbyt ostre rysy twarzy.

- Spakowałaś się? - zapytał Pirrie. - Już tu nie wrócimy.

Przyjęła to spokojnie. Powiedziała z lekkim cockney'owskim akcentem; - Chyba wzięłam wszystko, czego będziemy potrzebować.

Co się stało? Poprosiłam Hildę, żeby zaopiekowała się kotem.

- Biedna kicia - westchnął Pirrie. - Ale obawiam się, że musimy ją zostawić. Wyjaśnię ci po drodze. - Odwrócił się do pozostałej dwójki. - Od tego miejsca będę jechał z Millicent.

Roger wytrzeszczył oczy na antyczny samochód. - Nie chciałabym być niegrzeczny - zaczął - ale czy nie byłoby lepiej, żebyście państwo przełożyli swoje bagaże do naszego wozu? Moglibyśmy łatwo się wszyscy zmieścić.

Pirrie tylko uśmiechnął się wysiadając z samochodu. - Pierwszy zakręt w lewo za Wrotham Park? - upewnił się. - Tam was znajdziemy , tak?

Roger wzruszył ramionami. Pirrie i jego żona wsiedli do swojego samochodu. Roger zapalił silnik i powoli ich wyminął. W chwilę później on i John byli zaskoczeni widząc, jak Ford wyprzedza ich przyspieszając z niewiarygodną prędkością, zwalnia na skrzyżowaniu i wślizguje się w strumień samochodów na głównej ulicy. Roger wystartował za nim, ale zanim zdołał włączyć się w ruch uliczny, stracił go z oczu.

Ujrzeli go ponownie dopiero na Great North Road, Pirrie zaczekał na nich i odtąd już skromnie jechał z tyłu.

Zjedli kolację zamknięci w swoich samochodach. Poza Londynem przygotowaliby wspólny posiłek, ale dopóki byli w obrębie miasta, piknik mógł przyciągnąć czyjąś uwagę. Z tych samych powodów zaparkowali samochody w pewnej odległości jeden od drugiego.

Roger objaśnił swój plan Johnowi i spotkał się z pełną aprobatą. O

godzinie jedenastej ulica, na której parkowali, była już pusta; dalekie przedmieścia Londynu wcześnie kładły się spać. Postanowili jednak wyruszyć dopiero o północy. Noc była bezksiężycowa - ulicę oświetlały jedynie rzadko rozstawione latarnie. Dzieci siedziały na tylnych siedzeniach. Ann usiadła z przodu obok Johna.

Zadrżała. - Na pewno nie ma innego sposobu, żeby się stąd wydostać?

John spojrzał przed siebie na ulicę tonącą w ciemnościach.

Nie widzę innego wyjścia.

Ann przyjrzała mu się. - Zmieniłeś się, prawda? Ten pomysł, żeby na zimno planować morderstwo ... To bardziej groteskowe, niż przerażające.

- Ann - powiedział John spokojnie -Davey jest o trzydzieści mil stąd, ale jeśli pozwolimy sobie wmówić, że należy dać się zamknąć w tej pułapce, będzie dla nas tak nieosiągalny, jakby znajdował się w odległości trzydziestu milionów mil. - Ruchem głowy wskazał tylne siedzenie, gdzie leżała Mery zwinięta w kłębek. - A przecież nie tylko o nas chodzi.

- Ale prawie nie macie szans.

Roześmiał się. - Czy to rzutuje aa moralną ocenę czynu? W istocie gdyby nie Pirrie, nie mielibyśmy w ogóle szans. Odkąd on jest z nami, mamy wszelkie powody przypuszczać, że nam się uda. Potrzebowaliśmy właśnie dobrego Strzelca.

- Musicie strzelać tak, żeby zabić?

- To sprawa bezpieczeństwa - zaczął i poczuł, że samochód się przechylił; Roger podszedł cicho i oparł się o otwarte okno.

- O.K.? - zapytał, - Przenieśliśmy Olivię i Steve'a do Millicent.

John wysiadł z samochodu. - Pamiętej - zwrócił się do Ann - jak tylko ty i Millicent usłyszycie klakson, od razu ruszajcie.

Możecie sobie oświetlać drogę, jeśli chcecie, o tej porze to nie me znaczenia.

Ann podniosłe na niego wzrok. - Trzymaj się.

- Nic mi nie będzie,

Wrócili do samochodu Rogera, gdzie już czekał Pirrie. Wsiedli i Roger ruszył powoli, omijając samochód Johna. Ulica byłe puste. Wcześniej tego wieczoru sprawdzili, w którym miejscu drogi ustawiona jest blokada, i teraz zatrzymali się przed ostatnim zakrętem. John i Pirrie wyśliznęli się z samochodu i zniknęli w ciemnościach. Roger odczekał pięć minut, ponownie włączył silnik i z hałasem podjechał do blokady.

Przeprowadzony wcześniej rekonesans ujawnił, że blokady pilnuje kapral i dwóch żołnierzy. Dwóch spośród nich prawdopodobnie spało; trzeci stał ze drewnianą barierą z automatem przewieszonym przez ramię.

Samochód zahamował gwałtownie. Strażnik uniósł automat celując w intruza.

Roger wychylił się z okna i wrzasnął;

- Co do diabła ta cholerna bariera robi na środku drogi? Zabierają ją stąd, człowieku!

Zachowywał się, jakby był pijany i nie panował nad sobą.

Strażnik odkrzyknął;

- Przykro mi, proszę pana. Droga jest zamknięta. Wszystkie drogi wyjazdowe z Londynu są zamknięte.

- No to je otwórzcie! A przynajmniej otwórzcie tę jedną.

Chcę wrócić do domu.

Ze swojego miejsce w rowie po lewej stronie drogi John obserwował całą scenę. Ku swojemu zdziwieniu nie czuł zdenerwowania; z zainteresowaniem i podziwem patrzył na awanturującego się Rogera.

Za pierwszym żołnierzem pojawiła się druga postać, a po chwili trzecia. -Przednie światła samochodu odbijały się od nawierzchni drogi; trzy sylwetki za drewnianą barierą rysowały się na tle ciemności niewyraźnie, ale dość widocznie, żeby możne je było rozpoznać. Drugi głos, prawdopodobnie głos kaprala, powiedział:

- Wypełniamy rozkazy. Nie chcemy tu żadnych kłopotów. Zmywaj się stąd, chłopie, w porządku?

- Do diabła z takim porządkiem! Co wy sobie myślicie, że będziecie się bawić w cholernych ołowianych żołnierzyków i ustawiać bariery aa drogach?

Kapral warknął ostrzegawczym tonem: - Dość tego. Powiedziałem, że masz zawrócić. Wystarczy tego pyskowania.

- Dlaczego sami nie przyjdziecie i nie zawrócicie mojego samo chodu ? - zapytał Roger niskim, nieprzyjemnym głosem, - W tym kraju jest za dużo cholernych wojskowych darmozjadów, którzy tylko siedzą na tyłkach i żrą nasze racje!

- W porządku, chłopie - mruknął kapral - sam tego chciałeś. Skinął na pozostałą dwójkę. - Chodźcie chłopaki. Pomożemy temu cholernemu pyskaczowi zawrócić samochód.

Przeskoczyli przez barierę i zbliżyli się, wchodząc w krąg światła rzucany przez reflektory samochodu.

- No dalej, do roboty!- zawołał Roger szyderczo.

Wtedy, znienacka, Johna dopadł strach. Biała linia na środku drogi oddzielała jego teren obstrzału od terenu Pirrie'go, kapral i pierwszy żołnierz stali po tamtej stronie; drugi żołnierz był bliżej niego. Podchodzili do samochodu osłaniając oczy przed światłem.

John poczuł, że pot ścieka mu pod pachami i wzdłuż nóg. Niósł strzelbę i spróbował utrzymać ją nieruchomo. W którymś momencie w ciągu sekundy będzie musiał nacisnąć spust i zabić tego obcego, niewinnego człowieka. Zabijał podczas wojny, ale nigdy z tak bliskiej

odległości i, co ważniejsze, nigdy nie strzelał do swoich przeciwników. Pot spływał mu po czole; obawiał się, że zaleje mu oczy - nie odważył się opuścić strzelby, żeby wytrzeć twarz. To tylko gliniana fajka na strzelnicy - powtarzał sobie - gliniana fajka.

Teraz ją muszę roztrzaskać - dla Ann, dla Mary i Davey'a. Zaschło mu w gardle.

Głos Rogera ponownie przeciął ciszę, tym razem ostry i trzeźwy.

- Teraz!

Pierwszy strzał padł, zanim jeszcze przebrzmiało to słowo, a następne rozległy się niemal natychmiast potem. John - wciąż z wycelowaną strzelbą, kiedy trzy postacie osunęły się na ziemię. Nie poruszył się, dopóki nie usłyszał , że Pirrie nadchodzi ze swojej kryjówki i zatrzymuje się nad nim. Wtedy zarzucił strzelbę na ramię i również wyszedł na środek drogi.

Roger wysiadł z samochodu. Pirrie popatrzył na Johna.

- Powinienem pana przeprosić, że wkroczyłem na pański teren łowiecki, partnerze - odezwał się. Jego głos był chłodny, a wymowa precyzyjna jak zawszę. - Byli zbyt dobrym celem.

- Nie żyją? - zapytał Roger.

Pirrie kiwnął głową. - Oczywiście.

- W takim razie przede wszystkim trzeba ich wrzucić do rowu oświadczył Roger. - Potem bariera. Nie przypuszczam, żeby ktoś nas zaskoczył, ale lepiej nie ryzykować

Ciało, które John odciągnął na bok, było ciężkie i bezwładne. Z początku unikał widoku jego twarzy. Potem, w półmroku na poboczu drogi, przyjrzał się jej. Chłopiec, najwyżej dwudziestoletni. Na jogo młodej twarzy nie było żadnych śladów przemocy z wyjątkiem dziurki w skroni, z której płynęła krew. Pozostała dwójka zrzuciła już swój ładunek i zajęła się barierą. Byli odwróceni plecami. John pochylił się i dotknął ustami czoło chłopca od nieuszkodzonej strony, a potem delikatnie opuścił ciało do rowu.

Zlikwidowanie bariery nie potrwało długo. Po drugiej stronie leżał porozrzucany w nieładzie ekwipunek; również wrzucili go do rowu. Potem Roger wrócił do samochodu i nacisnął klakson, przytrzymując go tak przez kilka sekund. Przenikliwy dźwięk rozniósł się daleko w cichym powietrzu.

Roger zjechał samochodem na pobocze. Czekali, Po chwili usłyszeli zbliżający się warkot samochodów. Pierwszy nadjechał Vauxhall Johna, a tuż ze nim Ford Pirrie go. Vauxhall zatrzymał się i Ann przesunęła się na swoje miejsce, kiedy John otworzył drzwiczki. Usiadł za kierownicą i wcisnął pedał gazu do oporu,

- Gdzie oni są? - zapytała Ann, wyglądając przez okno,

- W rowie - odpowiedział.

Po tych słowach przez kilka mil jechali w milczeniu.

Zgodnie z planem trzymali się głównych dróg. Zrobili postój na opustoszałej leśnej drodze w pobliżu Stapleford. Tam, pod gałęziami dębów, wypili kakao z termosów w mdłym świetle lampki oświetlającej wnętrze jednego z samochodów. Citroen Rogera miał rozkładane siedzenia i w nim ułożyły się trzy kobiety, podczas gdy dzieci spały wystarczająco wygodnie na tylnych siedzeniach dwóch pozostałych samochodów. Mężczyźni wzięli koce i położyli się na ziemi.

Pirrie zasugerował wystawianie warty. Roger miał wątpliwości.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli tu jakieś kłopoty. Potrzebujemy jak najwięcej snu. Mamy przed sobą cały dzień jazdy. - Spojrzał na Johna, - Co na to powiesz, szefie?

- Idziemy spać. Musimy wykorzystać resztę nocy.

Ułożyli się do snu. John położył się na brzuchu, w pozycji, która była najwygodniejsza do spania na gołej ziemi, a której nauczyło go życie w wojsku. Przekonał się, że uczucie fizycznej niewygody było mniejsze, niż pamiętał.

Ale sen długo nie przychodził, a kiedy John w korcu zasnął, dręczyły go koszmary.

ROZDZIAŁ 6

Saxon Court stał na niewielkim wzniesieniu; w tej części hrabstwa nie znalazłoby się nic bardziej przypominającego wzgórze. Podobnie jak wiele szkół przygotowawczych, był to niegdyś wiejski dwór i z pewnej odległości wciąż wyglądał wytwornie. Dobrze utrzymana droga dojazdowa. Davey zdradził im, że praca nad jej konserwacją była karą najczęściej stosowaną wobec uczniów - prowadziła przez brązową pustynię, będącą niegdyś boiskiem, do dwóch georgiańskich skrzydeł otaczających starszą i brzydszą część środkową.

Ponieważ konwój złożony z trzech samochodów wyglądałby podejrzanie zdecydowano, że tylko samochód Johna podjedzie do szkoły, pozostałe zaparkują dyskretnie na drodze w miejscu, gdzie się rozwidlała. Jednakże Steve nalegał, aby być obecnym przy powitaniu Davey’ em, a Olivia postanowiła pojechać z nim. Oprócz nich i Johna w samochodzie byłe jeszcze Ann i Mary.

Dyrektora nie zastali w jego gabinecie. Drzwi gabinetu były otwarte, niczym drzwi opuszczonej sali tronowej w zbuntowanym pałacu, w którym zapanował chaos. W hallu i na schodach kłębił się tłum małych chłopców, rozmawiających głośno i z podnieceniem - jakby czuli się niepewnie, pomyślał John. Zza drzwi jednego z pomieszczeń wychodzących na hall dochodziło mamrotanie łacińskich, ale pozostałe przepuszczały tylko hałas.

John miał już zapytać jednego z chłopców, gdzie może znaleźć dyrektora, kiedy on sam pojawił się na szczycie schodów, schodząc

pospiesznie w dół. Zobaczył czekająca na niego grupkę i z ostatnich stopni zszedł już z większą godnością.

Jak na dyrektora, doktor Cassop był stosunkowo młodym człowiekiem. Przekroczył zaledwie czterdziestkę i zawsze wyróżniał się intuicją. Tego dnie był elegancki jak zwykle, ale wytworna toga starannie nałożony biret podkreślały tylko zmieszanie i zaniepokojenie. Rozpoznał Johna.

- Pan Custance, oczywiście - i pani Custance. Ale sądziłem, że państwo mieszkają w Londynie? W jaki sposób państwo się wydostali?

- Byliśmy na wsi z przyjaciółmi - wyjaśnił John. - To jest pani Buckley i jej syn. Przyjechaliśmy po Davida. Chcemy go zabrać na jakiś czas, dopóki zamieszanie się nie uspokoi.

Dr Cassop, w przeciwieństwie do Miss Errinton, nie okazał nie zadowolenia z powoda utraty jednego z uczniów. Skwapliwie przytaknął:

- Ach, tak. Oczywiście. Sądzę, że to dobry pomysł.

- Czy jacyś inni rodzice też zabrali swoje dzieci? - chciał wiedzieć John.

- Kilkoro. Widzi pan, w większości to Londyńczycy. - Potrząsnął głową. - Gdyby to było możliwe, najchętniej odesłałbym wszystkich chłopców do domu. Ostatnie wiadomości ...

John przytaknął. Jadąc tu słyszeli w radio biuletyn rządowy mówiący o niewielkich zamieszkach w centrum Londynu i w niektórych niewymienionych z nazwy prowincjonalnych miastach. Jasne było, że informacja ta posłużyła jedynie za pretekst do ostrzeżenia, iż każde naruszenie porządku publicznego będzie surowo karane.

- Tutaj jest przynajmniej dość spokojnie - zauważył. Hałas wokół nich wzmógł się, kiedy drzwi jednej z klas otwarły się uwalniając grupę chłopców, którzy przypuszczalnie skończyli lekcje. - Aczkolwiek głośno - dodał.

Dr Cassop nie odebrał tego ani jako żart, ani jako przytyk do dyscypliny panującej w jego szkole. Popatrzył dookoła roztargnionym, niewidzącym spojrzeniem w tej chwili John zdał sobie sprawę, że pod dziwnym zachowaniem dyrektora kryło się coś więcej, niż tylko zmieszanie i zaniepokojenie. To był strach.

- Przypuszczam, że nie słyszał pan żadnych nowych wiadomości? Zapytał dr Cassop. - Czegoś, czego nie podawano przez radio? Mam wrażenie ... Wydaje mi się, że nie było poczty dziś rano,

- Nie sądzę, żeby była Jakaś poczta, dopóki sytuacja nie zostanie wyjaśniona - odpowiedział John.

- Wyjaśniona? - dr Caaso? Popatrzył na niego z nieukrywanym niepokojem. - Kiedy? Jak?

John był pewien jednego: nie potrwa długo, zanim ten człowiek porzuci swoje obowiązki. Jego pierwszą reakcją na to spostrzeżenie był

gniew, ale gniew rozpłynął się, kiedy przypomniał sobie spokojna twarz chłopca leżącego w rowie.

Chciał tylko stąd odejść. Pospiesznie zapytał:

- Jeśli możemy zebrać Devey ‘a ...

- Tek, oczywiście. Zaraz ... Ach, on tu jest.

W tej samej chwili Davey ich zobaczył. Puścił się pędem przez korytarz i z radosnym okrzykiem rzucił się Johnowi na szyję.

- Zabierają państwo Davida do swoich przyjaciół? - zapytał dr Cassop. - Może do pani Buckley?

John czuł na dłoni dotyk brązowych włosów syna. W przeszłości na pewno będzie musiał zabijać, ale to było warte zabijania, spojrzał na dyrektora.

- Nie mamy ustalonych plenów. - Przerwał na chwilę, - Nie powinniśmy pana dłużej zatrzymywać, doktorze Cassop. Wyobrażam sobie, ile pan ma roboty z tymi wszystkimi chłopcami.

Dyrektor zareagował odpowiednio na zwiększoną dozę brutalności w głosie Johna. Przytaknął, a jego strach i rozpacz były tak widoczne, że nawet Ann je zauważyła; John zobaczył, jak się zmieniała, kiedy doszło to do jej świadomości.

- Tak. Oczywiście. - powiedział dyrektor. - Mam nadzieję ... W lepszych czasach ... Zatem, do widzenia.

Wykonał sztywny pół ukłon w stronę pań, odwrócił się i wszedł do gabinetu, zamykając drzwi ze sobą. Devey przyglądał mu się z zainteresowaniem.

- Chłopaki mówią, że stary Cassop ma pietra. Jak myślisz, tato, to prawda?

Zauważyli to, oczywiście, i Cassop wkrótce zorientuje się, że to zauważyli. To tylko pogorszy sprawę. Nie potrwa długo, pomyślał John, zanim Cassop załamie się i ucieknie. Dave’y odpowiedział:

- Możliwe. Sam bym się bał, gdybym miał do czynienia z taka bandą łobuziaków. Jesteś gotów, żeby jechać tak, jak stoisz?

- O, psiakość! - zawołał Eavey. - I Mary tu jest? Czy to już wakacje? Dokąd jedziemy?

- Nie wolno ci mówić “paiakość”, Devey - skarciła - Ann.

- Tak, mamo - potulnie przyznał Devey. - Ale dokąd jedziemy?

Jak się wydostaliście z Londynu - słyszeliśmy, że wszystkie drogi są zamknięte. Czy przebiliście się siłą?

- Jedziemy do doliny na wakacje - zignorował jego pytanie John - Chodzi o to, czy jesteś gotowy. Mary spakowała trochę twoich rzeczy. Możesz równie dobrze jechać tak, jak stoisz, jeśli nie masz czegoś specjalnego do zabrania.

- Jest Spooks - odpowiedział Davey. - Hey, Spooks!

Spooks okazał się chłopcem znacznie wyższym od Devey’e; był przeraźliwie chudy, a jego twarz miała bezradny, zamknięty w sobie

wyraz. Zbliżył się i wymamrotał słowa powitania zagłuszone przez entuzjastyczną paplaninę Davy' a, który pospiesznie przedstawiał go pozostałym. John przypomniał sobie, że postać Spooksa, który naprawdę nazywał się Andrew Skelton, od paru miesięcy często pojawiała się w listach Davey'a. Trudno było zrozumieć, co przyciągało do siebie obu chłopców, jako że chłopcy na ogół nie zaprzyjaźniają się ze swoimi przeciwieństwami.

Davey zapytał: - Czy Spooks może pojechać z nami tato? To by było wspaniale?

- Jego rodzice mogliby mieć coś przeciwko temu - ostrzegł John.

- Ależ skąd, wszystko będzie w porządku, prawda, Spooks?

Jego ojciec jest we Francji w interesach, a matki w ogóle nie ma. Rozwiodła się czy coś w tym rodzaju. Wszystko będzie w porządku.

John zaczął: No ...

Ann ostro ucięła dyskusję: - To absolutnie niemożliwe, Davey. Wiesz bardzo dobrze, że nie możemy robić takich rzeczy, szczególni w obecnych czasach.

Spooks patrzył na nich w milczeniu; wyglądał na opuszczone dziecko, które dawno już porzuciło wszelką nadzieję,

Davey zawołał: - Ale stary Cassop nie będzie miał nic przeciwko !

- Idź i przynieś to, co chcesz wziąć ze sobą, Devey - polecił mu John. - Może Spooks mógłby pójść z tobą i pomóc ci się spakować. Pospieszcie się teraz.

Dwaj chłopcy zniknęli, Klary i Steve odeszli z zasięgu głosu.

John powiedział: - Uważam, że moglibyśmy go zebrać.

Coś w wyrazie twarzy Ann przypomniało mu dyrektora; nie był to strach, ale poczucie winy.

- To śmieszne - zaprotestowała.

- Wiesz - zaczął John - jestem pewien, że Cassop ma zamiar zwiać. Nie wiem, czy Jacyś młodsi nauczyciele zostaną z chłopcami, ale nawet jeśli tak, to tylko opóźni katastrofę. Cokolwiek się stenie w Londynie, to miejsce za parę tygodni zamieni się w pustkowie. Nie podoba mi się pomysł, żeby zostawić tu Spooksa.

- W takim razie dlaczego nie zabrać całej szkoły? - zapytała Ann ze złością.

- Nie całej szkoły - stwierdził spokojnie Johnn. - Tylko jednego chłopca - najlepszego przyjaciela Davey'a.

1/ spook - żart, duch, zjawa.

Gniew w jej głosie ustąpił miejsce zakłopotaniu. - Chyba dopiero teraz zaczynem rozumieć, co nas czeka. Może nie być łatwo dostać się do doliny. Mamy już dwoje dzieci, o które musimy się troszczyć.

- się Kiedy wszystko się zawali - oznajmił John - niektórzy z tych

chłopców mogą przeżyć, mimo że są tacy młodzi - ale nie Spooks. Tacy jak on nie przeżyją. Jeśli go zostawimy, to prawie na pewno skażemy go na śmierć.

- A ilu chłopców zostawiliśmy w Lndynie, skazując ich na śmierć? - zawołała Ann. - Milion?

John nie odpowiedział od razu. Objął spojrzeniem hall, który w międzyczasie stał się obiektem inwazji nowej grupy chłopców, wtedy z powrotem odwrócił się do Ann, powiedział tylko:

- Chyba wiesz, co robisz, kochanie. Myślę, że wszyscy się zmieniamy, ale w różny sposób.

- Wiesz, że to ja będę się musiała zajmować dziećmi, kiedy ty będziesz odgrywał szlachetnego rycerza z Rogerem i penem Pirrie broniła się Ann.

- Wobec tego nie nam prawa nalegać, prawda?

Ann spojrzała na niego. - Kiedy mi powiedziałeś - o Miss Errington - pomyślałem, że to okropne, ale wciąż nie zdawałem sobie w pełni sprawy z tego, co się dzieje. Dopiero teraz to widzę. Musimy się dostać do doliny razem z dziećmi. Nie możemy obciążać się dodatkowo, nawet tym chłopcem.

John wzruszył ramionami. Pojawił się Devey niosąc małą walizkę; był ożywiony i pełen animuszu i przypominał jakiegoś miniaturowego dyplomatę. Spooks wlókł się za nim.

Davey oznajmił: Spakowałem najważniejsze rzeczy, takie jak album ze znaczkami, Włożyłem również zapasową parę skarpetek. Spojrzał na matkę oczekując aprobaty. - Spooks obiecał opiekować się moimi myszami, dopóki nie wrócę. Jedna jest w ciąży i powiedziałem mu, że może sprzedać małe, kiedy się urodzą.

- No, w takim razie chodźmy do samochodu - wyrzucił z siebie Johnn. Nie odważył się spojrzeć na Spooksa.

Olivia, która dotąd nie brała udziału w rozmowie, odezwała się czule:

- Myślę, że Spooks może jechać z nami. Chciałbyś z nami pojechać Spooks?

- Olivia! - wykrzyknęła Ann. - Wiesz przecież ...

- To znaczy w naszym samochodzie - dodała Olivia przepraszającym tonem. - W końcu mamy tylko jedno dziecko. To tylko sprawa miejsca do spania.

Dwie kobiety wymieniły szybkie spojrzenia. We wzroku Ann ponownie pojawiło się poczucie winy, zastąpione przez gniew. Twarz Olivii wyrażała jedynie zakłopotanie. Próby okazywania wyższości moralnej, pomyślał John, mogą łatwo przerodzić się w konflikt zagrażający bezpieczeństwu ich grupy. W końcu gniew Ann ostygł.

- Rób, jak chcesz-mruknęła. - Nie sądzisz, że powinnaś jednak przedtem porozmawiać z Rogerem?

Davey, który przysłuchiwał się wymiana zdań z zainteresowaniem, ale nie rozumiejąc jej sensu, wtrącił się:

- To wujek Roger też tu jest? Na pewno polubi Spooksa. Spooks jest okropnie dowcipny, tak samo jak wujek Roger, Powiedz coś dowcipnego, Spooks!

Spooks popatrzył na nich w agonii bezradności. Olivia uśmiechnęła się do niego,

- Nie szkodzi, Spooks. Chciałbyś z nami pojechać?

Spooks powoli skinął głową. Davey złapał go za ramię.

- Załatwione! - wykrzyknął. Chodź, Spooks, teraz ja pomogę ci się spakować. Zastanowił się przez chwilę. - A co z myszami?

- Myszy - zarządził John - zostają tutaj. Oddaj je komuś.

Davey zwrócił się do Spooksa. - Jak myślisz, czy Bannister dałby nam za każdą po sześć pensów?

John spojrzał na Ann ponad głową syna; po chwili ona również się uśmiechnęła. John oświadczył:

- Wyjeżdżamy za pięć minut. Do tego czasu macie spakować rzeczy Spooksa i sfinalizować wszystkie transakcje handlowe.

Dwaj chłopcy zabrali się do odejścia. Davey powiedział w zamyśleniu: - Myślę, że za tę, która jest w ciąży, powinniśmy dostać co najmniej szylinga.

Spodziewali się, że na drogach będzie ich zatrzymywało wojsko, i na tę okoliczność przygotowali sobie trzy różne historyjki wyjaśniające obecność na drodze trzech samochodów; najważniejsze, myślał John, żeby to nie wyglądało na konwój. Ale okazało się, że nikt nie próbował ich wypytywać. Na drogach panował normalny ruch; pokaźna liczba pojazdów wojskowych mieszała się z samochodami osobowymi. Opuściwszy Saxon Court przez cały dzień jechali Great North Road bez żadnych wypadków.

Późnym popołudniem zatrzymali się na posiłek na bocznej drodze, nieco na północ od Newark. Dzień był pochmurny, ale pod koniec wyjrzało słońce. Po błękitnym niebie przetaczały się na zachód spiętrzone masy obłoków. Po obu stronach drogi rozciągały się pola ziemniaków, zieleniące się zapowiedzią drugiego zbioru w tym sezonie. Z wyjątkiem nagich pasów ziemi rozgraniczających pola krajobraz niczym się nie różnił od jakiegoś wiejskiej scenerii w żyznej, kwitnącej krainie.

Trzej chłopcy odkryli stromy pagórek i zjeżdżali po nim, używając jako sanek starej, wygiętej deski, przypuszczalnie wyrzuconej wiele lat temu z jakiegoś cygańskiego wozu. Mary przyglądała im się z mieszaniną zazdrości i pogardy. Od pamiętnej wspinaczki na wzgórza w dolinie czternaście miesięcy wcześniej bardzo wydoroślała.

Mężczyźni, siedząc w Fordzie Pirrie'go, dyskutowali nad dalszym postępowaniem.

John oznajmił: - Jeśli dzisiaj dojedziemy za Ribon, będziemy tylko o dzień drogi od doliny.

- Możemy dojechać dalej - sprzeciwił się Roger.

- Przypuszczam, że moglibyśmy, ale wątpię, czy warto tak się spieszyć. Podstawową sprawą jest wydostanie się z gęsto zaludnionych okolic. Jak już wyjedziemy z West Riding, będziemy wystarczająco bezpieczni, cokolwiek się stanie.

Pirrie odezwał się: - Nie zamierzam się panom sprzeciwiać ani też narzekać, że przyłączyłem się do tej małej wycieczki, ale czy nie wydaje się panom, że przeceniacie możliwe niebezpieczeństwa?

Jak dotąd podróż przebiegała bez żadnych zakłóceń. Ani w Grantham, ani w Newark nie widzieliśmy żadnych oznak nadciągającej katastrofy.

- Peterborough było zamknięte - przypomniał mu Roger.

- Myślę, że te miasta, w których nie wprowadzono ograniczenia ruchu, są zbyt zajęte gratulowaniem sobie, że je to ominęło, żeby martwić się o to, co jeszcze może się zdarzyć. Widział pan te kolejki przed piekarniami?

- Bardzo zdyscyplinowane kolejki - zauważył Pirrie.

- Problem w tym - zaczął John - że nie wiemy dokładnie, kiedy Welling zamierza rozpocząć swoją drastyczną akcję. Minęło już prawie dwadzieścia cztery godziny, odkąd większe miasta są zamknięte, Kiedy spadną bomby, w całym kraju wybuchnie panika, Weiling ma nadzieję, że uda mu się w końcu opanować sytuację, ale nie może się spodziewać, że będzie w stanie zapanować nad zamieszeniem pierwsze kilka dni. Wciąż uważam, że jeśli do tego czasu pozostawimy za sobą główne miasta, to nic nam nie grozi.

- Bomby atomowe i wodorowe - zastanawiał się Pirrie. - Naprawdę wątpię.

- Je nie - odparł Roger krótko. - Znam Haggerty'ego. On nie kłamał.

- Nie dlatego wątpię, że pokładam wiarę w "moralność" anglików - zaoponował Pirrie - ale dlatego, że znam ich temperament.

Anglicy, jako ludzie pozbawieni wyobraźni, bez oporu godzą się na środki, które - o czym ostrzega ich zdrowy rozsądek - muszą doprowadzić do śmierci głodowej milionów ludzi. Ale bezpośrednie działanie - morderstwo w samoobronie - to co innego. Trudno mi uwierzyć, żeby kiedykolwiek mogli się na to zdobyć.

- Przecież poradziliśmy sobie całkiem nieźle zauważył Roger . Uśmiechnął się krzywo. - Zwłaszcza pan.

- Moja matka była Francuzką - odpowiedział Pirrie z prostotą.

- Ale nie zrozumiał mnie pan. Nie twierdzę, że Anglicy są niezdolni do popełnienia gwałtownych czynów. W sprzyjających okolicznościach będą zabijać z ochotą, może nawet chętniej, niż inni. Ale, podobnie jak wyobraźni, brakuje im logiki, do samego końca kurczowo czepiają się

złudzeń. Dopiero kiedy osiągną punkt krytyczny, zaczynają walczyć jak dzikie bestie.

- A pan kiedy osiągnął ten punkt? - zapytał Roger.

- Dawno temu - uśmiechnął się Pirrie. - Doszedłem do wniosku, że wszyscy ludzie stają się przyjaciółmi przez przypadek, a wrogami z wyboru.

Roger przyjrzał mu się z zainteresowaniem. - Częściowo się z panem zgadzam, A jednak istnieje związki, które trudno zerwać.

- Niektóre związki trwają dłużej, niż inne - oświadczył Pirrie - ale i tak pozostają tylko układami zawartymi dla obopólnej korzyści, Nasz własny jest szczególnie korzystny.

Kobiety siedziały przez cały czas w samochodzie Buckley'ów.

W pewnej chwili Millicent wystawiła głowę przez okno i zawołała:

- Wiadomości!

Jeden z dwóch radioodbiorników samochodowych był stale włączony. Mężczyźni wysiedli i podeszli bliżej.

Kiedy się zbliżyli, Ann oznajmiła:

- Zaczynają się kłopoty.

Głos spikera był wciąż spokojny, ale jednocześnie poważny:

” ...oprócz codziennych wiadomości w miarę potrzeby nadawane będą kolejne biuletyny nadzwyczajne.

W centrum Londynu miały miejsce dalsze zamieszki. W celu ich stłumienia i utrzymania porządku ściągnięto oddziały wojskowe z okolic podmiejskich, W południowej części Londynu zorganizowania grupa ludzi dokonała próby przebicia się przez blokady drogowe, ustawione wczoraj zgodnie z postanowieniem o czasowym wstrzymaniu wyjazdów z miasta. Na miejsce wypadku wysłano dodatkowe oddziały wojskowe, aby zapobiec dalszym wykroczeniom.”

- Teraz, kiedy już się stamtąd wydostaliśmy - odezwał się Roger - nie mam za złe tym facetom, że spróbowali się przebić siłą.

To chłopy z ikrą. Życzę im powodzenia.

Spiker kontynuował: - “Z północnej Anglii nadeszły raporty o znacznie poważniejszych przypadkach naruszenia przepisów. W kilku największych miastach, jak Liverpool, Menchaster i Leeds, doszło do walk ulicznych, przy czym w przypadku Leeds spowodowało to zerwanie oficjalnej łączności z resztą kraju

- Leeds! - mruknął John. - To gorzej.

“Rząd” - mówił dalej głos - “wydał następujące oświadczenie: “W związku z falą rozruchów ogarniającą coraz większe obszary kraju ostrzega się obywateli, że każde naruszenie porządku publicznego będzie surowo karane. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że cały kraj może pogrążyć się w anarchii, i rząd zdecydowany jest zapobiec temu ze wszelką cenę. W tej sytuacji obowiązkiem każdego obywatela Jest zachowanie spokoju i współdziałanie z przedstawicielami policji i

wojska, których zadaniem Jest utrzymanie porządku.” Podaliśmy ostatnie wiadomości.”

Orkiestra zaczęła grać “Piknik niedźwiadków”; Ann ściszyła radio tak, że dźwięk był ledwie słyszalny.

Roger powiedział: - Gdybyśmy jechali przez całą noc, rano moglibyśmy być na miejscu. Nie podoba mi się to. Zdaje się, że w Leeds ludzie wyrwali się na wolność. Lepiej Jedźmy, dopóki możemy.

- Poprzedniej nocy nie spaliśmy za wiele - zwrócił mu uwagę John.

- Nocna jazda przez Mossdale to nie zabawa, nawet w najlepszych warunkach.

- Ann i Millicent mogą was zmieniać ze kierownicą - odparł Roger.

- Ale Olivia nie potrafi prowadzić - zauważyła Ann.

- O mnie się nie martw - uspokoił Ją Roger. - Zabrałem ze sobą benzydynę. Jeśli trzeba, mogę nie spać przez dwie lub trzy noce.

Pirrie zabrał głos: - Chciałbym zaznaczyć, że powinniśmy przede wszystkim Jak najszybciej wydostać się z West Riding. Potem możemy zdecydować czy jechać dalej, czy nie.

- Słusznie - zgodził się John - tak zrobimy.

Ze szczytu pagórka chłopcy zaczęli coś wołać do nich, wymachując rękami ku niebu. Do ich uszu dobiegł stłumiony pomruk silników. Przez chwilę przeszukiwali wzrokiem czyste niebo. Potem w polu widzenia ukazały się samoloty, wylatując zza płotu wieńczącego szczyt pagórka. Były to ciężkie bombowce; leciały na północ na wysokości najwyżej trzech lub czterech tysięcy stóp,

W milczeniu i narastającym napięciu wpatrywali się w przelatujące nad ich głowami maszyny. Ponad odgłosami warkotu silników i podnieconej paplaniny chłopców zaległa przeraźliwa cisza oczekiwania.

Wreszcie, kiedy bombowce znikły w oddali, Ann szepnęła:

- Leeds?

Z początku nikt jej nie odpowiedział. Potem przemówił Pirrie swoim zwykłym, spokojnym, starannie modulowanym głosem:

- Możliwe. Istnieją oczywiście inne wyjaśnienia. Ale w każdym przypadku uważam, że powinniśmy ruszać, nie sądzi pani?

Tym razem, kiedy ruszyli, Davey przyłączył się do Steve a i Spooksa w Citroenie, który przejął prowadzenie. Drugi z kolei jechał Ford, a Vauxhall Johna, w którym oprócz niego jechała tylko Ann i tiary, zamykał tyły.

Doncaster było zamknięte, ale znaleźli dobrze oznakowany objazd. W narastającym ruchu pojazdów wojskowych jechali na północny wschód, mijając szereg spokojnych, małych wiosek. Znajdowali się w Vale of York; Krajobraz był tu płaski, a wsie liczne i dostatnie. Dopiero kiedy wrócili na North Road, zostali zatrzymani przez wojskowy punkt kontrolny.

Punktem kierował sierżant. Był yorkchirczykiem, prawdopodobnie

pochodzącym z tych okolic. Dojrzał życzliwie na Rogera.

- A1 jest zamknięta dla ruchu z wyjątkiem pojazdów wojskowych, proszę pana.

- Co się stało? - zapytał Roger,

- Kłopoty w Leeds, Dokąd państwo jadą?

- Do Westmorlond.

Kiwnął głową ze zrozumieniem, - Ha panów miejscu wróciłbym do Yorku, Jeśli skręcicie zaraz przed Selby, możecie pojechać przez Thorpe Willoughby do Tadcaster, Radziłbym jednak omijać Leeds z daleka.

Roger spróbował zasięgnąć informacji. - Krążą jakieś dziwne pogłoski,

- Wcale mnie to nie dziwi, proszę pana.

- Parę godzin temu widzieliśmy samoloty lecące w tę stronę - dodał Roger. - Bombowce.

- Zgadze się - przyznał sierżant, - Przelatywały tędy. Jak widzę takie coś w powietrzu, zawsze sobie gratuluję, że mieszkam na wsi. Zabawne, prawda - obawiać się własnych samolotów! Te bombowce przeleciały dalej, ale i tak radzę trzymać się z daleka od Leeds,

- Dzięki ze radę - odpowiedział Roger - tak zrobimy.

Konwój zawrócił i ruszył z powrotem. Droga, którą teraz jechali, zaprowadziłaby ich na południe; zamiast tego skręcili na północny wschód i pozostawiwszy za sobą pojazdy wojskowe, posuwali się bocznymi, opuszczonymi drogami.

Ann odezwała się: - Nie możemy tego do końca zrozumieć, prawda? Biuletyny nadzwyczajne, wojskowe punkty kontrolne - to jedno, ale jest coś więcej. Tymczasem tutaj wszystko jest takie, jak zawsze - zwyczajny, letni wieczór na wsi.

- Nie całkiem - odparł John. Wskazał na ogołocone z trawy ubocza drogi.

- Ale to wydaje się zbyt mało - sprzeciwiła się Ann - żeby spowodować głód, walki, morderstwa, bomby atomowe albo ... - Zawahała się, a John obrzucił ją szybkim spojrzeniem - albo porzucicie chłopca na pastwę losu w obawie o własne bezpieczeństwo.

- Po prostu wyszły teraz na jaw ukryte motywy - powiedział spokojnie John. - Musimy nauczyć się je akceptować.

Ann zawołała gwałtownie: - Chciałabym, żebyśmy już tam byli! Chciałabym, żebyśmy schowali się w dolinie i zamknęli za sobą bramę.

- Mam nadzieję, że jutro tam będziemy.

Droga, którą jechali, była wąska, kręta i niewygodna. Pozostawał w pewnej odległości za innymi, podczas gdy Ford Pirrie'go, jechał przodem. Perry posiadał zdumiewającą łatwość manewrowania, niemal przykleił się do prowadzącego Citroena. Kiedy Vauxhall dojeżdżał do przejazdu kolejowego, szlaban zaczął się powoli opuszczać.

Gwałtownie hamując. John zawołał: - Cholera! Dziesięć minut

czekania, zanim pociąg się w ogóle pojawi, o ile znam wiejskie jazdy. Może pięć szylingów mogłoby ich przekonać, żeby nas przepuścili.Wyśliznął się z samochodu i obszedł go wokoło. Z prawej strony przez przerwę w żywopłocie widać było regularny szereg nagich, niczym nieporośniętych pagórków - hałdy pobliskiej kopalni węgla, przechylił się przez szlaban i wytężył wzrok. Tor kolejowy ciągnął się prosto w obie strony przez całe mile, ale nigdzie nie było śladu pociągu, John podszedł do domku dróżnika i zawołał: - Halo!

Nie otrzymał odpowiedzi, Zawołał ponownie i tym razem coś słyszał, ale dźwięk był zbyt cichy, żeby go mógł zidentyfikować. Obszedł domek wokoło i spróbował zajrzeć przez okno wychodzące na tory. I wtedy zobaczył, skąd pochodził dźwięk, który go zaniepokoił. Na środku pokoju, na podłodze leżała kobieta. Jej ubranie było podarte a twarz zakrwawiona; jedną nogę miała niewygodnie podkurczona i przyciśnięta ciężarem ciała. Pokój był w nieładzie - powyciągane szuflady, zegar zerwany ze ściany.

Po raz pierwszy widział coś takiego w Anglii, ale we Włoszech podczas wojny zdarzało mu się widywać wiele podobnych scen. Siady przejścia szabrowników tutaj, w spokojnej Anglii. Przypadkowe odkrycie tej okropności w tak odosobnionym zakątku kraju było widomym dowodem, że katastrofa nadeszła, nieodwołalnie; dowodem bardziej jaskrawym, niż wszystkie eskadry bombowców i wojskowe punkty kontrolne.

Wciąż jeszcze patrzył przez okno , gdy nagle coś mu się przypomniało. Szlaban! Jeśli te kobieta leżała tutaj umierająca, to kto opuścił szlaban? I po co? Z miejsca, w którym stał, nie widział drogi ani samochodu. Szybko zawrócił i w tej samej chwili usłyszał krzyk Ann.

Rzucił się biegiem okrążając dom. Drzwi samochodu były otwarte, a wewnątrz trwała walka. Zobaczył Ann szamoczącą się z Jakimś mężczyzną na przednim siedzeniu; z tyłu siedział drugi. Kary nie dostrzegł.

Pomyślał, że miałby szansę, gdyby ich zaskoczył. Strzelby zostały w samochodzie. Rozejrzał się za jakąś broną i zobaczył kawał nieoheblowanej deski leżącej poć gankiem. Pochylił się, żeby ją podnieść, i w tym momencie usłyszał za plecami męski śmiech. Wyprostował się i zdążył jeszcze dojrzeć twarz mężczyzny ukrytego w cieniu pod werandą, kiedy cięzka pałka spadła na jego głowę.

Próbował krzyknąć, ale słowa zwięzły mu w gardle i upadł nieprzytomny.

Ktoś obmywał mu głowę. Najpierw zobaczył chusteczkę, czarną od zakrzepłej krwi; podniósł wzrok i ujrzał twarz Olivii.

Zapytała: - Johnny, już ci lepiej?

- Ann? - wykrztusił, - Mary?

- Leż spokojnie. - Zawołała: - Roger, dochodzi do siebie!

Szlaban był podniesiony. Citroen i Ford stały na drodze.

Trzej chłopcy siedzieli na tylnym siedzeniu Citroena, wyglądając na zewnątrz, ale zbyt przestraszeni, żeby paplać Jak zwykle, Roger, Pirrie i Millicent weszli do domku dróżnika. Twarz Rogera byłe ponura; twarz Pirrie'go jak zwykle uprzejma i bez wyrazu.

Roger zapytał: - Co się stało, Johnny?

Opowiedział im. Głowa go bolała; najbardziej ze wszystkiego pragnął położyć się i zasnąć.

- Prawdopodobnie byłeś nieprzytomny przez jakieś pół godziny - ocenił Roger.

- Przejechaliśmy już za Leeds, kiedy się zorientowaliśmy, że was brakuje.

- Pół godziny - odezwał się Pirrie - w tej okolicy daje szabrownikom około dwudziestu mil przewagi. To wyznacza nam raczej szeroki krąg poszukiwań. - który oczywiście zwiększa się z każdą chwilą. W tej części kraju drogi są niesamowicie poplątane.

Olivia bandażowała głowę Johna; dotyk jej rąk, mimo że delikatny, potęgował ból.

Roger popatrzył na niego, - No, Johnny - co robimy? Musisz podjąć szybką decyzję.

John próbował zebrać rozbiegane myśli.

- Zabierzecie Lawey'a ? - zapytał. - To najważniejsze. Znacie drogę, prawda?

- A ty?

John nie odpowiedział. Dopiero teraz dotarło co niego znaczenie słów Pirrie'go. Miał minimalne szanse, żeby ich odnaleźć.

A nawet gdyby ich znalazł ...

- Jeśli możecie dać mi strzelbę ... - zaczął - na domiar wszystkiego zabrali też broń ...

Roger powiedział łagodnie: - Johnny, pamiętaj, że to ty kierujesz wyprawą. Twoje plany nie dotyczą tylko ciebie - dotyczą nas wszystkich.

John potrząsnął głową. - Jeżeli nie przedostaniecie się do North Riding najpóźniej do wieczora, możecie w ogóle się nie przedostać. Je sobie poradzę.

Pirrie cofnął się nieco i spoglądał na niebo z nieobecnym wyrazem twarzy.

- Oczywiście - warknął Roger - poradzisz sobie. Za kogo ty się uważasz, do diabła - za połączenie Napoleona z Supermanem?

Z czego masz zamiar zrobić sobie skrzydła do latania?

John ciągnął: - Nie wiem, czy moglibyście się wszyscy zmieścić w Citroenie ... gdybyście mogli mi pożyczyć lorda ...

- Stanowimy grupę - odparł Roger. - Jeśli chcesz wracać, musisz nas zabrać ze sobą. - Przerwał na chwilę. - Te kobieta nie żyje - równie

dobrze mogę ci to teraz powiedzieć.

- Zabierzcie Davey'a - powtórzył John. - To wszystko.

- Ty cholerny idioto! - wrzasnął Roger. - Myślisz, że nawet gdybym ja sam chciał odjechać, Olivia by się na to zgodziła? Znajdziemy ich i do diabła ze wszystkim.

Pirrie rozejrzał się mrugając oczami, z łagodnym wyrazem twarzy. - Czy podjęliście decyzję? - zapytał.

- Wygląda na to, że decyzja zapadła bez mojego udziału odparł John. - Przypuszczam, że to właśnie miał pan na myśli mówiąc,

że nasz związek jest szczególnie korzystny, prawda, penie Pirrie? Macie dolinę zaznaczoną na swoich dwóch mapach samochodowych. Jeśli Chcecie, dam wam list do brata. Możecie mu powiedzieć, że zostaliśmy zatrzymani.

- Zastanawiałem się nad sytuacją - rzekł Pirrie. - Powiem otwarcie, jeśli mi pan to wybaczy: jestem raczej zdziwiony, że nasi przyjaciele tak szybko opuścili scenę.

Roger zapytał szorstkim tonem: - Dlaczego?

Pirrie kiwnął głową w kierunku domku dróżnika. - Spędzili tam ponad pół godziny,

- Chce pan powiedzieć - gwałt? - zapytał tępo John.

- Tak. Wyjaśnienie wydaje się być oczywiste. Domyślili się, że nasze trzy samochody stanowią grupę, i z rozmysłem odcięli drogę temu, który się opóźniał. Jednakże woleli nie zatrzymywać się w tym miejscu z obawy, że dwa pozostałe samochody mogą zawrócić w poszukiwaniu trzeciego.

- Czy to nam coś daje? - Chciał wiedzieć Roger.

- Tak przypuszczam. Nie zatrzymują się w najbliższym sąsiedztwie. Wiemy, że zawrócili w kierunku North Road, ponieważ zostawili szlaban zamknięty. Ale nie sądzę, że dojadą aż do North Road. Myślę, że zatrzymają się znacznie wcześniej.

- Zatrzymają się? - powtórzył John nie rozumiejąc.

Spojrzał na skamieniałą twarz Rogera i zobaczył, że tamten

wcześniej od niego pojął znaczenie słów Pirrie'go. Wtedy nagle zrozumiał. Zerwał się na nogi,

Roger odezwał się beznamiętnym głosem: - Musimy jeszcze ustalić parę szczegółów. Między tym miejscem a drogą A1 jest z pół tuzina bocznych dróg, I musicie pamiętać, że tamci będą nadsłuchiwać odgłosu silników. Będziemy musieli przeszukiwać te drogi po kolei - i to na piechotę.

Czując, jak ponownie przytłacza go rozpacz, John jęknął:

- Ależ to zabierze mnóstwo czasu

- Jeżeli już na początku narobimy hałasu - stwierdził Roger - to może się zdarzyć, że w tan sposób stworzymy im szansę ucieczki,

W milczeniu wracali do zaparkowanych samochodów, Spooks

wystawił głowę przez tylne okienko Citroena i zapytał cienkim, załamującym się głosem:

- Czy to prawda, że porwano mamę Davey a i Mary?

- Tak - potwierdził Roger.- Mamy zamiar je odszukać.

- I porywacze zabrali Vauxhalla?

- Tak - burknął Roger. - Bądź cicho, Spooks. Musimy się zastanowić, co dalej.

- W takim razie łatwo ich znajdziemy! - zawołał Spooks.

- Tak, znajdziemy ich - Roger usiadł za kierownicą i przygotował się, żeby wykręcić samochód, John wciąż był oszołomiony.

To Pirrie zapytał:

- Łatwo? W jaki sposób?

Spooks pokazał na drogę, którą przyjechali. - Po śladach oleju.

Trzej mężczyźni wytrzeszczyli oczy na smołowaną nawierzchnię. Ślad to było ze dużo powiedziane, ale w kilku miejscach wzdłuż drogi połyskiwały plamki oleju.

- Ślepi! - zawołał Roger. - Jak mogliśmy tego nie zauważyć?

Ale to może nie być Vauxhall. To raczej Ford.

- Nie - upierał się Spooks. To na pewno Vauxhall. W miejscu, gdzie stał, została większa plama.

- Mój Boże! - powiedział Roger. Do jakiej ty szkoły chodziłeś - dla przodujących skautów?

Spooks potrząsnął głową. - Nie należałem do skautów. Nie lubiłem jeździć na obozy.

Roger oświadczył z uniesieniem: - Mamy ich! Mamy tych skurwysynów! Nie zwracaj uwagi na ostatnie słowo, Spooks.

- Dobrze, proszę pena - odpowiedział Spooks grzecznie. - Ale słyszałem je już wcześniej.

Na każdym skrzyżowaniu zatrzymywali się i szukali śladów oleju. Były o wiele za małe, żeby możne je było dostrzec nie wysiadając z samochodu. Trzecia z kolei boczne droga prowadziła do wsi; w tym miejscu ślad skręcał w prawo. Napis na drogowskazie nosił: Norton 1 mila.

- Chyba to tu - powiedział Roger, - Jeden z nas mógłby sprówać przejechać obok nich z pełną szybkością. Gdyby jeden samochód zdołał ich wyminąć i zablokować dalszą drogę, moglibyśmy ich wziąć w dwa ognie. Myślę, że zatrzymali się gdzieś nie dojeżdżając wsi. Dość gwałtownie zboczyli z drogi.

- To by się mogło udać - powiedział Pirrie zamyśleniu. - Z drugiej strony tamci prawdopodobnie spróbują się przebić. W samochodzie mają automat, strzelbę i rewolwer. Może być trudno ich zatrzymać bez narażania kobiet.

- Macie inne pomysły?

John usiłował się zastanowić, ale jego umysł, przytłoczony

nienawiścią i balansujący pomiędzy rozpaczą a resztką nadziei, odmówił mu posłuszeństwa.

- Te okolica jest zupełnie płaska. Gdyby któryś z was wspiął się na ten dąb, może mógłby się za nimi rozejrzeć - zasugerował Pierrie.

Dąb stał przy skrzyżowaniu. Roger dokładnie ocenił go wzrokiem, podsadźcie mnie do pierwszej gałęzi, dalej sobie poradzę.

Wspiął się na drzewo z łatwością; musiał wdrapać się dość wysoko, żeby znaleźć prześwit w gęstwinie liści, przez który mógłby wyjrzeć. Z dołu prawie go nie było widać. Nagle krzyknął:

- Gdzie?! - wrzasnął John,

- Jakieś trzy czwarte mili stąd. Zatrzymali się na polu po lewej stronie drogi. Schodzę na dół.

John zawołał: - A Ann? A Mary?

Roger zlazł na dół i zeskoczył z ostatniej gałęzi. Starał się nie patrzeć na Johna.

- Tak, są tam - odpowiedział.

Pirrie zamyślił się. - Po lewej stronie, Daleko odjechali od drogi?

- Zaparkowali ze żywopłotem na otwartym polu. Jeżeli spróbujemy podejść od przodu, będą nas mieli jak na dłoni.

Pirrie poszedł do samochodu i po chwili wrócił z ciężkim sportowym karabinem, który sam. sobie wybrał.

- Trzy czwarte mili - mruknął. - Dajcie mi dziesięć minut. Potem przejedźcie tamtędy z pełną szybkością i zatrzymajcie się pareset jardów ze nimi. Wystrzelcie kilka razy-nie do nich, ale ze. siebie. Chcę, żeby się ustawili w dogodnej pozycji.

- Dziesięć minut! - jęknął John.

- Chcemy je odzyskać żywe - zwrócił mu uwagę Pirrie.

- Ale tamci może do tego czasu - będą już gotowi do odjazdu.

- Wtedy ich usłyszycie. Narobią dużo hałasu - będą musieli wyjechać z pola. Jeśli odjadą, gońcie ich Citroenem i nie wahajcie się strzelać, - Pirrie zawahał się. - Widzi pan, w tym przypadku najprawdopodobniej pańskiej żony i córki już z nimi nie będzie.

I skinąwszy lekko głową w bliżej nieokreślonym kierunku Pirrit ruszył wzdłuż drogi. Po chwili znalazł przerwę w żywopłocie i prześliznął się przez nią na drugą stronę.

Roger spojrzał na zegarek, - lepiej bądźmy gotowi - powiedział - Olivia, Millicent - weźcie chłopców do lorda. Chodź, Johnny.

John usiadł obok niego na przednim siedzeniu Citroena i uśmiechnął się boleśnie.

- Świetny ze mnie przywódca, prawda?

Roger zerknął na niego spod oka. - Nie przejmuj się. Masz szczęście, że doszedłeś do siebie.

John wpił paznokcie w siedzenie samochodu.

- Każda minuta ... - szepnął, - Pieprzone świnie! Bóg widzi, że dla

Ann to już wystarczająco okropne, ale Mary ...

- Nie przejmuj się - powtórzył Roger. Spojrzał ponownie na zegarek.

- Przy odrobinie szczęścia nasi przyjaciele mają przed sobą jeszcze najwyżej dziewięć minut życia.

Nagle przez głowę Johna przebiegła pewna nie związana z tematem myśl, tak nieoczekiwana, że wypowiedział ją na głos:

- Dopiero co minęliśmy budkę telefoniczną. Nikt, nie pomyślał, żeby wezwać policję.

- Dlaczego mielibyśmy to robić? - wzruszył ramionami Roger, - Nie ma już takiej rzeczy, jak publiczne bezpieczeństwo. Wszystko teraz jest prywatne, - Bębnił palcami po kierownicy. - A więc i zemsta.

Przez resztę czasu nie mówili nic. Kiedy dziesięć minut minęło, Roger wciąż bez słowa przekręcił kluczyk w stacyjce i gwałtownie nacisnął pedał gazu. Z rykiem silnika popędzili wąską dróżką wyduszając z Citroena maksymalną szybkość. Po niespełna minucie minęli wjazd na pole i ujrzeli Veuxhalle stojącego na żywopłotem. Droga prowadziła prosto przez następne pięćdziesiąt jardów. Roger zahamował ostro na zakręcie i szarpnięciem kierownicy ustawił samochód w poprzek drogi zajmując całą jej szerokość.

John błyskawicznym ruchem otworzył drzwi po swojej stronie. Roger dał mu swój automat; przechylając się przez maskę Citroena John oddał krótką serię. Strzały rozdarły ciszę spokojnego letniego popołudnia. W chwilę później w oddali rozległy się jeszcze trzy strzały. Potem zapanowała znowu cisza.

Roger nadal siedział w samochodzie, John powiedział:

- Przejdę przez żywopłot. Ty lepiej tu zostań.

Roger kiwnął głową. Żywopłot był gęsty i kiedy John się przez niego przedzierał, kolce tarniny drapały mu skórę. Wyjrzał ne pole, na ziemi leżały ciała. Z odległego korce pola nadchodził Pirrie spokojnym krokiem, z karabinem pod pachą. John usłyszał jęki. zaczął biec, potykając się i grzęznąc w świeżo zaoranej ziemi.

Ann leżała na ziemi za samochodem, tuląc Mary w ramionach. Obydwie żyły. Jęki, które usłyszał, wydawali z siebie trzej mężczyźni leżący nieopodal. Kiedy John się zbliżył, jeden z nich żylasty, z wąską twarzą pokrytą ryżym zarostem - zaczął się

podnosić. Jedno ramię zawisało mu bezwładnie, ale w drugim, ręku trzymał rewolwer.

John ujrzał, że Pirrie podnosi karabin szybko, lecz bez pośpiechu. Rozległ się słaby, stłumiony trzask wystrzału i mężczyzna upadł ne ziemię z okrzykiem bólu. Ptak, który w międzyczasie usiadł na żywopłocie rozwinął skrzydła i wzbił się w czyste niebo.

John wyciągnał z samochodu dywaniki i przykrył nimi Ann i Mery ta , gdzie leżały. Powiedział szeptem, jakby nawet dźwięk głosu ngłby Je Jeszcze bardziej zranić:

- Ann, kochanie - Mary - już wszystko w porządku.

Nie odpowiedziały. Mary cicho łkała. Ann spojrzała na niego i odwróciła wzrok.

Prrrie przeszedł ostatnie kilka jardów. Spokojnie, precyzyjnie wymierzonym ruchem kopnął najbliżej leżącego mężczyznę. Mężczyzna wrzasnął przenikliwie, a potem jęczał dalej.

W tym momencie w bramie wjazdowej pojawił cię Roger z rewolwerem w ręku. Obrzucił wzrokiem całą scenę,i, jego oczy szybko przesunęły się od leżących bezwładnie Ann i Mary do trzech rannych mężczyzn. Popatrzył na Pirrie'go.

- Ostatnia razem zrobił pan lepszą robotę - zauważył.

- Pomyślałem sobie - odparł Pinio, a jego słowa w ciszy let

niego wieczoru wydawały się tak samo nie na miejscu, jak krwawa scena, w której brał udział - że winowajcy nie mają prawa umrzeć tak szybko. Jak niewinni. To dziwna myśl nieprawdaż? - Spojrzał

na Johna. - Uważam, że prawo egzekucji należy do pana.

Jeden z trzech mężczyzn został raniony w udo. Leżał w dziwacznie skręconej pozycji, obiema rękoma przyciskając ranę. Jego twarz była skrzywiona z bólu i strachu jak twarz dziecka. Ale uważał na to, co mówi Pirrie. Spojrzał Johna ze zwierzęcym błaganiem.

John odwrócił się. - Skończcie z nimi - powiedział.

Z tępym, niemiłym zdziwieniem pomyślał: dawniej zawsze udawano się pod ochronę prawa. Teraz pojęcie prawa było pustym słowem, za którym stały strzelby.

Jego słowa nie były skierowane do nikogo w szczególności. Spoglądając w dół na Ann i Mary usłyszał, jak rewolwer Rogera trzasnął raz i drugi, i usłyszał jak jeden z mężczyzn gwałtownie zaczerpnął powietrza, zanim skonał. Wtedy Ann krzyknęła:

- Roger!

Roger odpowiedział łc.godnyir. głosem; - Tak, Ann?

Ann delikatnie uwolniła Mary z objęć i podniosła się na nogi Zacisnęła zęby z bólu i John podszedł, żeby JeJ pomóc. Wciąż miał automat przewieszony przez ramię. Próbował ją powstrzymać, kiedy po niego sięgnęła, ale Ann wyrwała nu broń z ręki.

Dwaj mężczyźni nie żyli. Pozostał ten, który był ranny w udo Ann kulejąc podeszła i stanęła nad nim. Podniósł na nią wzrok i John ujrzał na Jego zapadniętej, wykrzywionej strachem twarzy przebłysk nadziei.

- Przepraszam, pszepani. Przepraszam - powiedział.

Mówił z ciężkim akcentem z Yorkshire. John przypomniał sobie, że w jego dawnym plutonie w Północnej Afryce był kierowca, który miał podobny głos, wesoły mały grubasek wyleciał w powietrze w pobliżu Bizerty.

Ann wycelowała karabin. Mężczyzna wrzasnął:

- Nie, pszepani, nie! Ja mam dzieci ...

Ann powiedziała beznamiętnym, płaskim głosem: - To nie za mnie. To za moją córkę. Kiedy wy ... Przysięgłam sobie, że zabiję was, jeśli zdołam.

- Nie! Nie może pani. To morderstwo!

Miała trochę trudności z odbezpieczeniem zamka. Mężczyzna gapił się na to, jakby nie wierzył własnym oczom, i wciąż tak samo niedowierzająco patrzył, kiedy kule pogrążały się w jego ciało. Trzasnął raz czy dwa, a potem ucichł. Ann dalej naciskała spust, dopóki nie opróżniła całego magazynka. Wówczas zaległa cisze przerywana jedynie pochlipywaniem Mary.

Pirrie powiedział spokojnie: - To byłe naprawdę dobra robota,

Custance. Teraz niech pani lepiej odpocznie, dopóki nie wyciągniemy stąd samochodu.

- Ja to zrobię - zaofiarował się Roger,

Wsiadł do Vauxhalla i ostro zawrócił. Tylne koła przejechały przez ciało jednego z mężczyzn. Roger wyprowadził samochód na drogę i zawołał:

- Przynieście je, dobrze?

John podniósł córkę i zaniósł do samochodu, Pirrie podtrzymał Ann. Kiedy obie znalazły się w środku, Roger kilka razy nacisnął klakson. Potem wyśliznął się zza kierownicy i powiedział do Johna:

- Kolej na ciebie. Przede wszystkim musimy stąd odjechać na wypadek, gdyby strzały zwróciły czyjąś uwagę. Potem Olivia może się nimi zająć.

John wskazał na pole, - A tamci?

Przez bramę nadal widać było trzy ciała rozciągnięte na brązowej ziemi. Zaczynały je już obsiadać muchy.

Roger okazał szczere zdziwienie, - Co tamci?

- Nie pochowamy ich?

Pirrie zaśmiał się sucho. - Obawiam się, że nie mamy czasu na ten akt miłosierdzia.

Nadjechał Ford, wyskoczyła z niego Olivia i pospieszyła do Johna i Mary. Pirrie zawrócił, żeby zając jej miejsce za kierownicą.

- Nie na sensu ich grzebać - stwierdził Roger. - Straciliśmy już za dużo czasu, Johnny. Zatrzymamy się jak tylko miniemy Tadcaster, O.K.?

John kiwnął głową, Pirrie zawołał:

- Teraz ja będę jechał z tyłu!

- W porządku - odparł Roger. — Ruszajmy.

ROZDZIAŁ 7

Tadcaster było opanowuje gorączką, niczym pograniczne miasteczko na pół przestraszone, a na pół podniecone perspektywa

najazdu. Napełnili baki, a pracownik stacji benzynowej popatrzył na pieniądze, które mu dali. Jakby powątpiewał w ich wartość. Dostali tam również gazetę. Było to wydanie Yorkshire Svening, Press datowane trzeciego lipca - chociaż był już szósty, sprzedawca nawet nie próbował się usprawiedliwić. Wiadomości w gazecie były identyczne z tymi, które słyszeli przez radio; poprzez pełen namaszczenia uroczysty ton oficjalnych komunikatów jawnie przebijał strach.

Opuściwszy Tadcaster zaraz za miastem wjechali w boczną dróżkę. W mieście napełnili termosy, cle głównie musieli polegać na własnych zapasach żywności. Wydawało się, że Mary doszła już do siebie wypiła herbatę i zjadła trochę mięsa z puszki, którą otwarli. Ale Ann nie chciała nic jeść ani pić. Pogrążyła się w milczeniu, nie wiadomo, czy przeżywając na nowo swój ból i wstyd, czy rozmyślając nad gorzkim triumfem. Z początku John próbował z nią rozmawiać, ale Olivia, która z nimi została, ostrzegła go po cichu, żeby tego nie robił.

Citroen i Vauxhall zaparkowały obok siebie, zajmując całą szerokość wąskiej drogi, i podróżni zjedli wspólny posiłek siedząc w dwóch samochodach. Radio mamrotało cicho - nadawano audycję o mauretańskiej architekturze. To zakrawało na czyste kpiny, parodię osławionej angielskiej flegmy, Być może audycja została nadane właśnie z tą myślą, ale John nie był w nastroju do zabawy, Kiedy głos nagle umilkł, pierwszą myślą Johna było, że radio się zepsuło, Roger kiwnął do niego i włączył radio w swoim samochodzie, ale nic się nie stało.

- Koniec z nimi - stwierdził Roger. - Wciąż jestem głodny. Możemy zaryzykować otwarcie następnej puszki, kapitanie?

- Pewnie moglibyśmy, ale dopóki nie wydostaniemy się z West Riding, wolałbym tego nie robić.

- W porządku - zgodził się Roger. - Zaciągnę pasek o jedną dziurkę ciaśniej.

Nagle radio odezwało się ponownie. Ponieważ oba odbiorniki były włączone, głos wydawał się bardzo donośny. Akcent całkowicie różnił się od tego, jakiego należałoby się spodziewać po BBC - był to ledwie wygładzony cockney. Głos był jednocześnie gniewy i przestraszony:

“Tu Nadzwyczajny Komitet Obywatelski miasta Londynu. Przejęliśmy rozgłośnię BBC. Za chwilę podamy komunikat specjalny. Proszę czekać. Dopóki komunikat nie będzie gotowy, będziemy nadawać sygnał przerwy. Proszę czekać.”

- Acha! - wykrzyknął Roger, - Nadzwyczajny Komitet Obywatel ski, tak? Komu do ciężkiej cholery chce się marnować czas na rewolucję w obecnej sytuacji?

Z drugiego samochodu Oliwia posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie, Roger odparł, raczej głośno:

- Nie martw się o dzieci. Teraz już nie ma znaczenia; Eton czy

Borstal. Zostaną zjadaczami kartofli, i nic im nie pomogą dobre maniery przy stole. Na nic im się nie przydadzą.

Rozległ się zapowiedziany sygnał przerwy: dźwięk dzwonów kościoła St. Mary le Bow, dziwnie niestosowni w tym miejscu, Ann podniosła wzrok i John pochwycił jej spojrzenie; te dźwięczne tony przeniosły ich z powrote m w świat dzieciństwa - przez chwilę same były symbolem dzieciństwa i niewinności w świecie, który przeminął .

John powiedział tak cicho, żeby tylko Ann mogła go usłyszeć:

- Nie zawsze tak będzie.

Spojrzała na niego obojętnie - Czyżby?

Następni głos bardziej przypominał charakterystyczny sposób myślenia zawodowego spikera, ale dźwięczała w nim nieprofesjonalna gwałtowność.

“Tu Londyn. Podajemy pierwszy komunikat Nadzwyczajnego Komitetu Obywatelskiego.

Nadzwyczajny Komitet Obywatelski przejął władzę w Londynie i podległych hrabstwach po bezprzykładnej zdradzie byłego premiera, Raymonda Wellinga. Posiadamy niepodważalne dowody, że ten człowiek, którego obowiązkiem było chronienie swoich współobywateli, poczynił daleko idące plany w celu ich zgładzenia.

Fakty są następujące:

Sytuacja żywnościowa kraju jest rozpaczliwa. Nie otrzymujemy żadnych dostaw zboże, mięsa ani innych produktów żywnościowych.

Do jedzenia mamy tylko to, co potrafmy wyhodować na własnej ziemi lub złowić u własnych wybrzeży. Stało się tak dlatego, że anty- -wirus wyhodowany w celu zniszczenia wirusa Chung -Li okazał się nie odpowiedni.

Dowiedziawszy się o tym Welling stworzył plan, który został ostatecznie zaakceptowany przez Gabinet, za co wszyscy jego członkowie muszą ponieść odpowiedzialność. Sam Welling został wybrany premierem po to, aby mógł przeprowadzić ów plan. Plan polegał na tym, że brytyjskie samoloty miały zrzucić bomby atomowe i wodorowe na największe miasta kraju. Oceniono, że jeżeli połowa ludności zostanie w ten sposób wymordowana, pozostali będą w stanie utrzymać się przy życiu opierając się na istniejących zasobach.”

- Na Boga! - zawołał Roger, - Oni nie tylko zdradzają tajemnicę - oni prowokują wybuch -wulkanu,

“Mieszkańcy Londynu nigdy nie uwierzą” - ciągnął głos - “że Anglicy będą w stanie popełniać masowe morderstwa zgodnie z planem Wellinga. Apelujemy do Sił Powietrznych, które w przeszłości broniły tego miasta przed wrogiem, aby nie kalały swych rąk krwią niewinnych ludzi. Zbrodnia taka zaciążyłaby przekleństwem nie tylko na tych, którzy jej dokonali, ale na ich dzieciach i wnukach przez wiele pokoleń,”

“Wiadomo nam, że Welling i inni członkowie jego zbrodniczego Gabinetu schronili się w bazie Sił Powietrznych. Żądamy, aby ludzie ci zostali postawieni przed obliczem sprawiedliwości ludowej.”

“Wszyscy obywatele proszeni są o zachowanie spokoju i pozostanie w miejscu zamieszkania. Wprowadzony przez Wellinga zakaz wyjazdów poza granice miasta stracił obecnie moc prawną, uprasza się jednak obywateli, aby nie wpadali w panikę i nie próbowali opuszczać Londynu. Komitet nadzwyczajny czyni przygotowania, aby zgromadzić wszelkie dostępne zasoby żywności, przede wszystkim ryb i ziemniaków, i przywieść je do Londynu, gdzie będą sprawiedliwie rozdzielane. Potrafimy pokonywać trudności, jak to pokazał chociażby przykład Dunkierki, Nie załamiemy się w obliczu próby.”

Nastąpiła chwila ciszy, po czym głos oznajmił:

“Za chwilę nadamy kolejny komunikat specjalny, Czas oczekiwania wypełni muzyka z płyt gramofonowych.”

Roger wyłączył swój odbiornik. - Czas oczekiwania wypełni muzyka z płyt gramofonowych - powtórzył sarkastycznie. - Do tej pory nigdy nie wierzyłem w opowieść o Neronie i jego flecie.

Millicent Pirrie odezwała się: - W takim razie to prawda, co pan mówił.

- A co najmniej - dodał Pirrie - historyjka ta zatacza coraz szersze kręgi, w zasadzie to na jedno wychodzi, prawda?

- To szaleńcy! - oświadczył Roger, - Majaczący, obłąkani, nieuleczalni szaleńcy. Welling pewnie aż się skręca.

- Niby dlaczego? - obruszyła się Millicent.

- Z powodu ich nieudolności - wyjaśnił Roger. - Cóż to za metody! Według mnie Nadzwyczajny Komitet to triumwirat, składający się z zawodowego anarchisty, pastora i lewicującej nauczycielki. Tylko taka kombinacja mogłaby wykazać podobną ignorancję w kwestii elementarnych zasad psychologii.

John zaoponował: - Próbują być uczciwi.

Właśnie to ciałem na myśli - odparł Roger. - Wiem, że za bardzo popisuję się swoim doświadczeniem jako były oficer od propagandy, ale wcale nie trzeba mieć dużo do czynienia z ludźmi jako masą, żeby wiedzieć, że uczciwość nigdy nie jest tu zalecana, a często zgubna.

- W tym przypadku będzie zgubne - przyznał Pirrie.

- Jak cholera. Kraj stanął w obliczu głodu - sytuacja jest tek ciężka, że premier postanowił zniszczyć większe miasta - Siły Powietrzne nigdy by tego nie zrobiły, ale swoją drogą apelujemy do nich, żeby tego nie robiły - i możesz wyjechać z Londynu, ale wolelibyśmy, żebyś został na miejscu! Taki komunikat może dać w rezultacie tylko jedno: dziewięć milionów ludzi rzuci się do ucieczki - wszystko jedno jak, wszystko jedno dokąd, byle uciec.

- Ale Siły Powietrzne tego nie zrobią - odezwała się Olivia.

- Wiesz, że nie.

- Nie, wcale nie wiem - zaprzeczył Roger. - I nie założyłbym się o to. Owszem, skłonny jestem tak przypuszczać, ale teraz to nie ma znaczenia. Wolałbym nie polegać zbytnio na innych, kiedy grozi mi głód i bomby wodorowe - czy naprawdę wyobrażasz sobie, że ktokolwiek chciałby tak ryzykować?

Pirrie zauważył w zamyśleniu: - Te dziewięć milionów, o których pan mówił, odnosiło się oczywiście do Londynu. West Riding także jest kilka milionowych miast, nie mówiąc już o zurbanizowanych okręgach północno-wschodnich,

- Na Boga, to prawda! - zawołał Roger. - To ich również poruszy. Nie tak szybko, jak londyńczyków, ale wystarczająco szybko.

- Spojrzał na Johna. - No jak, kapitanie, jedziemy przez całą noc?

John powiedział powoli: - Tak będzie najbezpieczniej. Jak już miniemy Harrogate, wszystko będzie dobrze.

- Musimy ustalić trasę - zaproponował Pirrie. Rozłożył swoją mapę samochodową i przyjrzał się jej, nałożywszy okulary w złotych oprawkach, których używał do czytania. - Czy ominiemy Harrogate

z zachodu i pojedziemy w górę doliny Nidd , czy też wybierzemy równą drogę przez Ripon? Jedziemy dalej przez Wensleydale?

- Jak uważasz, Roger? - zapytał John.

- Teoretycznie bezpieczniejsze są boczne drogi. Z drugiej strony nie podoba mi się ta droga przez Masham Moor. - Spojrzał na szybko ciemniejące niebo. - Szczególnie w nocy. Jeśli pojedziemy główną drogą, będzie nam o wiele łatwiej.

- Pirrie? - zapytał John.

Pirrie wzruszył ramionami. - Jak wolicie.

- W takim razie spróbujemy główną drogą. Obejdziemy Harrogate dookoła. Jest droga przez Starbeck i Bilton. Lepiej ominśmy także Ripon, dla bezpieczeństwa. Je teraz poprowadzę, a ty możesz jechać z tyłu, Roger. Jeśli zobaczysz, że z jakiegoś powodu nie możesz nadążyć, zatrąb.

Roger wyszczerzył zęby. - Równie dobrze mogę wpakować kulkę w fordzik Pirrie’go.

Pirrie uśmiechnął się uprzejmie. - Będę się starał nie narzucać zbyt szybkiego tempa, panie Buckley. Niebo nadal było bezchmurne i kiedy wyjechali na północ, nad ich głowami pojawiły się gwiazdy. Księżyc nie miał się pokazać przed północą; światła pędzących samochodów na mgnienie oka oświetlały kolejne fragmenty krajobrazu. Ta droga była najbardziej pusta ze wszystkich, jakimi dotąd jechali. Hałaśliwe szeregi ciężkich pojazdów wojskowych znikły, jakby pochłonęła je ziemia lub zbuntowane Leeds. Od czasu do czasu w oddali słychać było odgłosy podobne do wystrzałów, ale bardzo dalekie i niewyraźne. Wzrok Johna skierował się w lewo, jakby oczekując, że za chwilę niebo rozjarzy się

atomowym płomieniem, ale nic się nie stało. W tej stronie leżało Leeds - a także Bradford, Halifax, Huddersfield, Dewsburry, Wakefield i wiele innych przemysłowych miast i miasteczek środkowej północy. Niepodobna, żeby spały spokojnie, ale żadne oznaki ich agonii nie dochodziły do małej karawany pędzącej ku swemu schronieniu,

John był potwornie zmęczony i trzymał się tylko siłą woli. Kobietom przydzielono obowiązek pilnowania, żeby ich mężowie nie zasnęli za kierownicą, ale Ann siedziała w sztywnym bezruchu, wpatrując się w niebo, nic nie mówiąc i na nic nie zwracając uwagi. John wyłowił z kieszeni pigułki benzedryny, które dał mu Roger, przełknął je z wysiłkiem i popił wodą z flaszki.

Od czasu do czasu, kiedy droga się wznosiła, oglądał się za siebie sprawdzając, czy światła dwóch pozostałych samochodów wciąż za nim podążają. Mary leżała wyciągnięta na tylnym siedzeniu, przykryta kocami, i spała. Chociaż brutalność w stosunku do młodych i bezbronnych istot bardziej go oburzała i raniła mu serce, musiał przyznać, że młodzi naprawdę są odporni. Stosuje wiatr do wełny jagnięcia? Skrzywił się. Wszystkie jagniątka były teraz bezlitośnie strzyżone, a wiatr wiał z północnego wschodu, lodowato mroźny i niosący ciemność,

Z łatwością ominęli Harrogate i Ripon; miasta te były oświetlone, co wskazywało, że wciąż moją elektryczność, i z daleka wyglądały jak bezpieczne ośrodki cywilizacji. Może jeszcze nie było tak źle. Zaczął marzyć: czy to wszystko nie mogłoby być złym snem, z którego się obudzi, aby odnaleźć świat, ten codzienny, zwykły świat, utracony bezpowrotnie w magiczny sposób? Pomyślał, że w przyszłości powstaną legendy o rzęsiście oświetlonych ulicach miast o milionach ludzi żyjących obok siebie i niepróbujących się mordować, o pociągach, samolotach i samochodach, o nieprzebranej obfitości jedzenie. Większość z nich zapewne opowiadać będzie o policjantach-strażnikach, utrzymujących porządek bez stosowanie przemocy, o świecie rządzonym przez prawo.

Masham było małym targowym miasteczkiem nad brzegiem Ure.

Przed samą rzeką droga zakręcała ostro i John zwolnił na zakręcie.

Blokada była dobrze usytuowana - dość daleko od zakrętu, żeby nie można jej było zobaczyć, ale wystarczająco blisko, żeby samochód nie mógł ponownie nabrać szybkości. Droga była zbyt wąska, żeby można było zawrócić. Musiał zahamować i stanąć, i zanim zdołał wycofać samochód, ujrzał przez okno wycelowaną w niego strzelbę, Trzymał ją krępy mężczyzna w tweedowym ubraniu,

- W porządku, wysiadać - powiedział.

- O co chodzi? - zapytał John.

Mężczyzna cofnął się, kiedy zobaczył Forda Pirrie’go wyjeżdżającego zza zakrętu, ale nadal trzymał strzelbę wymierzoną w Vauxhalla. John

dostrzegł paru innych, stojących z tyłu. Celowali w lorda i w Citroena, który pojawił się jako ostatni.

Człowiek w tweedowym ubraniu zapytał:- Co to jest? Jakiś konwój? Jest was więcej?

Miał jowialny głos yorkshirczyka, którego trudno się było przestraszyć.

John pchnął drzwiczki samochodu, – Jedziemy przez wrzosowiska na zachód - odpowiedział. - Mój brat ma fermę w Westmorland i tam - właśnie jedziemy.

- Skąd pan jedzie? - zapytał inny głos.

- Z Londynu,

- Szybko pan zwiał, no nie? - człowiek się roześmiał. - No, wierzę, że Londyn to teraz niezbyt przyjemne miejsce.

Roger i Pirrie weszli w krąg światła - John z ulgą zauważył, obaj zostawili broń w samochodach. Roger wskazał na blokadę.

- Co to jest, zapora dla czołgów? - zapytał. - Przygotowujecie się na inwazję?

Człowiek w tweedowym ubraniu odparł: - Spryciarz z pana. - W jego głosie zabrzmiała aprobata. - właśnie na nią wpadliście. Kiedy z West Riding zaczną tu napływać tacy jak wy, przekonają się, że nie przyjdzie im łatwo splądrować to miasteczko,

- Rozumiem pański punkt widzenia - przyznał Roger.

W całej tej rozmowie było coś sztucznego, John widział to teraz jasno; na drodze stało kilkunastu ludzi obserwując ich uważnie.

Odezwał się? - Wyjaśnijmy sobie, o co chodzi. Czy dobrze rozumiem, że chcecie, żebyśmy zawrócili i pojechali okrężną drogą? To będzie dla nas duża niewygoda, ale rozumiem waszą sytuację.

Drugi mężczyzna roześmiał się: - Nie tak zaraz, proszę pana!

John nie zareagował. Przez chwilę rozważał szanse wycofania się do samochodów i wywalczenia sobie drogi odwrotu, Ale nawet gdyby im się udało wydostać, kobiety i dzieci znajdą się na linii ognia. Postanowił czekać.

Jasne było, że mężczyzna w tweedowym ubraniu jest przywódcą. Jeden z tych pomniejszych Napoleonów, których zrodził nowy porządek, a raczej brak porządku; mieli pacha, że w Masham stało się to tak szybko. Gdyby nie to, można by było mieć nadzieję na jeszcze co najmniej dwanaście godzin spokoju.

- Widzi pan - zaczął mężczyzna w tweedach - musi pan na to spojrzeć z naszego punktu widzenia. Gdybyśmy się nie bronili, miejsce takie Jak to zostałoby splądrowane za pierwszym najazdem. Mówię to panu, żeby pan zrozumiał, że wszystko, co robimy, jest konieczne i uzasadnione. Widzi pan, stanowimy cel napaści, można nas porównać ze słoikiem miodu. Wszystkie machy, które będą próbowały uciec przed głodem i bombami atomowymi, będą Jechać głównymi drogami. Będziemy je łapać i żywić się nimi - na tym polega nasz pomysł.

- Trochę za wcześnie na kanibalizm - skomentował Roger. - Czy też może w tych stronach jest zwyczaj zjadania ludzi?

Człowiek w tweedach zaśmiał się. - Cieszę się, że zachował pan poczucie humoru. Jeszcze nie wszystko stracone, dopóki potrafimy się śmiać, hę? Nie chcemy waszego ciała - przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale większość ludzi ma coś ze sobą, choćby pół tabliczki czekolady. Możecie uważać, że to jest połączenie rogatki z komorą celną. Przejrzymy wasze bagaże i zabierzemy to, co nam się przyda.

John zapytał szorstko: - A potem nas przepuścicie?

- No, nie całkiem. Ale pozwolimy wam odejść. - Jego małe bystre oczka w kwadratowej , mięsistej twarzy wpatrywały się uważnie w Johna. - Rozumie pen teraz, jak to wygląda z naszego punktu widzenia, prawda?

- Powiedziałbym, że to wygląda na kradzież - odparł John - z każdego punktu widzenia.

- Oj, to mocne słowo. Zresztą jeśli przejechaliście całą tę drogę z

Londynu i nie spotkało was nic gorszego od kradzieży, to mieliście większe szczęście, niż ci, co po was przyjdą. No, dobrze. niech pan powie kobietom, żeby zabrały dzieci z samochodów.

Wrobimy rewizję. Ruszcie się. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej to się skończy.

John zerknął na swoich towarzyszy i na twarzy Rogera ujrzał powstrzymywany gniew. Twarz Pirrie go byłe jak zwykle uprzejma i bez wyrazu,

- O.K. - powiedział w końcu, - Ann, obawiam się, że będziesz musiała obudzić Mary. Wyjdźcie na chwilę z samochodu.

Zbili się w ciasną grupkę, podczas gdy kilku mężczyzn zaczęło przeszukiwać samochody i bagażniki. Niewiele czasu zebrało im odkrycie broni. Mały, zarośnięty człowieczek podniósł automat Johna i krzyknął triumfalnie.

Mężczyzna w tweedach mruknął: - Karabiny, co? To lepsza zdobycz , niż mogliśmy się spodziewać za pierwszym razem.

- Są też rewolwery - odezwał się John. - Mam nadzieję, że zostawicie nam kilka.

- Niech pan będzie rozsądny - odpowiedział mężczyzna. - Mamy miasto, którego musimy bronić. - Zawołał do szukających ludzi:

- Zabierzcie całą broń.

- Może wobec tego powie mi pan, co chcecie zabrać?

- To proste. Ne początek broń. Następnie żywność, tek jak powiedziałem. I oczywiście benzynę.

- Dlaczego benzynę?

- Ponieważ możemy jej potrzebować, choćby dla potrzeb transportu wewnętrznego, Wyszczerzył zęby. - Zabrzmiało to bardzo po wojskowemu, prawda? Trochę jak w dawnych czasach. No cóż, historia się powtarza.

John zaprotestował: - Mamy przed sobą jeszcze osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt mil. Ford zużywa jeden galon benzyny na czterdzieści mil, pozostałe - jeden galon na trzydzieści mil. Wszystkie baki są pełne. Zostawcie nam dziesięć galonów do podziału.

Mężczyzna w tweedach uśmiechnął się bez słowa.

John popatrzył na niego.- Pozbędziemy się jednego dużego samochodu.

- Zostawicie nam sześć galonów?

- Sześć galonów - powiedział mężczyzna w tweedach - albo jeden rewolwer - takie drobiazgi mogą stanowić o różnicy między tym, czy utrzymany miasto, czy też ujrzymy je w płomieniach. Proszę pana, nie zostawimy wam nic, co mogłoby się nam przydać.

- Jeden samochód i trzy galony - spróbował John.- Wtedy nie będziecie mieli na sumieniu trzech kobiet i czworga dzieci.

- Ejże - odparł mężczyzna - dobrze panu mówić o sumieniu, ale

musimy myśleć o naszych własnych kobietach i dzieciach.

Roger i Pirrie stali obok, Roger powiedział:

- Zdobędą wasze miasto i spalą je. Mam nadzieję, że będzie pan żył dość długo, żeby to zobaczyć.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie. - Chyba nie chce pan teraz wszystkiego zepsuć? Potraktowaliśmy was dość łagodnie, ale

w każdej chwili możemy przestać być uprzejmi.

Roger otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć. John odezwał się szybko :

- W porządku. Wystarczy, Rodge. - Zwrócił się do mężczyzny

w tweedach: - Zrobimy panu prezent z samochodów. Czy możemy przeprowadzić nasze rodziny przez miasto do Asheley? I czy moglibyśmy dostać kilka starych wózków dziecinnych, która już wara nie są potrzebne?

- Cieszę się, że zachowuje się pan uprzejmiej od pańskiego przyjaciela, ale na oba pytania odpowiedź brzmi: nie. Nikt nie wejdzie do tego miasta. Musimy pilnować dróg, a ludzie, którzy nie stoją na straży, mają robotę mieście i muszą się też wyspać. Nie mamy ludzi, żeby was pilnować, a pewne jak diabli, że nie pozwolimy wam swobodnie szwendać się po mieście,

John ponownie spojrzał ostrzegawczo nr Rogera. Pirrie przemówił :

- Może zechciałby nam pan powiedzieć, co w takim razie możemy zrobić? I czy możemy zabrać koce?

- O, w koce jesteśmy wystarczająco dobrze zaopatrzeni.

- A nasze mapy?

Jeden z szukających podszedł i zameldował:

- Chyba mamy wszystko, co było warto wziąć, panie Spruce. Jedzenie i broń. Willie spuszcza benzynę.

- W takim razie - oznajmił pan Spruce - możecie iść i wziąć sobie, co chcecie. Na waszym miejscu nie brałby za dużo. Przekonacie się, że niełatwo iść na piechotę. Jeśli pójdziecie wzdłuż rzeki - pokazał na prawo - to najszybciej obejdziecie miasto.

- Dziękuję panu - burknął Roger. - Bardzo nam pan pomógł.

Pen Spruce obdarzył go życzliwym spojrzeniem małych oczek.

- Macie szczęście, że wyprzedziliście falę uciekinierów. Jak zaczną nadjeżdżać jeden po drugim nie będziemy mieli czasu się z nimi bawić.

- Jest pan bardzo pewny siebie - zauważył John. - Ale to nie pójdzie tak łatwo, jak pan myśli.

- Kiedyś czytałem, jak Saksonowie żartowali ze sobą wesoło przed bitwą pod Heatings - powiedział pen Spruce. - To było wtedy, kiedy właśnie mieli za sobą jedną wielką bitwę i przygotowywali się do następnej.

- Przegrali ją - przypomniał John. - Normanowie wygrali.

- Być może, ale zdobycie tego kraju zebrało im kilkaset lat. Życzę

szczęście.

John popatrzył na samochody ogołocone już z żywności 1 broni i na Wille'go, chudego chłopaka z czujnym wyrazem twarzy, który kończył spuszczenie benzyny z beków.

- Życzę panu tego samego - powiedział.

- Najważniejsze - skonstatował John - to się stąd wydostać. Potem możemy się zastanowić, jak najlepiej wybrnąć z tej sytuacji. Jeśli chodzi o nasze rzeczy, to proponuję wziąć na razie trzy małe walizki. Plecaki byłyby lepsze, ale ich nie mamy. Nie zawracałbym sobie głowy kocami, Ne szczęście jest lato. Jak cię ochłodzi, będziemy musieli ogrzewać się nawzajem.

- Jednak wezmę swój koc - oznajmił Pirrie.

- Nie radzę panu.

Pirrie uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

Ludzie z Masham, zamknąwszy bagażniki, wycofali się w ciemność na poboczu drogi i stamtąd przyglądali się im obojętnie. Dzieci rozespane i ledwo trzymające się na nogach, również przyglądały się, jak dorośli wybierali z tego, co im pozostawiono, najniezbędniejsze rzeczy, John zdał sobie sprawę, że przestał już zaliczać Mary do dzieci - Mary pomagała Ann.

W końcu ruszyli. Oglądając się John zobaczył, że ludzie z Masham przewracają puste samochody, żeby podeprzeć wcześniej postawioną barierę. Zastanowił się, co będzie, kiedy samochody naprawdę zaczną się tu tłoczyć - pewnie strażnicy będą spychaj do rzeki.

Wspinali się na wzniesienie, dopóki nie znaleźli się na nagim polu, skąd mogli widzieć oświetlone księżycem dachy miasteczka, leżącego pomiędzy nimi a wrzosowiskiem. Noc była bardzo cicha.

- Odpoczniemy tu przez chwilę - zadecydował John. - Możemy się zastanowić, co dalej.

Pirrie zrzucił na ziemię zrolowany koc; najpierw niósł go niewygodnie pod pachą, a potem wybrał lepsze rozwiązanie i zarzucił go na ramię.

- W takim razie mogę skorzystać z mojego koca — stwierdził Roger i burknął: - Zastanawiam się, jak długo potrwa, zanim pan zrozumie, że dźwiga pan niepotrzebny ciężar.

Pirrie zajęty był rozplątywaniem sznurka, którym koc był okręcony; sznurek powiązany był w, szereg skomplikowanych węzłów.

- Ci ludzie tam w dole ... - mruknął - z pozoru niezwykle sprawni, ale podejrzewam, że tylko powierzchownie. Nie dbają o szczegóły i to ich zgubi. Ten człowiek, który przeszukiwał mój samochód, pewnie nawet nie miał noża. Jeżeli się mylę, to jego niedbalstwo jest niewybaczalne.

Roger spytał z ciekawością; - Co pan tam ma?

Pirrie podniósł wzrok i zamrugał, jakby go poraziło słabe światło

gwiazd. - Kiedy byłem znacznie młodszy - powiedział - podróżowałem po Środkowym Wschodzie - Jordania, Irak, Arabia Saudyjska . Szukałem złóż minerałów - muszę dodać, że bez większego powodzenia. Tam nauczyłem się tego triku z zawijaniem strzelby w koc. Arabowie kradną wszystko, ale najchętniej broń.

Skończył rozplątywać sznurek i spomiędzy koców wydobył swój sportowy karabin; celownik teleskopowy wciąż był na nim zamocowany.

Roger nagle wybuchnął głośnym śmiechem. - No, niech mnie diabli jeszcze nie jest tak źle. Stary dobry Pirrie.

Pirrie wyciągnął jeszcze małe pudełko. - Niestety mamy tylko kilka tuzinów naboi, ale zawsze to lepsze niż nic.

- Ja myślę! - potwierdził Roger, - Jeśli nie znajdziemy farmy z samochodem i benzyną, to powiem, że zmarnował Teraz, kiedy mamy broń, to co innego.

John przerwał mu; - Nie. Żadnych więcej samochodów,

Na chwilę zapadło milczenie. Potem Roger zapytał:

- Chyba nie zaczynasz mieć skrupułów, Johnny? Bo jeśli tak to najlepszy użytek. Jaki możesz zrobić ze strzelby Pirrie’go - to wziąć ją i strzelić sobie w łeb. Nie podoba mi się sposób, w Jaki nas potraktowały te sukinsyny tam na dole, ale muszę powiedzieć, że mieli dobry pomysł. Teraz liczy się siła. Każdy, kto tego nie zrozumie, ma tyle szans, co królik w klatce z łasicami.

Jeszcze tego ranka, pomyślał John, skrupuły mogły mieć wpływ na jego postępowanie; teraz znikły, a razem z nimi zniknie niepewność i niechęć do zamazania innych, żeby podporządkowywali się Jego decyzjom. Powiedział z naciskiem:

- Nie będziemy szukać Innego samochodu, bo samochody są teraz zbyt niebezpieczne. Tam na dole mieliśmy szczęście. Mogli równie dobrze najpierw nas powystrzelać, a dopiero potem obrabować samochody. W końcu kiedyś będą zmuszeni tek postępować. Próbując dostać się do doliny samochodem sami napraszalibyśmy się o coś takiego. Samochód zawsze jest potencjalną pułapką.

- Rozsądnie - mruknął Pirrie. - Bardzo rozsądnie.

- Osiemdziesiąt mil z okładem na piechotę? - protestował Roger.

- Chyba się nie spodziewasz, że znajdziemy konie?

John popatrzył na pole, na którym stali, z rzadka porośnięte chwastami; dawniej mogło to być pastwisko.

- Nie. Będziemy musieli iść pieszo. To oznacza prawdopodobnie trzy dni drogi zamiast kilku godzin. Ale jeżeli będziemy się posuwać powoli, mamy szanse, że nem się uda. W przeciwnym wypadku szanse są przeciwko nam.

Roger oświadczył: - Jestem za tym, żeby zdobyć jakiś samochód i zaryzykować. Całkiem możliwe, że nie napotkamy na żadne

przeszkody; niewiele miast zorganizuje się tak szybko, jak Masham - niewiele miast w ogóle będzie miało dość rozsądku, żeby się zorganizować. Jeśli będziemy wlec się z dzieciakami przez pół kraju, z pewnością wpakujemy się w kłopoty.

- A jednak tak właśnie zrobimy - oświadczył John.

- A co pan myśli, panie Pirrie? - zapytał Roger.

- Nieważne, co on myśli - uciął John. - Powiedziałem już, co zrobimy.

- On ma broń - ostrzegł Roger, kiwnięciem głowy wskazując czujną, milczącą sylwetkę Pirrie'go.

- To znaczy, że może przejąć dowodzenie, jeśli pragnie władzy- odparł John. - Ale dopóki tego nie zrobi, ja decyduję o wszystkim.

- Popatrzył na Pirrie'go. - A więc?

- Dobrze powiedziane - stwierdził Pirrie, - Czy pozwoli mi pan zatrzymać karabin? Zaznaczam, że mam najwięcej doświadczenia w posługiwaniu się bronią, i wydaje mi się, że nie są to próżne przechwałki, Jeśli zaś chodzi o ambicje wodzowskie, nie sądzę, żebym miał je w sobie rozwinąć. Oczywiście będzie pan musiał przyjąć na słowo.

- Oczywiście zatrzymuje pan karabin - odparł John,

- Zetem koniec z demokracją - zauważył Roger, - Powinienem to wcześniej zrozumieć. Dokąd teraz pójdziemy?

- Zostaniemy tu do rena - oznajmił John.- Po pierwsze wszyscy potrzebujemy snu, a po drugie nie ma sensu błądzić w ciemnościach nieznanej okolicy. Wszyscy po kolei stoją na warcie przez godzinie. Ja stanę pierwszy; potem ty, Roger, Pirrie, Millicent, Olivia - zawahał się - i Ann. Sześć godzin to najwięcej, na co możemy sobie pozwolić. Potem rozejrzymy się i poszukamy czegoś na śniadanie.

Noc była ciepła i prawie bezwietrzna.

- Jeszcze raz - powiedział Roger - dzięki Bogu, że to lato. - Zawołał do trzech chłopców: - Chodźcie tu, łobuziaki. Możecie przytulić się do mnie, będzie mi cieplej.

Pole dochodziło niemal do szczytu pagórka, John wspiął się nieco wyżej i spoglądał ponad grupką leżących postaci na wrzosowiska rozciągające się daleko w kierunku zachodnim. Księżyc miał zaraz wzejść; jego blask zaczął już współzawodniczyć ze światłem gwiazd.

Pytanie, czy pogoda się utrzyma, stało się teraz dla nich bardzo istotne. Jak łatwo przyjdzie nam, pomyślał, modlić się do bogów wrzosowisk lub nawet składać im ofiary w nadziei, że odwrócą swój gniew. Zerknął na trzech chłopców skulonych między Rogerem a Olivią. Dojdą do tego, oni albo ich dzieci.

A myśląc tak poczuł ogromne znużenie ducha, jakby jego dawne, cywilizowane "ja" nawoływało go z przeszłości i żądało od niego rachunku sumienia. Czy warto było walczyć o zachowanie życia, jeśli

musiało ono spaść poniżej pewnego poziomu? Przez całe życie opierali się na moralności, które istniała od tysiąca lat, i oto w ciągu jednego dnia moralność ta została zniszczona, a oni zawiśli w próżni.

Czy wielu będzie takich, którzy pozostaną sprawiedliwi, którzy wciąż mówić będą językiem miłości, kiedy zaciąży na nich cień wieży Babel? Jeśli będą tacy, pomyślał, będą musieli umrzeć, a z nimi ich dzieci - jak umierali duchowi przodkowie dawno, dawno temu, na arenach Rzymu, Przez chwilę myślał, że chciałby mieć wiarę dość wielką, żeby tak umrzeć, ale potem spojrzał ponownie na małą grupkę uśpionych ludzi, której był przywódcą, i zrozumiał, że ich życie znaczy dla niego o wiele więcej, niż mogłaby znaczyć ich śmierć.

Wstał i cicho podszedł do Ann, która leżała z Kary w ramionach. Mary spała, ale w blasku wschodzącego księżyca zobaczył, że oczy Ann są otwarte.

Zawołał cicho: - Ann!

Nie odpowiedziała. Nawet nie podniosła wzroku. Po chwili John zawrócił i zajął poprzednie stanowisko.

Byli więc tacy, którzy woleli raczej umrzeć, niż się poddać. John był tego pewien i ta pewność podniosła go na duchu.

ROZDZIAŁ 8

Podczas swojej warty Millicent zobaczyła daleko na południu dwa lub trzy błyski, i w długi czas potem usłyszała odległy grzmot. Mogły to być wybuchy bomb atomowych. Ale pytanie wydawało się bez sensu. Było mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek mieli poznać pełną histerię tego, co wydarzyło się w gęsto zaludnionych regionach kraju; w każdym razie to już ich nie interesowało.

Rozpoczęli swój marsz w jasny poranek, chłodny, lecz zawierający w sobie obietnicę ciepła. John ustalił trasę; mieli przeciąć północną część Masham Moor i dojść do Coverdale, stamtąd na północ do Wensleydele i przełęczy w górach Westmorlandu. Niedaleko od miejsca, gdzie spali, znaleźli dom farmera i Roger chciał napaść na niego w celu zdobycie żywności. John odrzucił ten pomysł uzasadniając, że byli wciąż zbyt blisko Mashem. Nie wiadomo, było, jak odległe okolice mieszkańcy Masham zamierzają objąć swoją ochroną .Odgłos wystrzałów mógłby łatwo przyciągnąć tu z miasta grupę obrońców.

Wobec tego trzymali się z dala od zamieszkałych miejsc, wędrując przez opustoszałe pola i kryjąc się pod osłoną żywopłotów kamiennych nurków, które wyznaczały granice pól. Około wpół do siódmej przeszli przez główna drogę na północ Masham; słońce zaczęło już przygrzewać. Chłopcy przeżywali pełnię szczęścia i dorośli musieli ich powstrzymywać, żeby nie uganiali się niepotrzebnie dookoła. Wszyscy czuli się jak na pikniku, z wyjątkiem Ann, która pozostała milcząca,

zamkniętą w sobie i nieszczęśliwa.

Millicent poruszyła ten temat idąc obok Johna przez pas świętο skopanej, kamienistej ziemi.

- Ann nie powinna tak sobie tego brać do serca, Johnny - powiedziała. - Takie rzeczy zdarzają się codziennie.

John popatrzył na nią. Wyróżniającą cechą Millicent była staranność w ubiorze, i nawet teraz wyglądała tak, jak gdyby tylko szła na zwykłą przechadzkę. Pirrie, ze strzelbą pod pachą, szedł jakieś piętnaście jardów przed nimi.

- Myślę, że bardziej, niż to, co się stało, martwi ja to, co zrobiła potem - wyznał John.

- To właśnie miałam na myśli mówiąc, że takie rzeczy codziennie się zdarzają - odparła Millicent. Spojrzała na Johna z nieukrywanym podziwem. - Podobało mi się, jak sobie poradziłeś wczoraj w nocy. Wie pan - spokojnie, ale stanowczo. Lubię mężczyzn , którzy wiedzą, czego chcą i potrafią to zdobyć.

Sądząc z twarzy, pomyślał John, jakby była młodsza od Pirrie,go nie o dwadzieścia lat, ale o wiele więcej. Poza tym była szczupła i zgrabna. Pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się do niego.

W tym uśmiechu John odczytał coś, co go zaszokowało.

Powiedział szybko; - Ktoś musi podejmować decyzje.

- Z początku nie myślałem, że jesteś do tego odpowiednim człowiekiem. Ale potem, zeszłej nocy, przekonałam się, że nie miałam racji.

To nie sama jej zmysłowość go zaszokowała, uznał, ale okoliczności, w jakich się ujawniła. Był pewien, że musiała Pirrie’mu od czasu do czasu przyprawiać rogi, ale to się działo w Londynie, tym ogromnym, huczącym ludzkim ulu, gdzie jedne przygoda więcej nie miała wielkiego znaczenia. Tutaj jednak, gdzie każda zmiana łączących ich stosunków rzucałaby się w oczy niczym ogołocone z trawy pasy ziemi na wrzosowiskach-to miało wielkie znaczenie. Może jeszcze zapanować moralność, według której przywódca grupy będzie wybierał sobie kobiety, jakich zapragnie. Ale dawne zwyczaje - mruganie, trącanie się łokciami, delikatne aluzje - odeszły bezpowrotnie, podobnie jak zwyczaj urządzania konferencji handlowych czy spędzania wieczorów w teatrze; umarły i nic nie mogło ich wskrzesić. Fakt, iż zaszokowało go, że Millicent nie jest w stanie tego zrozumieć, wskazywał, jak głęboko w nim samym tkwiło to zrozumienie i jak silnie uwarunkowało ono jego zachowanie.

Szorstkim tonem powiedział: - Idź i weź walizkę od Olivii.

Już dosyć długo ją niosła.

Millicent lekko uniosła brwi. - Jak sobie życzysz, Wielki Szefie. Zrobię wszystko, co każesz,

Ha skraju Witton Moor znaleźli to, czego John szukał - małą farmę,

samotną i oddaloną od innych. Stała na niewielkim wzniesieniu, otoczona przez pola ziemniaków. Z komina unosił się dym.

Przez chwilę to go zdziwiło, dopóki nie uzmysłowił sobie, że w takim odludnym miejscu prawdopodobnie nawet w lecie trzeba palić w piecu, żeby ugotować posiłek. Przekazał Pirrie'mu swoje instrukcje. Pirrie kiwnął głową i potarł nos trzema palcami prawej ręki. John przypomniał sobie wtedy, że Pirrie zrobił teki sam gest, zanim wyruszył za bandą, która porwała Ann i Mary,

John i Roger podeszli do drzwi domu. Nie próbowali się ukrywać, zbliżali się niedbałym krokiem, jakby powodowani zwykłą ciekawością. John zauważył, że w jednym z frontowych okien drgnęła zasłona, ale poza tym nic nie zaradzało, że są obserwowani. Stary pies wygrzewał się w słońcu pod ścianą domu. Pod nogami zgrzytały kamyki, swojski, przyjazny dźwięk.

Na drzwiach wisiała kołatka w kształcie głowy barana. John podniósł ją i opuścił ciężko; zadźwięczała głucho uderzając o metalową podpórkę. Kiedy zza drzwi usłyszeli odgłos zbliżających się kroków, przesunęli się trochę w prawo.

Drzwi otwarły się gwałtownie. Człowiek znajdujący się w środku musiał wyjść aż na próg domu, żeby ich zobaczyć. Był to potężny mężczyzna z małymi, zimnymi oczkami w twarzy zaczerwienionej od wiatru. John z satysfakcją zobaczył, że mężczyzna trzyma dubeltówkę.

- No, czego chcecie? - zapytał. - Jeśli szukacie Jedzenia, to nie mamy nic na sprzedaż.

Wciąż stał za daleko w głębi domu.

John odpowiedział: - Dziękujemy, na razie nie brak nam Jedzenia. Mamy coś, co mogłoby pana zainteresować.

- Zatrzymajcie to dla siebie - odparł mężczyzna. - Zatrzymajcie to i zmywajcie się stąd.

- W takim razie ... - zaczął John.

Skoczył do przodu i przycisnął się do ściany po prawej stronie, zasłonięty skrzydłem drzwi przed wzrokiem farmera. Mężczyzna zagregował błyskawicznie. - Jeśli chcecie strzelaniny ... - mówiąc to postąpił do przodu z wycelowaną strzelbą trzymając palec na spuście.

Rozległ się odległy trzask; i w tej samej chwili masywne ciało mężczyzny szarpnęło się w tył, jakby pociągnięte niewidzialnym sznurkiem, i runęło na ziemię. Padając nacisnął spust. Strzelba wypaliła z hukiem, który odbił się od ścian domu. Echo zdawało się rozsadzać ciszę. Stary pies poderwał się i zaszczekał z wysiłkiem, wznosząc pysk ku niebu. Gdzieś w głębi domu rozległ się krzyk i znów zapadłe cisze.

John wyciągnął strzelbę spod ciała, które przygniotło je padając. Jedne lufa była jeszcze załadowana. Kiwnął na Rogera, przestąpił przez ciało martwego czy też umierającego mężczyzny i wszedł do domu.

Drzwi prowadziły wprost do wielkiego salonu. Było tu jaśniej i wzrok Johna powędrował najpierw do zamkniętych drzwi na drugim końcu pokoju, a potem przesunął się po schodach w rogu. Schody były puste. Upłynęło parę sekund, zanim dostrzegł kobietę stojącą w cieniu przy schodach.

Byłe dość wysoka, ale w przeciwieństwie do farmera szczupła i wątła. Patrzyła prosto na nich i również trzymała dubeltówkę.

Roger zobaczył ją w tej samej chwili. Krzyknął:

- Uważaj, Johnny!

Jej ręka drgnęła i przesunęła się wzdłuż broni, ale jednocześnie poruszyła się też ręka Johna, Huk wystrzału w zamkniętym pomieszczeniu był jeszcze bardziej ogłuszający. Przez chwilę kobieta stała wyprostowana, a potem osunęła się na podłogę czepiając się poręczy schodów po lewej stronie. Kiedy dotknęła podłogi, zaczęła wrzeszczeć i wrzeszczała bez ustanku cienkim, zdławionym głosem.

Roger wyszeptał: - O mój Boże!

John zawołał: - Nie stój tam! Rusz się! Weź tę drugą strzelbę i przeszukajmy dom. Dwa razy mieliśmy szczęście, ale za trzecim razem może nam się nie udać.

Patrzył, jak Roger ociągając się wyjmuje strzelbę z rąk kobiety; nie zwróciła na to uwagi, tylko wrzeszczała dalej.

Roger powiedział: - Jej twarz ...

- Sprawdź parter - przerwał mu John. - Ja pójdę na górę.

Szybko przeszukał piętro, otwierając sobie drzwi kopniakami.

Prawie już skończył, kiedy zdał sobie sprawę, że o czymś zapomniał - że zużył drugi nabój i dopóki nie załaduje ponownie strzelby, jest właściwie bezbronni. Pozostały jeszcze jedne drzwi. Zawahał się, a potem kopnięciem otworzył je również.

To była mała sypialnie. Na łóżku siedziała kilkunastoletnie dziewczyna. Wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem.

- Zostań tu - rozkazał jej. - Rozumiesz? Nic ci się nie stenie, jeśli tu zostaniesz.

- Ale strzały ... - odezwała się. - Mama i tata - co to było? Czy nic im się ...

John powiedział chłodno: - Nie wychodź z pokoju.

W zamku tkwił klucz. Wyszedł, zamknął drzwi ze sobą i przekręcił klucz. Kobieta na dole wciąż wrzeszczała, ale już nie tak przeraźliwie, jak przedtem. Roger stał nad nią ze spuszczoną głową.

John zapytał: - No i co?

Roger powoli podniósł głowę. - W porządku. Tu na dole nie ma nikogo, - Ponownie spojrzał na kobietę, - Śniadanie się gotuje na kuchni.

Przez otwarte drzwi wszedł Pirrie. Zobaczył, co się dzieje, i opuścił karabin.

- Misje wypełniona - stwierdził. - One też miała broń? Czy jest tego więcej w tym domu?

- Broni czy ludzi? - zapytał John, - Nie znalazłem żadnej innej broni poza tą, a ty Rodge?

Wciąż patrząc na kobietę Roger odparł krótko: - Nie.

- Na górze jest dziewczyna - dodał John. - Córka. Zamknęła ją na klucz.

- A one? - Pirrie wskazał czubkiem buta na kobietę, która teraz jęczała głębokim głosem.

Dostała z blizka...cały ładunek poszedł głównie w twarz - wyjaśnił Roger. - Z odległości paru jardów.

- W takim razie ... - Pirrie nie kończąc zdania stuknął w kolbę karabinu i spojrzał na Johna. - Zgadza się pan?

Roger popatrzył na nich, John skinął głową. Pirrre podszedł swoim zwykłym, starannie odmierzonym krokiem do leżącej kobiety. Celując z karabinu powiedział : – Rewolwer jest do tych rzeczy. Wygodniejszy. - Karabin wypalił i kobieta przestała jęczeć. - Poza tym wolałbym nie zużywać niepotrzebnie naboi. Mało prawdopodobne, że będziemy mogli uzupełnić zapas. W tych stronach używa się raczej strzelb śrutowych.

- Zrobiliśmy niezły interes - zauważył John, - Dwie dubeltowki i pewnie amunicja za dwa naboje.

Pirrie uśmiechnął się. - Wybaczy mi pan, ale nadal uważam, dwa naboje warte są pół tuzina dubeltówek. Ale mimo wszystko nie jest tak źle. Zawołamy resztę?

- Dobrze - zgodził się John. - Chyba już możne.

Roger zapytał napiętym głosem: - Nie lepiej by było usunąć najpierw te ciała, zanim dzieci je zobaczą?

- Może i lepiej - przyznał John, Przestąpił przez zwłoki. Zwykle pod schodami jest schowek. No właśnie, tak myślałem. Tutaj.

Chwileczkę, tu są naboje do strzelb. Zabierzemy je najpierw. - obejrzał ciemne zakamarki schowka. - Chyba nie ma tu nic więcej, możecie już ją włożyć.

Wymagało to ich połączonych sił, żeby przenieść spod drzwi martwego farmera i wepchnąć również jego ciało do schowka pod schodami. Potem John wyszedł przed dom i pomachał ręką. Dzień był piękny i powietrze wydawało się czystsze, niż kiedykolwiek, odkąd zwiał się gryzący zapach prochu. Stary pies z powrotem ułożył na swoim miejscu; John zobaczył teraz, że pies był naprawdę bardzo stary i przypuszczalnie ślepy. Po cóż miałby żyć strażnik, jeśli nie ma już czego pilnować? Jego życie straciło sens, podetnie jak życie ślepych milionów, które wkrótce ruszą za nimi. pozwolił, żeby strzelba opadłe. W każdym razie nie warto było wrzucić naboju.

Kobiety wdrapały się na wzgórze prowadząc dzieci. Nastrój pikniku

rozwiał się; chłopcy szli milczeniu, nie odzywając się ani słowem. Davey podszedł blisko do ojca i zapytał cicho:

- Co to była za strzelanina, tato?

John spojrzał prosto w oczy swego syna. - Musimy teraz o wszystko walczyć - powiedział. - Musimy walczyć o życie. Będziesz musiał się tego nauczyć.

- Zabiliście ich?

- Tak.

- A gdzie są ciała?

- Schowaliśmy je. Wejdź do środka. Zjemy śniadanie.

Na drzwiach widać było plamy krwi, a druga plama ciemniała w miejscu gdzie leżała kobieta, Davey popatrzył na nie , ale nic nie powiedział.

Kiedy wszyscy zgromadzili się w salonie, John oznajmił:

- Nie powinniśmy tu długo zostać. Kobiety mogą zająć się śniadaniem. W kuchni są jajka i połeć bekonu. Pospieszcie się. Roger, Pirrie i ja wybierzemy to, co chcemy wziąć ze sobą.

Spooks zapytał: - Możemy wam pomóc?

- Nie. Wy, chłopcy, zostańcie tu i odpocznijcie. Mamy przed sobą długi dzień.

Olivia, tek jak poprzednio Davey, wpatrywała się w ślady krwi na podłodze.

- Czy było ich tylko - dwoje? - zapytała.

John odparł krótko: - Na górze jest dziewczyna, córka. Zamknąłem ją na klucz.

Olivia zrobiła ruch, jakby chciała wejść na schody. - Musi być przerażone!

Spojrzenie Johna osadziło ją na miejscu. - Powiedziałem już - nie możemy tracić czasu na próżno. Bierzemy to czego nam trzeba, Wszystko inne jest nieważne, Olivia zawahała się przez chwilę, i w końcu skierowała się do kuchni. Millicent ruszyła ze nią, Ann, stojąca z Mery koło drzwi, powiedziała:

- Ewie wystarczą. My zostaniemy na dworze. Nie podoba mi się ten zapach tutaj.

John kiwnął głową. - Jak sobie życzysz. Możecie również jeść na zewnątrz, jeśli chcesz.

Ann nie odpowiedziała, ale zaprowadziła Mary z powrotem na słońce. Spooks po krótkim wahaniu podążył za nimi, Dwaj pozostali chłopcy usiedli na staromodnej sofie pod oknem. Naprzeciwko nich ne ścianie wisiał tykający rytmicznie zegar. Jego przednia ścianka byłe ze szkła i widać było przez nią poruszające się tryby. Chłopcy siedzieli i wpatrywali się w niego, rozmawiając ze sobą szeptem.

Do czasu, kiedy jedzenie było gotowe, mężczyźni zabrali wszystko, czego potrzebowali. Znaleźli dwa duże plecaki i jeden mniejszy i

załadowali do nich połcie szynki, wieprzowiny i solonej wołowiny, a także trochę chleba domowego wypieku. Naboje do dubeltówek włożyli na wierzch. Znaleźli również starą wojskową manierkę. Roger zaproponował, żeby napełnić więcej butelek wodą, tle John sprzeciwił się temu. Mieli iść przez okolicę wystarczająco obfitującą w wodę, a plecaki były dość ciężkie i bez tego.

Kiedy skończyli posiłek, Olivia zaczęła zbierać talerze. Dopiero kiedy Millicent parsknęła śmiechem, John zorientował się, co się dzieje. Olivia lekko speszona postawiła talerze z powrotem: na stole.

John oświadczył: - Żadnego zmywania. Ruszamy natychmiast.

To odludne miejsce, ale każdy dom stanowi potencjalną pułapkę.

Mężczyźni zaczęli zbierać broń i plecaki.

Olivia zapytała: - A co z dziewczyną?

John zmarszczył brwi. - O co ci chodzi?

- Nie możemy jej tak zostawić.

- Jeśli to cię martwi - powiedział John - możesz iść na górę tworzyć drzwi. Powiedz jej, że może wyjść, kiedy zechce. Teraz

To już nie ma znaczenie,

- Ale nie możemy jej zostawić w tym domu! Z nimi — pokazała schowek pod schodami.

- W takim razie co proponujesz?

- Moglibyśmy ją wziąć ze sobą.

John zawołał: - Olivie, nie bądź głupia! Wiesz, że nie możemy.

Olivia spojrzała na niego. Na jej pulchnej, nieśmiałej twarzy John ujrzał wyraz zdecydowania. Przyglądając się jej i Rogerowi doszedł do wniosku, że kryzys mógłby doprowadzić do nieoczekiwanych rezultatów.

Olivie oświadczyła: - W takim razie zostanę tu z nią.

- A Roger? - zapytał John, - A Steve?

Roger powiedział powoli: - Jeżeli Olivia chce zostać, zostaniemy razem z nią. Nie potrzebujecie nas, prawda?

- A kiedy przyjdą następni goście - zapytał John - kto otworzy te drzwi? Ty czy Olivia - a może Steve?

Zapadło milczenie. Zegar tykał cicho odmierzając sekundy. W końcu odezwał się Roger: - Dlaczego nie możemy zabrać tej dziewczyny, jeśli Olivia tego chce? Zabraliśmy przecież Spooksa. Z jej strony z pewności nic nam nie grozi.

Zniecierpliwiony, John powiedział ze złością: Dlaczego myślisz, że będzie chciała z nami pójść? Dopiero co zabiliśmy jej rodziców.

- Sądzę, że pójdzie - stwierdziła Olivia.

- Jak długo macie zamiar ją przekonywać? Dwa tygodnie?

Roger i Olivia wymienili szybkie spojrzenia, Roger zabrał głos :

- Wy ruszajcie. Spróbujemy później was dogonić - z nią, jeśli będzie chciała iść.

- Zdumiewasz mnie Rodge, - zwrócił się do niego John, - Czy naprawdę muszę ci tłumaczyć, że rozdzielanie naszych sił właśnie teraz to największe bzdura, jaką możemy zrobić?

Ani Olivia, oni Roger nie odpowiedzieli na to ani słowem. Pirrie, Millicent i chłopcy obserwowali całą scenę w milczeniu.

John spojrzał na zegarek.

- Olivia, daję ci trzy minuty na rozmowę z tą dziewczyną.

Jeśli chce iść z nami, może iść. Ale nic będziemy tracić ani chwili dłużej na przekonanie jej - żadne z nas. W porządku? - Oli-via kiwnęła głową, - Pójdę z tobą.

Zaprowadził ją na górę, przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi. Dziewczyna wstała z łóżka - klęczała na podłodze, jakby się modliła. Podniosła na nich wzrok, John przepuścił Olivię do środka. Dziewczyna popatrzyła na nich kolejno z twarzą bez wyrazu.

Olivia powiedziała; - Uważamy, że powinnaś pójść z nami, moja droga. Idziemy do pewnego miejsca w górach. Nie byłoby dla ciebie bezpiecznie, gdybyś tu została.

Dziewczyna odezwała cię: - Moja matka ... słyszałam, jak krzyczała, e potem przestała.

- Nie żyje - oznajmiła Olivia. - Twój ojciec także. Nie masz po co tu zostawać.

- Zabiliście ich - stwierdziła dziewczyna. Spojrzała na Johna.

- On ich zabił.

- To prawda - przyznała Olivia. - Meli jedzenie, a my byliśmy głodni. Teraz ludzie walczą o jedzenie. My wygraliśmy, a oni przegrali, To jedna z tych rzeczy, na które nie można nic poradzić.

Mimo wszystko chcę, żebyś poszła z nami.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie, wciskając twarz w pościel. Zdławionym głosem wyjąkała:

- Zestawcie mnie. Idźcie i zostawcie mnie.

John spojrzał na Olivię i potrząsnął głową, Olivie podeszła i uklękła obok dziewczyny, obejmując ją ramieniem. Powiedziała łagodnie:

- Nie jesteśmy tacy źli. Próbujemy tylko uratować się i uratować nasze dzieci, i dlatego mężczyźni zabijają, jeśli muszą. Później mogą przyjść inni, o wiele gorsi - tacy, którzy będą zabijać dla przyjemności, i być może torturować.

Dziewczyna powtórzyła: - Zostawcie mnie.

- Wkrótce zjawi się tu tłum ludzi - przekonywała ją Olivier. - Będą nadciągać z różnych miast szukając jedzenia. Miejsce takie jak to będzie ich przyciągać jak muchy. Twoi rodzice i tak musieliby umrzeć w ciągu kilku następnych dni, a ty razem z nimi. Nie wierzysz mi?

- Odejdźcie - powtórzyła dziewczyna nie podnosząc głowy.

John odezwał się: - Mówiłem ci, że tak będzie. Nie możemy jej

zabrać wbrew jej woli. A gdybyś chciała tu z nią zostać, to sama

powiedziałaś, że to miejsce jest śmiertelną pułapką.

Olivia, jakby przekonana, podniosła się z klęczek. Jednak zamiast odejść chwyciła dziewczynę za ramiona i odwróciła ją twarzą do siebie. Miała silne ręce i użyła teraz tej siły zdecydowanie, choć bez brutalności.

- Słuchaj! - powiedziała z naciskiem. - Boisz się prawda? Prawda?

Jej spojrzenie jakby obezwładniło dziewczynę, która powoli skinęła głową.

- Czy wierzysz, że chcę ci pomóc? - zapytała Olivia.

Dziewczyna ponownie przytaknęła.

- Idziesz z nami - oświadczyła Olivia.- Pójdziemy przez równiny do pewnego miejsca w Westmorland, gdzie będziemy całkowicie, bezpieczni i gdzie nie będzie juz więcej zabijania ani brutalności.- Zwykła rezerwa Olivii całkowicie zniknęła; nie przekonywała dziewczyny, ale prawie na nią krzyczała. - A ty idziesz z nami. Zabiliśmy twojego ojca i matkę, ale jeśli cię uratujemy, to może choć w części będziemy to mogli odkupić. Oni by nie chcieli,

żebyś umarła w ten sposób.

Dziewczyna wpatrywała się w nią bez słowa.

- John - powiedziała po chwili Olivia - zaczekaj na zewnątrz. Pomogę jej się ubrać. To nam zajmie tylko parę minut.

John wzruszył ramonami. - Zejdę na dół i sprawdzę, czy wszystko gotowe. Parę minut, pamiętaj.

- Zejdziemy za chwilę - zapewniła go Olivia.

W salonie Roger kręcił gałkami radia stojącego na kredensie.

Podniósł wzrok, kiedy John zszedł ze schodów.

- Nic więc z tego - oznajmił. - Próbowałem złapać Północ, Szkocję, Środkową Anglię, Londyn - wszędzie cisza.

- A Irlandia? - zepytał John.

- Nic nie słychać. I tak wątpię, czy stąd moglibyśmy coś złapać.

- Może radio nie działa.

- Znalazłem jedną stację. Nie wiem, co to był za język - przypominał jakiś środkowoeuropejski. Brzmiał dość rozpaczliwie.

- A na krótkich?

- Nie próbowałem.

- Ja spróbuję. - Roger odsunął się, a John przełączył radio na fale ultrakrótkie i zaczął kręcić gałką strojenia, powoli i ostrożnie. Sprawdził tak prawie trzy czwarte skali, bez rezultatu potem nagle złapał jakiś głos, zniekształcony przez trzaski i zakłócenia, ale mówiący po angielsku. Zwiększył głośność do maksimum i wyregulował dźwięk najlepiej, jak mógł,

fragmenty, ale wszystko wskazuje na to, że Europa Zachodnia przestała istnieć jako część cywilizowanego świata.

Akcent był amerykański, John powiedział cicho:

- A więc ta piękna flaga wciąż jeszcze powiewa.

“Od wczoraj” - ciągnął głos - “w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie lądują wielkie ilości samolotów. Zgodnie z zarządzeniem Prezydenta znajdującym się w nich ludziom udziela się azylu.

Wśród tych, którzy wylądowali bezpiecznie, znajduje się prezydent Francji i większość członków francuskiego rządu, o także rodziny królewskie Danii i Belgii, Z Halifax w Nowej Szkocji doniesiono, że rodzina królewska i członkowie rządu Wielkiej Brytanii dotarli tam bezpiecznie. Zgodnie z tym samym doniesieniem ostatni premier rządu Jej Królewskiej Ilości, Raymond Welling, oświadczył, że gwałtowne załamanie, jakiemu uległ ten kraj, w znacznej części spowodowane było rozpowszechnieniem się pogłosek, jakoby główne skupiska ludności miały zostać zniszczone przez bomby atomowe, co stanowić miało środek ocalenia dla reszty kraju. Welling zaklina się, że pogłoski te były całkowicie bezpodstawne, mimo to jednak wywołały panikę. Na wiadomość, że Komisja da, Energii Atomowej złożyła report powiadamiający o eksplozjach atomowych, które miały miejsce w Europie w ciągu ostatnich kilku godzin, Welling zareagował oświadczając, że nie może za nic ręczyć, ale uważa za możliwe, iż pojedyncze elementy w Siłach Powietrznych mogły użyć tak desperackich środków w nadziei odzyskania kontroli nad sytuacją,”

Roger mruknął: - Więc w końcu wymknęło mu się to z rąk, a wtedy rzucił wszystko i zwiał,

- Jedna z nierozwiązywalnych tajemnic - dorzucił John.

Głos mówił dalej: - “O dwudziestej pierwszej miejscowego czasu Waszyngton wydał następujące oświadczenie, podpisane przez prezydenta:

“Należy oczekiwać, iż pogrążenie się w barbarzyństwie Europy, tej kolebki całej zachodniej cywilizacji, wywoła żałobę w naszym kraju. To, co się dzieje po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego, jest wstrząsające i godne najwyższego po żałowanie. Jednocześnie jednak należy podkreślić, że nie istnieje niebezpieczeństwo, aby podobna katastrofa miała się wydarzyć w naszyć kraju. Posiadany ogromne zapasy żywności i dno że przydziały żywności w najbliższych miesiącach zostaną prawdopodobnie zredukowane, zaopatrzenie będzie wystarczające dla wszystkich. Z czasem pokonamy wirusa Chung - Li i wyruszymy, aby odbudować ten świat taki, jaki znaliśmy dawniej. Zanim ten dzień nadejdzie, najwyższym obowiązkiem narodu amerykańskiego jest zachować spuściznę naszych wielkich przodków nienaruszoną.”

- To rzeczywiście bardzo pocieszające - zauważył John z goryczą.

Odwracając się zobaczył, że Olivia schodzi ze schodów prowadząc za sobą dziewczynę. Teraz, kiedy się ubrała, zobaczył, że była dwa czy trzy lata starsza od Mary - wiejska dziewczyna, wyróżniająca się raczej

zdrowym wyglądem, niż urodą. Przeniosła wzrok z twarzy Johna na plamy krwi na podłodze i z powrotem, ale tym jej twarz pozostała nieruchoma.

Oliwia oznajmiła: - To jest Jane. Pójdzie z nami. Jesteśmy gotowi, Johnny.

- Dobrze. Wobec tego ruszamy.

Dziewczyna zwróciła się do Olivii. - Zanim pójdziemy, czy Mogłabym ich zobaczyć, tylko na chwilę?

Olivia wyglądała na zmieszaną, John przypomniał sobie widok dwóch ciał wepchniętych bezceremonialnie pod schody, na których teraz stałe dziewczyna.

Powiedział szorstkim tonem: - Nie. Ani im, ani tobie nic z tego nie przyjdzie, a poza tym nie mamy czasu.

Myślał, że zacznie protestować, ale kiedy Olivie przynagliła ją łagodnie, dziewczyna ruszyła przed siebie. Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem przestronny pokój i wyszła na zewnątrz.

- O.K. - powiedział John - w drogę.

- Jeszcze jeden drobiazg - powstrzymał go Pirrie. Głos w radio wciąż przemawiał, nasilając się i cichnąc w miarę, jak zakłócenia narastały bądź się zmniejszały. Omawiał teraz nowe przepisy zabraniające rabowania żywności. Pirrie podszedł do kredensu i jednym zamachem zmiótł radio na drewnianą podłogę. Upadło z brzękiem tłukącego się szkła. Pirrie kopnął je kilka razy celując starannie, aż skrzynka rozleciała się w kawałki obnażając zgruchotane wnętrze. Na koniec umieścił czubek buta na wierzchu niewielkiej kupki szkła i metalu i zgniótł ją na miazgę. Potem uważnie wydobył stopę spomiędzy zmiażdżonych resztek i wyszedł za innymi.

Ze względu na obecność dzieci ich podróż należało podzielić na krótkie, łatwe etapy. John zaplanował drogę na trzy dni; pierwszego dnia mieli dojść do końce Wensleydale, drugiego - przez wrzosowiska do najbardziej na północ wysuniętego punktu Sedbergh, a wreszcie trzeciego - do Ślepej Doliny. Nie mogli zbytnio oddalać się od głównych dróg, i John miał nadzieję, że przez większość czasu będzie można z nich korzystać. Mało prawdopodobne, myślał, żeby jeździły teraz jakieś samochody, Po tej pory większość miast w North Riding musiała już pójść ze przykładem Masham. Samochody znikną na długo, zanim dojdą do Dale.

Gdy schodzili w dół brzegiem lasu, kierując się na Coverham, Roger zagadnął go:

- Moglibyśmy zdobyć gdzieś rowery. Go o tym myślisz?

John potrząsnął głową, - W dalszym ciągu bylibyśmy narażeni na ataki. Poza tym trzeba by było znaleźć dziesięć rowerów na raz - w przeciwnym razie musielibyśmy albo wieźć dzieci na ramie, albo się rozdzielić,

- A do tego nie masz zamiaru dopuścić, prawda? - zapytał Roger.

John popatrzył na niego. - Nie. Nie mam zamiaru co tego dopuścić.

Roger powiedział: - Cieszę się, że Olivia zdołała przekonać tę dziewczynę, żeby z nami poszła. Przykro byłoby myśleć, że tam została.

- Stajesz się sentymentalny, Rodge.

- Nie sądzę. - Roger podrzutem ramion umieścił plecak wygodniej na ramionach. - To ty stajesz się coraz twardszy. Przypuszczam, że to dobrze,

- Tylko przypuszczasz?

- Nie. Masz rację, Johnny. To jest konieczne. Będziemy twardzi?

- Będziemy twardzi.

Domy, które mijali, były pozamykane na wszystkie spusty; jeśli nawet ludzie nadal w nich mieszkali, to żadne widoczne oznaki o tym nie świadczyły. Te okolice nigdy nie były gęsto zaludnione, ale teraz opustoszały niemal całkowicie; a kiedy zdarzało im się spotkać jakichś ludzi, żadna ze stron nie próbowała wymieniać pozdrowień. Najczęściej przypadkowo napotkani ludzie ustępowali z drogi przed niewielkim oddziałkiem i omijali go z daleka. Dwa razy jednakże natknęli się na bandy zbliżone liczebnością do ich własnej. Pierwsza składała się z pięciu dorosłych i dwojga małych dzieci niesionych na ręku. Dwie grupy wymieniły krótkie spojrzenia i podążyły każda swoją drogą.

Druga grupa była od nich liczniejsza - jakiś tuzin ludzi, wszyscy dorośli, a kilku uzbrojonych. To spotkanie miało miejsce południu, kilka mil na wschód od Aysgarth. Najwyraźniej ci ludzie przechodzili przez drogę kierując się na południe do Bischopdale. Przystanęli na środku drogi, obserwując uważnie nadejście Johna i pozostałych.

John zatrzymał swoją grupę w odległości około dwudziestu jardów od tamtych. Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu.

Potem jeden z mężczyzn zawołał:

- Skąd jesteście?

- Z Londynu - odpowiedział John.

Rozległy się wrogie szepty. Obcy przywódca oznajmił:

- W tych stronach i tak jest za mało żywności nawet dla miejscowych. Nie potrzebujemy tu londyńczyków, żeby nas objadali do czysta.

John nie odpowiedział, tylko zważył strzelbę w ręku, a Roger i Pirrie zrobili to samo. Milcząc przypatrywali się grupie obcych ludzi.

Wreszcie mężczyzna przerwał ciszę: - Dokąd idziecie?

- Przez wrzosowiska do Westmorland - odparł John.

- Nie znajdziecie tam więcej, niż tutaj. - Pożądliwie przyglądał się strzelbom. - Jeśli potraficie się obchodzić z tą bronią to możemy was zabrać ze sobą.

- Potrafimy się z nią obchodzić - odparł John. - Ale wolimy sami sobie radzić.

- W tych czasach im większa grupa, tym bezpieczniej. - John nie odpowiedział, - Bezpieczniej dla dzieciaków i w ogóle.

- Sami możemy się nimi zaopiekować.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Skinął na swoich ludzi, którzy zaczęli przechodzić przez drogę podejmując przerwaną wędrówkę. Ich przywódca ruszył ze nimi. Na skraju drogi przystanął i odwrócił się.

- Hej, proszę pana! - krzyknął, - Są jakieś nowiny?

Tym razem odpowiedział mu Roger. - Tylko to, że świat stał się uczciwy.

Twarz mężczyzny zmarszczyła się w uśmiechu. - Oj, to dobrze! To znaczy, że koniec świata jest już blisko!

Przyglądali się, dopóki grupa nie znikła im z oczu, a potem ruszyli dalej.

Przed Aysgarth skręcili na południe, natknąwszy się na barykadę; widok ten stał się już znajomy. W popołudniowym upale zatrzymali się na odpoczynek w miejscu, skąd miasto było jeszcze widoczne. Dolina, dawniej tak zielona, byłe teraz niemal całkowicie czarna, podczas gdy wzgórza ponad nią przybrały odcień brązu. Kamienne murki przecinały stoki wzgórz wyznaczając granice pól - granice, które przestały już mieć jakiekolwiek znaczenie. W pewnej chwili Johnowi wydało się, że na zboczu zobaczył owcę, i zerwał się na nogi, żeby się upewnić. Ale to był tylko biały głaz. Teraz owce nie mogłyby tu żyć. Wirus Chung-Li wykonał swoje zadanie z przerażającą dokładnością.

Mary siedziała obok Olivii i Jane. Chłopcy, chwilowo zbyt zmęczeni, żeby dokazywać, siedzieli razem i rozmawiali; jak John mógł wywnioskować ze strzępków rozmowy, które go dochodziły, dyskutowali o silnikach łodzi motorowych. Ann siedziała sama pod drzewem. Podszedł do niej i usiadł obok.

- Czujesz się już lepiej? - zapytał.

- Czuję się dobrze.

Wyglądała na zmęczoną i John zastanawiał się, ile godzin udało się jej przespać poprzedniej nocy. Zaczął mówić:

- Jeszcze tylko dwa dni, a potem ...

Podchwyciła jego słowa. - A potem wszystko będzie znowu dobrze i będziemy mogli zapomnieć o tym, co się stało, i rozpocząć nowe życie. Tak?

- Nie. Wcale tak nie myślę. Ale czy to o to chodzi? Najważniejsze, że będziemy mogli żyć normalnie i patrzeć, jak dzieci wyrastają na istoty ludzkie, a nie na dzikusów. Dla takiego celu warto się pomęczyć.

- Więc męczysz się, prawda? Wszystko na twojej głowie.

John powiedział łagodnie: - Do tej pory mieliśmy szczęście.

Może na to nie wygląda, ale to prawda. Mieliśmy szczęście, że wydostaliśmy się z Londynu i że dojechaliśmy tak daleko na północ, zanim wpadliśmy w poważne kłopoty. Ta okolice dlatego jest

wyludnione, że miejscowi wycofali się za swoje barykady obronne, a tłumy jeszcze nie nadeszły. Ale nadejdą. Jesteśmy może o dzień marszu przeć nimi, może mniej - a kiedy przyjdą ...

Spojrzał na spienione wody Ure. Słońce świeciło jasno, wszystko wyglądało zwyczajnie, dziwny był jedynie brak zieleni, do której przywykły oczy. W głębi duszy John nie mógł uwierzyć w pełne znaczenie swoich słów, a jednak wiedział, że były prawdziwe.

- W Ślepej Dolinie będziemy mogli żyć spokojnie — westchnęła Ann marząco.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby już tam być - dodał John.

- Jestem zmęczona. - powiedziała Ann. - Nie mam ochoty rozmawiać - o tym ani o czymkolwiek innym. Zostaw mnie , John.

John przypatrywał jej się przez chwilę; w końcu podniósł się odszedł. Kiedy się odwracał, zobaczył, że spod następnego drzedrzewa obserwuje go Millicent. Pochwyciła jego wzrok i uśmiechnęła się.

Dolina zawężała się w kierunku Haves, a jej zbocza stawały się coraz bardziej stronę; znikły przecinające je kamienne murki. Wydawało się, że Haves nie jest bronione, ale na wszelki wypadek mineli je, wspinając się na południowe stoki i brodząc przez liczne dopływy Ure, na szczęście płytkie o tej porze roku.

Na noc rozłożyli się obozem przy wejściu do Wąwozu Widdale, bezpieczni na skrawku gruntu chronionym z jednej strony przez rzekę, a z drugiej przez linię kolejową. Nieopodal znaleźli pole ziemniaków i wykopali sporą ich ilość. Olivia przyrządziła stek używając do tego solonego mięsa z ich zapasów. Jane pomagała jej, a Millicent asystowała temu bez większego zainteresowania.

Słońce zeszło już za Penniny, ale wciąż było dość jasno. John spojrzał na zegarek i zobaczył, że dopiero dochodziła ósma. oczywiście był to czas letni, a nie Greenwich. Uśmiechnął się myśląc o tych zabawnych, subtelnych rozróżnieniach.

Zrobili tego dnia kawał drogi, a chłopcy nie byli nawet specjalnie zmęczeni. W zwykłych okolicznościach poprowadziłby ich dalej, ale nierozsądnie by było zaczynać wspinaczkę na Mossdale przed nocą. Zamiast tego mogli następnego ranka wyruszyć wcześniej. Zadowolonym okiem przyglądał się przygotowaniom do kolacji. Pirrie stał na warcie za torami.

Chłopcy podeszli do niego zwartą grupką. Davey zebrał głos; mówił tonem pełnym szacunku, całkowicie różnym od jego dawnego sposobu rozmawiania jak równy z równym.

- Tato - zapytał-czy dziś w nocy możemy także stad na warcie? John przyjrzał im się po kolei: wyprostowanej postaci swego syna, wychudzonej Spooksa, krótkiej, prawie kwadratowej Steve’ a. Wciąż byli tylko uczniakami na wycieczce, może bardziej niezwykłej i podniecającej od innych.

Potrząsnął głową. - Bardzo dziękuję za propozycję, ale poradzimy sobie sami.

1/ stew - duszone mięso z cebulą i ziemiankami

Davey zaczął nalegać: - Ale my to przemyśleliśmy. Nie szkodzi że nie potrafimy dobrze strzelać, wystarczy przecież. Jeżeli będziemy pilnować i narobimy hałasu, kiedy kogoś zobaczymy. Możecie na nas polegać.

John przerwał mu: - Najlepszą rzeczą, jaką wszyscy troje możecie zrobić, to iść spać zaraz po kolacji. Postarajcie się zasnąć Jak najszybciej, Wstajemy wcześnie rano i czeka nas długa i trudne wspinaczka, Mówił zwykłym, lekkim tonem i w dawnych czasach Devey wykłócałby się z nim zawzięcie o każdy szczegół. Teraz popatrzył tylko z rezygnacją na pozostałą dwójkę i wszyscy razem odeszli nad brzeg rzeki.

Pirrie zszedł na dół i zameldował, że w zasięgu wzroku nie widać nic. Zjedli więc kolację, a potem John wyznaczył kolejność warty,

- Nie wliczasz Jane? - zainteresował się Roger.

W pierwszej chwili John pomyślał, że Roger żartuje, i roześmiał się. Potem ku swemu zaskoczeniu przekonał się, że pytanie było poważne.

- Nie - odpowiedział, - Nie dziś w nocy,

Jane siedziała obok Olivii przez cały dzień nie odeszła od niej ani na chwilę. John słyszał, jak po południu rozmawiały ze sobą, i raz dobiegł go śmiech Jane. Teraz spojrzała na dwóch mężczyzn, a jej świeża, nieco zbyt okrągła twarz wyrażała jedynie szczere zaciekawienie.

- Chyba nie masz zamiaru nas pozabijać we śnie, prawda Jane?

- zapytał Ją Roger,

Potrząsnęła głową z powagą.

John oświadczył; No, w każdym razie lepiej nie dawać jej okazji.

Jane odwróciła głowę, ale John zdążył dostrzec, że na jej twarzy nie było nienawiści, tylko zakłopotanie.

- Pierwsze stoi na warcie Ann - oznajmił. - Reszta niech lepiej już się kładzie. Wy, chłopcy, możecie zagasić ognisko - zadepczcie dokładnie żar.

Roger obudził go i wręczył aa dubeltówkę, która należała do wyposażenia wartownika. John podniósł się czując, że cały zesztywniał, i zaczął rozcierać sobie nogi. Księżyc wzeszedł; jego blask leżał na powierzchni wody i oświetlał niewielką grupkę bezładnie stłoczonych postaci.

- Wyjątkowo ciepło, nawet Jak na tę porę roku - poinformował go Roger. - Dzięki Bogu.

- Widziałeś coś?

- Co tu można zobaczyć oprócz duchów?

- A widziałeś jakieś duchy?

- Mignął mi jeden w przelocie - najbardziej staroświecki rodzaj ducha. - John spojrzał na niego pytająco. - Pociąg - Widmo. Wydawało mi się, że słyszą w oddali gwizd lokomotywy, a po jakichś dziesięciu minutach przysiągłbym, że słyszę odległy łoskot pociągu.

- To mógł być pociąg - zastanawiał się John. - Jeśli zostały jakieś pociągi na chodzie i znaleźli się ludzie, którzy potrafią je prowadzić, mogliby spróbować nocnej jazdy. Ale biorąc wszystko razem pod uwagę to raczej mało prawdopodobne.

- Wolę myśleć, że to był pociąg - widmo. Pełen bezcielesnych mieszkańców Dale jadących na targ albo wiozący przez Penniny niematerialne wagony węgla czy zjawy sztab żelaza. Zastanawiałem się nad czymś - jak myślisz, jak długo przetrwa pamięć o tym, co to są tory kolejowe? Dwadzieścia lat, trzydzieści lat? Jak długo ludzie będą pamiętać, że dawno temu było coś takiego? Czy będziemy swoim dzieciom opowiadać bajki o żelaznych potworach, które pobierały węgiel i zionęły dymem?

- Idź spać - poradził mu John, - Będziesz jeszcze miał dużo czasu, żeby myśleć o swoich wnukach,

- Duchy - wyszeptał Roger. - Tej nocy wszędzie wokół siebie widzę duchy. Zjawy przyszłych pokoleń dzikusów.

John nie odpowiedział, ale wspiął się na nasyp i zajął swoje stanowisko. Kiedy ponownie spojrzał w dół, Roger leżał już zwinięty w kłębek i wyglądał, jakby spał.

Zadaniem wartownika, było pilnowanie obu stron torów, ale przede wszystkim strony północnej, ponieważ tamtędy przebiegała główna droga. Z tego powodu wartownik musiał siedzieć odwrócony plecami do grupy śpiących ludzi. John zajął pozycję i zapalił papierosa, osłaniając dłonią żarzący się koniec. Nie myślał, żeby to było naprawdę potrzebne, ale cała sytuacja do tego stopnia przypominała dawne czasy, że automatycznie zastosował stare wojskowe sposoby.

Popatrzył na niewielką białą rurkę w stulonej dłoni. Ten zwyczaj również będzie musiał zniknąć, ale dopóki okoliczności tego nie wymagały, nie musiał jeszcze z niego rezygnować. Jak długo potrwa, pomyślał, zanim Amerykanie wylądują w zapomnianych zatokach i ruszą w głąb lądu, rozdając szynkę w puszkach i cygara siejąc odporną na Chung-Li trawę wszędzie, gdzie przejdą? We wszystkich małych enklawach, takich jak Ślepa Dolina, gdzie pozostali przy życiu Anglicy będą walczyć o przetrwanie, coś takiego stanie się powszechnym marzeniem, bajką opowiadaną przy kominku. Legendą, które być może sprawi w korcu, że nowi barbarzyńcy ruszą przez ocean, aby odnaleźć po drugiej stronie świat tak prymitywny i surowy, jak ich własny.

Ponieważ nie mógł już dłużej wierzyć, że w ostatniej chwili wyrok skazujący ludzkość na zagładę zostanie odwołany. Najpierw Chiny

potem reszta Azji, a teraz Europa. Następnie przyjdzie kolej na innych, choćby do końca w to nie wierzyli. Przyroda zmazywała do czysta tablicę dziejów ludzkich, pozostawiając puste miejsce dla patetycznych zapisków tych nielicznych, którzy przeżyją w kilku miejscach na powierzchni planety.

Usłyszał jakiś dźwięk z drugiej strony nasypu i ostrożnie podniósł się, żeby sprawdzić, co to takiego. Kiedy zbliżył się do krawędzi nasypu, ujrzał szczupłą sylwetkę pokonującą właśnie ostatnie kilka jardów podejścia. To była Millicent. Wyciągnęła do niego rękę, a on chwycił ją i pomógł jej wspiąć się na górę.

- Co tu robisz, do diabła? - zapytał.

- Szsz - odpowiedziała - pobudzisz wszystkich.

Zerknęła w dół na grupę śpiących ludzi, a potem przeszła

przez nasyp do stanowiska wartownika. John ruszył za nią. Nie miał wątpliwości, co oznacza ta wizyta. Spokojna bezczelność Millicent rozwścieczyła go.

- Twoja kolej jest dopiero za parę godzin - odezwał się. - Powinnaś wrócić na dół i przespać się. Mamy jutro przed sobą długi dzień.

W odpowiedzi spytała: - Masz papierosa? - John wyjął jednego

z paczki i podał jej, - Możesz mi podać ognie?

- Nie uważam, żeby to był dobry pomysł świecić po nocy. Trzymaj papierosa wewnątrz dłoni i osłaniaj koniec, kiedy się zaciągasz.

- Myślisz o wszystkim, prawda?

Pochyliła się do jego stulonych dłoni, żeby dosięgnąć płomienia zapalniczki. Jej czarne włosy zalśniły w świetle księżyce.

John stwierdził, że niezbyt dobrze sobie radzi z tą sytuacją. Nie powinien był jej częstować papierosem, powinien był odesłać ją z powrotem. To był błąd. Millicent wyprostowała się skrywając papierosa wewnątrz dłoni.

- Nie potrzebuję wiele snu - oznajmiła. - Pamiętam jeden weekend, kiedy od piątku do poniedziałku nie spałam nawet trzech godzin, a mimo to byłam świeża jak stokrotka.

- Nie musisz się przechwalać. To widać.

- Czyżby? - Przez chwilę milczała. - Co się dzieje z Ann?

John odpowiedział chłodno: - Wiesz równie dobrze, jak ja. Możliwe, że na tobie to by nie zrobiło wrażenia - ani to, co ją spotkało, ani to, co zrobiła potem.

- Czasem może wyjść na dobre, jeśli się nie na zbyt wzniosłych zasad - odparła zadowolonym z siebie tonem. - Wtedy człowiek nie spada z wysokiej góry, kiedy spotka go coś nieprzyjemnego - albo kiedy sam coś takiego zrobi.

John zaciągnął się dymem. - Nie chcę rozmawiać o Ann. I nie chcę mieć z tobą przygody, rozumiesz? Myślałem, że przynajmniej zdajesz sobie sprawę, że niezależnie od wszystkiego to nie jest odpowiednie

pora na te rzeczy.

- Kiedy się czegoś chce, wtedy jest na to pora.

- Mylisz się. Ja tego nie chcę.

Roześmiała się. Jej głos był niski i trochę ochrypły.

- Nie bądźmy dziećmi - powiedziała. - Może się czasem mylę,

ale nie w tych sprawach.

- Więc wiesz lepiej ode mnie, czego chcę?

- Całkiem możliwe. Powiem ci więcej, Wielki Szefie, Gdyby to Olivia złożyłaby ci tę wizytę, wysłałbyś ją z powrotem bez żadnych dyskusji. A poza tym właściwie dlaczego rozmawiamy szeptem? Żeby nikogo nie obudzić?

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że zniżył głos. Odezwał się teraz głośniej:

- Millicent, myślę, że powinnaś już wracać.

Roześmiała się ponownie. - Co w tym złego, że nie chcemy

innych obudzić? Nie sądzę, żeby potrzebowali tek mało snu, jak ja. niepotrzebnie podnosisz głos.

- W porządku. Nie zamierzam z tobą dyskutować. Po prostu wracaj do łóżka i zapomnij o wszystkim.

- O.K. - powiedziała posłusznie. Rzuciła na wpół wypalonego papierosa i wdeptała go w ziemię. - Zrobię tylko maleńki test i jeżeli nie uda mi się wykrzesać iskry, pójdę zaraz na dół jak grzeczna mała dziewczynka.

Zbliżyła się do niego, - Nie bądź niemądra, Millicent - powiedział. Zatrzymała się tuż przy nim. - Chyba nie ma nic złego w pocałunku na dobranoc? - Oparła się o niego całym ciałem. Musiał albo ją objąć, albo pozwolić jej upaść, i objął ją. Była bardzo ciepła i delikatniejsze w dotyku, niż mógłby się spodziewać. Leciutko otarła się o niego.

- Myślę, że test wypadł zadowalająco - powiedziała.

Oboje odwrócili się na dźwięk spadających kamyków. Nad krawędzią nasypu wyrosła ciemna sylwetka i stanęła przed nimi.

Pirrie stuknął w kolbę karabinu, który trzymał pod pachą, i powiedział karcąco: - Nawet niosąc to o mało was nie zeskoczyłem. Nie jest pan tak czujny, jak powinien być dobry wartownik, panie Custance.

Millicent wyswobodziła się z objęć Johna i warknęła: - Co ty sobie myślisz, żeby się włóczyć w środku nocy?

- Czy to będzie nie na miejscu, jeśli zadam ci to samo pytanie? - odparł Pirrie.

- Myślałam, że dość już się napatrzyłeś, kiedy mnie szpiegowałeś poprzednim razem - fuknęła pogardliwie. - Czy może zaczynasz w tym znajdować dreszczyk?

Pirrie odpowiedział: - Poprzednio w takich sytuacjach wybierałem mniejsze zło. Muszę przyznać, że byłaś dyskretna. Jakiekolwiek działanie z mojej strony mogłoby tylko wydobyć na światło dzienne

fakt, że jestem rogaczem, a zawsze pragnąłem tego uniknąć.

- Nie martw się - powiedziała Mllicent. - Nadal będę dyskretna.

John przerwał tę wymianę zdań. - Pirrie! Między twoją żoną a raną do niczego nie doszło. I do niczego nie dojdzie. Zależy mi tylko na jednym: żeby doprowadzić was wszystkich bezpiecznie do Ślepej Doliny.

Pirrie odezwał się tonem zadumy: - Zawsze czułem naturalną skłonność, żeby ją zabić. Ale w normalnym społeczeństwie morderstwo jest zbyt ryzykowne. Doszedłem aż do etapu sporządzania plenów - całkiem niezłych, moim zdaniem - ale nigdy nie wprowadziłem ich w życie.

Millicent zawołała: - Henry! Przestań. się wygłupiać!

W świetle księżyca John zobaczył, że Pirrie podnosi prawą rękę i pociera nos palcami. Powiedział ostro;

- Dość tego!

Pirrie z namysłem odbezpieczył zamek swojego karabinu, John podniósł swoją strzelbę.

- Nie - powiedział Pirrie spokojnie. - Proszę opuścić broń. Wie pan bardzo dobrze, że potrafię strzelać o wiele szybciej od pana. Proszę to opuścić. Nie chciałbym być sprowokowany do popełnienia jakiegoś nierozważnego czynu.

John opuścił lufę strzelby. W każdym razie to śmieszne, pomyślał, wyobrazić sobie Pirrie'go jako postać z tragedii elżbie-tańskiej.

- Chyba jestem przemęczony - powiedział, - To byłe głupie myśl, prawda? Gdyby naprawdę chciał się pen pozbyć Millicent, to przecież nie stało nic na przeszkodzie, żeby pan ją po prostu zostawił w Londynie.

- Prawidłowe rozumowanie – przyznał Pirrie - ale kulawe. Musi pan pamiętać, że chociaż przyłączyłem się do waszej wyprawy, przez cały czas miałem zastrzeżenia co do prawdziwości historyjki, którą nie poczęstował pan Buckley. Zdecydowałem się wziąć udział w akcji przebicia cię przez kordon policyjny, ponieważ najbardziej na świecie cenię sobie swoją wolność osobistą. To wszystko.

Mllicent wtrąciła: - Wy dwaj możecie kontynuować pogawędkę,

Ja wracam do łóżka.

- Nie - powiedział Pirrie cicho - zostań tam, gdzie jesteś, zostań dokładnie tam, gdzie jesteś. - Dotknął lufy karabinu i

Millicent zamarła w pół ruchu. - Muszę przyznać, że dogłębnie, choć w pośpiechu, rozważyłem projekt zostawienia Millicent w Londynie. Jednym z powodów, dla których odrzuciłem to rozwiązanie, była pewność, że w razie, gdyby nie stało się nic gorszego, niż cywilny przewrót, Millicent poradziłaby sobie bardzo dobrze oferując swoje erotyczne usługi miejscowemu przywódcy gangu. Nie podobał mi się pomysł, że w ten sposób mógłbym jej umożliwić rozpoczęcie swojej ,

pełnej sukcesów kariery.

- Czy to by miało jakieś znaczenie? - zapytał John.

- Nie jestem typem człowieka, który łatwo znosi upokorzenie. Odpowiedział Pirrie. - Posiadam pewne skłonności, które ktoś

byłby określić jako prymitywne. Proszę mi powiedzieć, panie Custance - zgodziliśmy się, że w tym kraju prawo już nie istnieje?

- Gdyby istniało, wszyscy byśmy wisieli.

- Właśnie. Wobec tego, jeśli oficjalne prawo już nie dzieła.

To co pozostaje?

John powiedział ostrożnie: - Prawo grupy - prawo do samoobrony.

- A prawo rodzinne?

- Wewnątrz grupy. Potrzeby grupy są na pierwszym miejscu,

- A prawa, głowy rodziny? - Millicent zaczęła się śmiać nerwowym, prawie histerycznym śmiechem. - Baw się dobrze, moje droga.

Powiedział jej Pirrie. - Cieszę się, że jest ci wesoło. A więc, panie Custence, właściwą głową rodziny jest mężczyzna - czy wciąż się zgadzamy?

Był tylko jeden kierunek, w którym mogła zmierzać ta nieubłagana,

obłąkańcza logika. John odparł:

- Owszem, wewnątrz grupy. - Zawahał się. - Tą grupą ja rządzę.

Ostatnie słowo należy do mnie.

Wydawało mu się, że Pirrie się uśmiechnął, się w mdłym świetle księżyca trudno było mieć pewność.

- Ostatnie słowo jest tu - oświadczył Pirrie. Stuknął w lufę karabinu. - Jeśli zapragnę, mogę zniszczyć grupę. Jestem oszukanym mężem, panie Custonce - być może zazdrosnym, być może dumnym. Jestem zdecydowany dochodzić swoich praw. Mam nadzieję, że nie będzie pan ich kwestionował, ponieważ nie chciałbym się panie sprzeciwiać.

- Zna pan już drogę do Ślepej Doliny - ale beze mnie może nie być łatwo się tam dostać.

- Mam dobrą broń i potrafię się nią posługiwać. Jestem przekonany, że z łatwością znajdę zajęcie.

Zapadło milczenie. W ciszy nagle jakiś ptak zaniósł się śpiewem; John, zaskoczony, rozpoznał głos słowika.

- A zatem - przer,wał milczenie Pirrie - przyznaje mi pan moje prawa?

Millicent krzyknęła: - Nie! John, powstrzymaj go. On nie może się tak zachowywać - to nieludzkie! Henry, obiecuję ...

- Że powstrzymam się, póki nie nadejdzie północ - przerwał jej Pirrie. - Nawet ja potrafię czasem dobrać właściwy cytat. Panie Custance! Czy, przyznaje mi pan moje prawa?

Światło księżyca osrebrzyło lufę karabinu, która zakołysała się ponownie wymierzone w Johna. Nagle poczuł, że się boi - nie tylko o siebie, ale również o Ann, o dzieci. Nie wątpił, że Pirri’e nie ustąpi;

jedyna wątpliwość dotyczyła tego, jak daleko owa nieustępliwość może go zaprowadzić, skoro raz zostanie sprowokowany.

- Przyznaję panu prawa - powiedział.

Millicent zawołała nieswoim, pełnym napięcia głosem - Nie! Nie tutaj ...!

Rzuciła się biegiem do Pirrie'go, potykając się niezręcznie na szynach, Pirrie zaczekał, aż była prawie przy nim, i wtedy strzelił. Jej ciało szarpnęło się do tyłu pchnięte impetem kuli i upadło w poprzek torów. Pobliskie wzgórza rozbrzmiały echem wystrzału.

John przeszedł przez tory omijając ciało, Pirrie opuścił karabin, John stanął obok niego i spojrzał w dół. Wystrzał obudził wszystkich .

Zawołał do nich: - W porządku. Możecie spać dalej. Nic się nie stało.

Roger krzyknął z dołu: - To nie był strzał z dubeltówki.

Czy Pirrie jest tam z tobą?

- Tak - odparł John. - Możecie spać spokojnie, panujemy nad sytuacją.

Pirrie odwrócił się i spojrzał na niego. - Myślę, że pan również może pójść spać.

John powiedział szorstkim tonem: - Najpierw niech mi pan z tym pomoże. Nie możemy tu zostawić ciała, żeby kobiety je znalazły, kiedy przyjdzie ich kolej warty.

Pirrie kiwnął głową. - Do rzeki?

- Za płytka. Na pewno będzie wystawać. Poza tym uważam, że

nie należy zanieczyszczać wody. Za nasyp po drugiej stronie rzeki. chyba to wystarczy.

Przenieśli ciało wzdłuż torów jakieś dwieście jardów w kierunku wschodnim. Nie było ciężkie, ale niewygodnie było je nieść torach, John odetchnął z ulgą, kiedy mogli wreszcie zrzucić je z nasypu. W dole rosły krzaki i w nich wylądowały zwłoki. W świetle księżyca można było jeszcze dojrzeć białą bluzkę Millicent, i nic poza tym.

W milczeniu John i Pirrie ruszyli z powrotem. Kiedy doszli do stanowiska wartownika, John odezwał się:

- Może, pan teraz iść na dół. Ale powiem Olivii, żeby pana obudziła, kiedy przyjdzie kolej pana żony. Rozumiem, że nie ma sprzeciwów?

Pirrie powiedział łagodnie: - Ależ skąd. Co tylko pan każe. Wsadził karabin pod pachę. - Dobranoc, panie Custance.

- Dobranoc - odpowiedział John.

Patrzył, jak Pirrie ześlizguje się w dół po zboczu i dołącza z pozostałych. Oczywiście mógł się mylić. Może dałoby się jakoś uratować życie Millicent.

Ze zdziwieniem stwierdził, że nic go to nie obchodzi.

ROZDZIAŁ 9

Rano wyczuwało się wyraźny nastrój przygnębienia. John powiedział wszystkim, że Pirrie zestrzelił Millicent, ale pozwolił dzieciakom myśleć, że ta był wypadek. Opowiedział pełną wersje wydażeń Rogerowi, który pokręcił głową.

- Zimny drań, no nie? Nieźle się wpakowaliśmy biorąc go ze sobą.

- To prawda - przyznał John,

- Myślisz, że będziesz miał z nim kłopoty?

- Nie sądzę, dopóki pozwolę mu robić, co zechce. Na szczęście jego żądania wydają się niezbyt wygórowane. Uważał, że ma prawo zabić własną żonę.

Póżniej, kiedy mył się w rzece, podeszła do niego Ann. Stanęła obok i zapatrzyła się na spienioną wodę. Wszędzie nad doliną świeciło słońce, ale dokładnie nad nimi wisiały ciężkie, skłębione chmury.

- Gdzie schowaliście ciało? - zapytała. - Muszę to wiedzieć, zanim wyślę dzieci na dół, żeby się umyły.

- Dostatecznie daleko stąd. Możesz je przyprowadzić.

Spojrzała na niego z twarzą bez wyrazu. - Możesz równie dobrze powiedzieć mi wszystko, co się stało. Pirrie nie jest człowiekiem, który mógłby spowodować wypadek z bronią albo zabić kogoś bez powodu.

Powiedział jej, nie próbując niczego ukrywać. Zapytała:

- A gdyby Pirrie się nie pojawił właśnie wtedy?

John wzruszył ramionami. - Pewnie wysiałbym ją z powrotem.

Co jeszcze mogę powiedzieć?

- Chyba nic. Teraz to już nie ma znaczenia. - I nagie wystrzeliła w niego pytanie: - Dlaczego jej nie uratowałeś?

- Nie mogłem. Pirrie był całkowicie zdecydowany. Mogłem najwyżej sam zostać zastrzelony.

- Jesteś przywódca - powiedziała z goryczą. - Masz zamiar stać z boku i pozwalać, żeby ludzie mordowali się nawzajem?

Popatrzył na nią, a jego głos był zimny, kiedy jej odpowiedział: - Myślałem, że moje życie więcej znaczy dla ciebie i dzieci, niż życie Millicent. Nadal tak myślę, niezależnie od tego, czy się z tym zgadzasz, czy nie.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu; potem Ann postąpiła krok do przodu, a on ją objął. Usłyszał jej szept:

- Kochanie, tak mi przykro. Wiesz, że tek nie myślałam. Ale to takie okropne, i wciąż jest coraz gorzej. Żeby zabić własna żonę, tak po prostu ... Jak będzie teraz wyglądać nasze życie?

- Kiedy dojdziemy do doliny ...

- Pirrie dalej będzie z nami, prawda? Och, John, czy musi tak być? Nie moglibyśmy - jakoś się go pozbyć?

- Za bardzo się tym przejmujesz - powiedział miękko. - Pirrie dostatecznie szanuje prawo. Myślę, że nienawidził Millicent od lat. Ostatnio było dużo rozlewu krwi i przypuszczam, że uderzyło mu to do

głowy. W dolinie będzie inaczej. Będziemy mieli swoje własne prawo i porządek. Pirrie się dostosuje.

- Na pewno?

Pogładził jej ramię. - A ty? - zapytał. - Jak się teraz czujesz? Trochę lepiej?

Kiwnęła głową. - Trochę lepiej. Przypuszczam, że możne się przyzwyczaić do wszystkiego, nawet do wspomnień.

Przed siódmą wszyscy byli już gotowi do drogi. Na niebie od czasu do czasu pokazywał się skrawek błękitu, ale na wschodzie chmury zgromadziły się tak gęsto, że całkowicie zakryły słońce.

- Pogoda niezbyt zachęcająca - zauważył Roger.

- Lepiej, żeby nie było za gorąco - odparł Jona. - Czeka nas wspinaczka. Wszyscy gotowi?

Pirrie odezwał się: - Chciałbym, żeby Jane szła ze mną.

Wytrzeszczyli na niego oczy. Żądanie było tak dziwaczne, że pozbawione wszelkiego sensu. John nie uważał za potrzebne ustawienie oddziału w jakimś określonym porządku i w rezultacie wszyscy szli bezładną, luźną grupą w przypadkowej kolejności. Jane odruchowo zajęła już swoje zwykłe miejsce przy boku Olivii.

W końcu John zapytał: Dlaczego?

Pirrie niezmieszany popatrzył wokoło na krąg pytających twarzy.

- Być może powinienem wyrazić się inaczej. Zdecydowałem, że chciałbym poślubić Jane - o ile to słowo ma jeszcze jakieś znaczenie.

Olivia powiedziała ostrym tonem, całkowicie zapominając o ich zwykłych manierach;

- Niech, pan nie będzie śmieszny. Proszę o tym nawet nie myśleć.

Pirrie odparł spokojnie: - Nie widzę przeszkód. Jane jest niezamężną dziewczyną, a ja jestem wdowcem.

Jane, zauważył John, patrzyła na Pirrie'go uważnie szeroko otwartymi oczami. Nie był w stenie odczytać wyrazu jej twarzy.

Ann odezwała się: - Panie Pirrie, ostatniej nocy zabił pan Millicent. Czy to nie jest wystarczająca przeszkoda?

Chłopcy przyglądali się całej scenie zafascynowani; Mary odwróciła głowę. Naiwnością byłoby przypuszczać, pomyślał John ze znużeniem, że w tym świecie zdoła się uchronić jakikolwiek rodzaj niewinności.

- Nie - odparł Pirrie - nie uważam tego za przeszkodę.

- Zabił pen również ojca Jane - przypomniał mu Roger.

Pirrie przytaknął. - Nieszczęśliwie się złożyło, ale to było konieczne. Jestem pewien, że Jane już się z tym pogodziła.

- Proponuję, żebyśmy na razie zostawili tę sprawę, penie Pierrie - odezwał się John, - Jane noże sama decydować. Będzie mu to przemyśleć przez dwa lub trzy dni.

- Nie. - Pirrie wyciągnął rękę. - Chodź tu, Jane.

Jane dalej stała wpatrując się w niego. Olivia powiedziała;

- Niech pan ją zostawi. Zabraniam panu jej dotknąć. Już pan narobił i bez tego.

Pirrie zignorował ją. Powtórzył: - Chodź tu Jane. Wprawdzie nie jestem młody ani specjalnie przystojny, ale potrafię się tobą zaopiekować, a to więcej, niż większość młodych ludzi potrafiłaby dokonać w obecnych czasach.

Ann zapytała: - Zaopiekować się nią - czy ją zamordować?

- Millicent zdradzała mnie wiele razy - odparł Pirrie - i usiłowała znowu to zrobić. Tylko dlatego ją zabiłem

Ann z niedowierzaniem stwierdziła:- Mówi pan tak, jakby kobiety nie były ludźmi, tylko jakimiś podrzędnymi stworzeniami.

Pirrie powiedział tonem pełnym kurtuazji; - Przykro mi, jeśli pani odniosła takie wrażenie. Jane! Chodź ze mną.

W milczeniu przyglądali się, jak Jane powoli podchodzi do miejsca, gdzie czekał na nią Pirrie. Ujął jej ręce w swoje i powiedział: - Myślę, że będzie nam bardzo dobrze ze sobą.

Olivia krzyknęła; - Nie, Jane! Nie możesz tego zrobić!

- A teraz - ciągnął Pirrie - chyba możemy już ruszać.

- Roger, John - zawołała Olivia - powstrzymajcie go!

Roger popatrzył na Johna, John powiedział: - Nie sądzę, żebyśmy mogli coś na to poradzić,

- A gdyby to była Mary? - zapytała Olivia. - Jane ma takie same prawa, jak każdy z nas.

- Tracisz czas na próżno, Olivio - oświadczył John. - Żyjemy w innym świecie. Dziewczyna podeszła do niego z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie ma tu nic do dodania. Idziemy.

Ruszyli wzdłuż torów kolejowych, Ann szła obok niego. Przed nimi dolina zwężała się gwałtownie, a od północy droga zakręcała w kierunku torów.

- W Pirrie'm jest coś przerażającego - odezwała się Ann. - Jakaś zimne brutalność. Przeraża mnie myśl, że oddaliśmy tę młodą dziewczynę w jego ręce.

- Poszła do niego z własnej woli.

- Bo się go bała! Ten człowiek to morderca!

- Jak my wszyscy.

- Ale on jest inny. Nie starałeś się go powstrzymać, prawda? Ty i Roger mogliście go powstrzymać. To nie było tek, jak z Millcent. Stałeś zaledwie parę stóp od niego.

- I miał zabezpieczony karabin. Któryś z nas mógł go zastrzelić.

- Więc dlaczego tego nie zrobiliście?

- Gdyby nawet było tu dziesięć Jane i gdyby chciał je wszystkie mieć, oddałbym mu je. Pirrie wart jest dla nas dużo więcej.

- A gdyby to była Mary, jak mówiła Olivia?

- Pirrie musiałby najpierw mnie zastrzelić, zanim by w ogóle o tym

wspomniał. Wiesz, wczoraj w nocy mógł to zrobić z łatwością. Jestem przywódcą tylko dlatego, że wszyscy się na to godzą - na razie. Nieważne, czy ta zgoda jest spowodowaną strachem, czy nie, dopóki trzyma nas razem. Pirrie i je nie zamierzamy straszyć się nawzajem; obaj wiemy, że żaden z nas nie poradziłby sobie bez tego drugiego. Gdyby któryś z nas został wyłączony z akcji, moglibyśmy w ogóle nie dotrzeć do doliny.

- A kiedy tam dojdziemy - powiedziała żywo - będziesz gotów się go pozbyć?

- Poczekaj, aż tam będziemy. Jeśli o to chodzi ...

Uśmiechnął się i Ann to zauważyła. - Co takiego?

- Myślę, że Jane nie jest dziewczyną, która by się długo bała. Otrząśnie się z tego, A kiedy to się stenie ... Nie zaufałbym jej na tyle, żeby pozwolić jej trzymać wartę w nocy a Pirrie chce nią spać. Dziwnie wydaje się pomyśleć, że Pirrie może być zbyt łatwowierny - a jednak raz już się pomylił co do jednej żony.

- Ale co ona może zrobić, nawet gdyby chciała? Pirrie jest bardzo silny, chociaż na to nie wygląda.

- To zależy od ciebie i od Olivii, prawda? Wy trzymacie noże.

Ann spojrzała na niego próbując ocenić, czy ta uwaga była

wymierzona jako poważna.

- Ale dopiero kiedy dojdziemy do doliny - dorzucił, - Do tego czasu w każdym razie będzie musiała z nim wytrzymać.

Zanim wspięli się na Mossdale Head, niebo zdążyło się zachmurzyć i gwałtowne porywy deszczu zaczęły zacinać im w twarze. Ulewa wzmogła się, kiedy osiągnęli grzbiet i ujrzeli po zachodniej stronie nieba czarne burzowe chmury kotłujące się nad wrzosowiskiem. W swoich bagażach mieli cztery lekkie płaszcze nieprzemakalne John kazał kobietom je założyć. Chłopcy będą musieli moknąć i cieszyć się, że nie jest gorzej; chociaż temperatura się obniżyła,.,

Wciąż jeszcze było stosunkowo ciepło.

Deszcz wciąż się wzmagał. W ciągu pół godziny i mężczyźni i chłopcy byli przemoczeni do nitki. John przejeżdżał już wcześniej przez Penniny tą trasą, ale tylko samochodem. Nawet wówczas to miejsce wywoływało w nim uczucie osamotnienie, jakby się jechało przez wymarłą krainę, mimo że prowadziła tędy droga i linia kolejowa.

To uczucie było teraz kilkakrotnie silniejsze. Niewiele jest smutniejszych widoków, myślał John, niż widok opuszczonych torów, po których nigdy już nie przejedzie żaden pociąg. A jeśli monotonny jest widok wrzosowiska oglądany z okien samochodu, to o ileż bardziej jest on monotonny dla ludzi idących pieszo w strumieniach deszczu. Same wrzosowiska były oczywiście jeszcze bardziej puste. W dalszym ciągu rósł na nich wrzos, ale trawa znikła; odłamki skał sterczały tu i tam, jak zęby w czaszce szkieletu.

W ciągu poranka kilkakrotnie minęli małe grupki zmierzające w przeciwnym kierunku. I znowu natknęli się na niechęć i podejrzliwość. Jedna trzyosobowa grupa wiozła swój dobytek na grzbiecie osła. John i pozostali patrzyli na to ze zdziwieniem. Ktoś przypuszczalnie utrzymał osła przy życiu karmiąc go sianem, kiedy już wszystkie zwierzęta pociągowe zostały zabite razem z bydłem; jednak raz opuściwszy stajnię osioł musiał umrzeć z głodu.

Roger powiedział: - Wyobrażam sobie, że jest to jakaś odmiana psiego zaprzęgu. Jedzie się na tym tak długo, jak się da, a potem się to zjada.

- Tylko, że to chodząca pokusa dla wszystkich, którzy to widza - odparł John. - Jak już dojdą do Dale, nie sądzę, żeby zaszli daleko.

- Moglibyśmy już teraz uwolnić ich od tego ciężaru - wtrącił Pirrie.

- Nie - sprzeciwił się John. - W żadnym razie nie warto tracić czasu. Mamy dość mięsa, żeby się wyżywić, a jutro dojdziemy do Ślepej Doliny. To byłby niepotrzebny ciężar.

Wkrótce potem Steve zaczął kuleć, a bliższe oględziny wykazały, ze zrobił mu się pęcherz na pięcie.

Olivia zawołała: - Steve! Dlaczego nie powiedziałeś od razu, kiedy zaczęło cię boleć?

Steve popatrzył na otaczające go twarze dorosłych i jego dziesięcioletnie pewność siebie opuściła go. Zaczął płakać.

- Nie ma powodu do płaczu, stary -pocieszył go Roger. — Pęcherz to paskudny pech, ale to nie koniec świata.

Łkania Steve’a nie były zwykłym dziecięcym pochlipywaniem, ale dźwięczała w nich tłumiona rozpacz, echo niedawnych przeżyć, zbyt ciężkich dla dziecka. Powiedział coś i Roger pochylił się, żeby uchwycić jego słowa.

- Co mówiłeś Steve?

- Myślałem, że gdybym nie mógł iść, to byście mnie zostawili.

Roger i Olivia spojrzeli na siebie. Roger powiedział:

- Nikt nie zamierza cię zostawić. Jak mogłeś coś takiego pomyśleć?

- Pen Pirrie zostawił Millicent - chlipnął Steve.

John wtrącił się: - Lepiej, żeby nie szedł w takim stanie.

To się tylko może pogorszyć.

- Poniosę go - oświadczył Roger. - Spooks, weźmiesz moją strzelbę?

Spooks kiwnął głową, - Z przyjemnością.

- Ty i je będziemy go nieść po kolei, Rodge - dodał John, - Nie ma sprawy. Dobrze, że nie wyrósł za bardzo,

Olivie odparła: - Roger i je możemy go nieść na zmianę. To nasz syn. Poradzimy sobie.

Odezwała się do Johna po raz pierwszy od czasu incydentu z Pirrie’m i Jane. John zwrócił się do niej:

- Olivia, tutaj je rządzę, Roger i ja poniesiemy Steve’a.

Ty możesz nieść bagaż tego z nas, który będzie go niósł.

Olivie przez chwilę zatrzymała wzrok na jego twarzy, a potem odwróciła się bez słowa,

Roger powiedział: - W porządku, synu. Wskakuj na plecy.

Szli teraz trochę szybciej, ponieważ przedtem Steve opóźniał ich marsz, ale John nie dał się tym oszukać. Dźwiganie pasażera, nawet tak małego chłopca, jak Steve, stanowiło dla nich dodatkowe utrudnienie. John doprowadził ich prawie do końca Mossdale, zanim ogłosił przerwę na posiłek w środku dnia.

Wiatr, który siekł im twarze deszczem, ucichł w końcu, ale deszcz padał dalej, jeszcze gwałtowniej. John obrzucił spojrzeniem mało zachęcającą scenerię.

- Czy ktoś widzi gdzieś jaskinię z drzewem na opał? Nie? Tak myślałem. Dzisiaj mamy coś na zimno i do tego wodę. I możemy przez chwilę dać odpocząć nogom.

Ann zapytała: - Nie moglibyśmy poszukać jakiegoś suchego miejsca, żeby zjeść obiad?

Jakieś pięćdziesiąt jardów dalej stał nieduży domek, nieco cofnięty od drogi. John podążył wzrokiem za spojrzeniem Ann w tym kierunku.

- Może jest pusty - powiedział. - Ale musielibyśmy iść i sprawdzić, prawda? A może okazać się, że wcale nie jest pusty. Nie mam nic przeciwko podejmowaniu ryzyka, jeśli to konieczne, na przykład żeby zdobyć jedzenie, ale nie warto ryzykować, żeby znaleźć schronienie pół godziny.

- Davey jest przemoczony - przypomniała mu.

- Przez pół godziny nie wyschnie, a nie mamy więcej czasu do stracenia. - Zawołał do chłopca: - Jak tam, Davey? Jesteś mokry?

Devey kiwnął głową. - Tak, tato.

- Spróbuj się sucho zaśmieć.

To był ich stery dowcip. Davey uczynił wysiłek, żeby się uśmiechnąć. John podszedł do niego i poczochrał jego mokre włosy.

- Świetnie sobie radzisz - powiedział. - Naprawdę dobrze.

Zachodnie wejście do Garsdale prowadziło przez wąski pas urodzajnych pastwisk, który w ulewnym deszczu zmienił się w pas błota, urozmaicony tu i tam zabudowaniami farm. W dole ujrzeli Sedbergh, leżące pomiędzy wzgórzami a dolina z drugiej strony Rowthey. Nad miastem unosił się dym i płynął na zachód wzdłuż krawędzi wrzosowisk . Sedbergh płonęło.

- Szabrownicy - stwierdził Roger.

John wpatrywał się w miasto przez lornetkę,

- Natknęliśmy się na strumień ludzi ciągnących z północnego zachodu. Mieli o jeden dzień, więcej, żeby cię tu dostać. Mimo wszystko jestem trochę wstrząśnięty. Myślałem, że ta okolica będzie nadal spokojna.

- Może nie będzie tak źle - pocieszył go Roger - jeśli od razu skręcimy na północ i ominiemy to wszystko idąc górą. Może w dolinie Dune będzie trochę lepiej.

Pirrie powiedział: - Jeśli zdobyli takie miasto jak to, należy się spodziewać, że wszystkie okoliczne doliny są zagrożone. Nie pójdzie nam łatwo.

John wycelował lornetkę ponad splądrowanym miastem na wejście do górskiej doliny, przez którą mieli iść. Widział jakiś ruch, ale z tej odległości nie mógł być pewny, co to oznacza. Nad samotnymi budynkami unosił się dym. Istniała druga trasa, przez wrzosowiska do Kendal, ale również prowadziła przez dolinę Dune. W każdym razie jeżeli Sudbergh upadło, nie było powodu przypuszczać, że w okolicy Kendal sprawy mają się lepiej.

Pierrie popatrzył na niego w zamyśleniu. - Jeśli wolno mi coś powiedzieć,

chciałbym zaznaczyć, że jak na te warunki jesteśmy zbyt słabo uzbrojeni.

Ci ludzie z osiołkiem - przypuszczam, że moglibyśmy od nich dostać jedną czy dwie strzelby, oprócz zwierzęcia. Na pewno nie odważyliby się podróżować bez broni.

- Może nie będzie tak żle, jak na to wygląda.- powtórzył Roger.- W każdym razie będziemy musieli spróbować.

John popatrzył przed siebie ponad plątaniną rzek i dolin.

- Nie wiem. Możemy wpakować się coś, z czym będziemy sobie mogli poradzić. A wtedy będzie za późno.

- Przecież nie możemy tu zostać na zawsze - mruknął Roger. - I możemy wracać, więc musimy iść naprzód.

John odwrócił się do Pierrie'go. W tej chwili zdał sobie sprawę, że chociaż Roger może być jego przyjacielem, to jednak Pirrie jest jego porucznikiem. To na Pirrie'go trzeźwych osądach zaczął polegać.

- Uważam, że trzeba nam czegoś więcej , niż broni. Jeżeli na pewno mamy się dostać do Ślepej Doliny, będziemy, musieli powiększyć nasz oddział. Co pan o tym myśli?

Pirrie kiwnął głowią, rozważając ten pomysł. - Skłonny jestem tym się zgodzić. Trzej mężczyźni nie stanowią ,już wystarczającej siły do obrony.

Roger zapytał niecierpliwie: - W takim razie co zrobimy? Wywiesimy flagę z napisem: “Przybywajcie, rekruci”?

- Proponuję, żebyśmy się tu zatrzymali - powiedział John. - nagle jesteśmy na przełęczy i będziemy spotykać grupy przechodzą-w obie strony przez Penniny. Mało prawdopodobne, że to będą szabrownicy. Szabrownicy mają dosyć zajęcia w dolinach.

Ponownie popatrzyli na krajobraz rozpościerający się w dole, u ich stóp. Nawet w strumieniach deszczu był bardzo malowniczy nawet w

strumieniach deszczu domy w dolinie płonęły.

Pirrie powiedział z namysłem: - Możemy urządzić zasadzkę na podchodzących ludzi - jakieś sto jardów wcześniej jest wystarczająca osłona.

- Jest nas za mało, żeby przyłączyć innych na siłę - sprzeciwił się John. - Potrzebujemy ochotników. Poza tym nawet jeżeli odbierzemy im broń, i tak w końcu będziemy musieli oddać ją z powrotem.

- W takim razie co robimy? - zapytał Roger. - Rozbijemy obóz na drodze?

- Właśnie - odparł John. Popatrzył na swoją przemoczoną, ubłoconą drużynę. - Miejmy nadzieję, że nie na długo,

Musieli czekać ponad godzinę na swoje pierwsze ofiary, a zdobycz okazała się rozczarowaniem. Ujrzeli mały oddziałek z wysiłkiem wdrapujący się po stromej drodze, a kiedy się zbliżył, zobaczyli, że składa się z ośmiu ludzi. Były tam cztery kobiety, dwoje dzieci - chłopiec w wieku ośmiu lat i trochę młodsza dziewczynka i dwóch mężczyzn . Ciągnęli dwa wózki dziecinne wyładowane sprzętem kuchennym; kiedy byli w odległości około pięćdziesięciu jardów, spadła im patelnia i z brzękiem potoczyła się po ziemi. Jedna z kobiet zatrzymała się i ze znużeniem pochyliła się, żeby ją podnieść.

Dwaj mężczyźni, podobnie jak i kobiety, wyglądali na wynędzniałych i przestraszonych. Jeden z nich miał dobrze ponad pięćdziesiąt, drugi, choć całkiem młody, był wymoczkowaty i cherlawy. Pirrie stwierdził; - Nie sądzę, żebyśmy mogli coś na tym skorzystać.

On i Roger steli razem z Johnem na środku drogi, trzymając strzelby. Kobiety i dzieci odpoczywały na płaskim kamiennym murku nieopodal,

John potrząsnął głową. - Chyba pan ma rację. W dodatku nie mają żadnej broni. Najwyżej któryś dzieciak może mieć pistolet na wodę.

Nadciągająca grupą zatrzymała się, kiedy ujrzała na drodze trzech uzbrojonych mężczyzn, ale po szeptanej naradzie i obejrzeniu się w tył na płonącą dolinę ruszyła znów przed siebie. Teraz strach wyraźniej zaznaczył się na ich twarzach. Starszy mężczyzna wysunął się do przodu i próbował bez powodzenia przybrać obojętny wyraz twarzy. Dziewczynka zaczęła płakać i jedna z kobiet ukradkiem, ze złością szarpnęła ją za rękaw, jakby obawiając się, że hałas w jakiś sposób może ich zdradzić.

Kiedy przechodzili w milczeniu, John pomyślał, jak naturalne byłoby przywitanie się z nimi parę dni temu i jak nienaturalne to samo powitanie zabrzmiałoby teraz.

Roger zapytał cicho: - Jak myślisz, daleko zajdą?

- Może do Wensleydale. Nie wiem. Mogą przeżyć jeszcze tydzień jeśli będą mieli szczęście.

- Szczęście? Czy pecha?

- Masz rację, pecha.

Pirrie odezwał się: - Chyba zawracają.

John obejrzał się za siebie. Tamci przeszli już może z siedemdziesiąt pięć jardów wzdłuż drogi, a teraz zawrócili i zbliżali się do nich, wciąż popychając swojo wózki. Zawróciwszy musieli iść pod wiatr i deszcz zacinał im prosto w twarze. Płaszcz nieprzemakalny dziewczynki rozpiął się pod szyją trzęsącymi się palcami próbowała go zapiąć z powrotem, ale nie mogła sobie dać rady.

Zatrzymali się w niewielkiej odległości. Starszy mężczyzna odezwał się:

- Zdawało nam się, że państwo na coś tu czekacie - może państwo chcecie się czegoś od nas dowiedzieć?

John ocenił go wzrokiem, Z pewnością robotnik fizyczny, rodzaj człowieka, który przez całe życie pracuje ciężko i nic z tego nie ma. W nowych warunkach, zdany tylko na siebie, miał niewielką szansę przeżycia; jego jedyną szansą było przyłączenie się do jakiegoś gangstera z dolin, pomniejszego Napoleona, który wymagałby od swoich podwładnych jedynie ślepego posłuszeństwa i niczego poza tym. Jednakże jego przynależność do grupy wykluczała nawet tę możliwość.

- Nie - odparł. - Nie chcemy się od was niczego dowiedzieć.

- Chcieliśmy przejść przez Penniny - ciągnął mężczyzna. Liczyliśmy, że w tych stronach będzie spokojniej. Myśleliśmy, że najdziemy jaką ustronną farmę albo jakie inne miejsce, żeby nam pozwolili pracować i dali trochę jedzenia. Dużo byśmy nie chcieli. Kilka miesięcy wcześniej najtrudniejszą rzeczą było chyba wygranie 75 000 funtów w zakładach totalizatora piłki nożnej. Obecnie ci ludzie cieli tyleż szans na zrealizowanie swoich skromnych nadziei, co wówczas na zdobycie głównej wygranej. John popatrzył na cztery kobiety; jedna z nich była wystarczająco młoda, żeby móc przeżyć dzięki świadczeniu usług seksualnych, miała więc kilkakrotnie więcej szans od pozostałych. Wszyscy byli przemoczeni. Dwoje dzieci odłączyło się od dorosłych i zawędrowało pod murek, gdzie siedziała Ann i reszta ich grupy. Chłopiec zamiast butów miał na nogach kompletnie przemoczone tenisówki.

John powiedział opryskliwie: - Lepiej się stąd zabierajcie.

- Mówi pan, że znajdziemy takie miejsce? - nalegał mężczyzna,

- Znajdziecie - mruknął John.

- A to całe zamieszanie? - odezwała się jedne z kobiet. - To potrwa długo, prawda?

Roger popatrzył w dolinę, - Tylko dopóki piekło nie zamarznie.

- Dokąd państwo myślą iść? - zapytał starszy mężczyzna. - Zamierzają państwo iść do Yorkshire, tak jak my?

- Nie - odparł John, - Właśnie stamtąd przyszliśmy.

- Jeśli o to chodzi, to wszystko nam jedno, dokąd pójdziemy,

myśleliśmy tylko, że po tej stronie może będzie spokojniej.

- Tak, może.

Matka dwojga dzieci odezwała się: - Ojciec chciał zapytać ... znaczy, czy nie moglibyśmy iść razem z państwem? Znaczy, w razie czego byłoby nas więcej. Znaczy ... państwo pewno też szukacie spokojnego miejsce. Państwo jesteście porządni ludzie, nie tak, jak tam na dole. W tych czasach porządni ludzie powinni trzymać się razem.

- W tym kraju - oświadczył John - żyje około pięćdziesięciu milionów ludzi. Z tego prawdopodobnie ponad czterdzieści dziewięć milionów to porządni ludzie, którzy szukają spokojnego miejsca. Nie ma aż tylu spokojnych miejsc.

- Tak, dlatego lepiej, żeby ludzie trzymali się razem. Porządni ludzie.

- Jak długo już jesteście w drodze? - Zapytał ją John. Wyglądała na zakłopotaną. - Wyszliśmy dziś rano - zobaczyliśmy ogień w Sedbergh, i paliła się farma Follinsa, a to tylko trzy mile od wioski.

- Mamy nad wami trzy dni przewagi. Nie jesteśmy już porządni.

Zabiliśmy kilku ludzi po drodze i może będziemy musieli zabić jeszcze paru. Myślę, że lepiej radźcie sobie sami, tak jak dotąd.

Wytrzeszczyli na niego oczy. W korcu starszy mężczyzna powiedział:

- Pewnie państwo musieli to zrobić. Pewnie człowiek musi bronić siebie i swojej rodziny, jak tylko może. Kazali mi zabijać podczas pierwszej wojny, chociaż Szwaby nie spaliły wtedy Sedbergh ani farmy Follinsa. No cóż, jak trzeba, to trzeba.

John nie odpowiedział. Pod murkiem obce dzieci bawiły się z pozostałą trójką w jakiś skomplikowany wyścig z przeszkodami właziły na murek, lazły wzdłuż niego i zeskakiwały na ziemię. Ann pochwyciła spojrzenie męża, wstała i podeszła do niego.

- Możemy iść z państwem? - zapytał mężczyzna. - Zrobimy wszystko, co państwo każą - możemy zabijać, jeśli to konieczne, i możemy odpracować to, co na nas wypadnie. Wszystko nam jedno, dokąd pójdziemy - i tak wszędzie jest to samo. Poza tym, że byłem w wojsku, przeżyłem całe swoje życie w Carbeck. Jak już musiałem stamtąd odejść, to wszystko mi jedno, dokąd pójdę.

- Ile macie strzelb? - zapytał John.

Mężczyzna pokręcił głową. - Nie mamy strzelb.

- My mamy trzy, a jest nas sześcioro dorosłych i czwórka dzieci . Nawet trzy strzelby to ze mało. Dlatego tutaj czekamy - żeby znaleźć innych, którzy mają broń i będą chcieli się do nas przyłączyć. Przykro mi, ale nie możemy brać pasażerów.

- Nie będziemy pasażerami! Umiem robić wiele rzeczy. Umiem strzelać, jeśli dacie mi strzelbę. Byłem strzelcem wyborowym w fizylierach.

- Gdyby pan był sen, moglibyśmy pana wziąć. Ale w tej sytuacji, z czwórką kobiet i dwojgiem dzieci ... nie możemy brać na siebie dodatkowych obciążeń.

Deszcz ustał, ale niebo nadal było szare i zachmurzone. Zrobiło się chłodne. Młodszy mężczyzna, który dotąd się nie odezwał, zadrżał i ciaśniej owinął się swoim brudnym płaszczem deszczowym.

Starszy z mężczyzn powiedział desperacko: - Mamy jedzenie.

W wózku - połówkę bekonu.

- Mamy dosyć jedzenia. Zabiliśmy, żeby je zdobyć, i możemy zabić znowu.

Matka odezwała się: - Niech pan nas nie odtrąca. Niech pan pomyśli o dzieciach. Przecież nie zostawi pan dzieci.

- Muszę myśleć o swoich własnych dzieciach - odparł John. - Gdybym mógł myśleć o innych, musiałbym się zacząć martwić o miliony ludzi. Na waszym miejscu ruszałbym w drogę. Jeśli chcecie znaleźć spokojne miejsce, musicie się pospieszyć, zanim tłum was wyprzedzi.

Patrzyli na niego w milczeniu. Zrozumieli, co powiedział, i nie chcieli w to uwierzyć.

Ann powiedziała stojąc tuż za nim: - Moglibyśmy ich zabrać, prawda? Te dzieci ... - Popatrzył na nią. - Tak, pamiętam, co powiedziałem, kiedy chodziło o Spooksa. Ale nie miałem racji,

- Nie - zaprzeczył John, - Miałaś fację. Nie na teraz miejsca na miłosierdzie.

- Nie mów tak - szepnęła z trwogą.

John pokazał jej dym unoszący się nad doliną, - Miłosierdzie zawsze było luksusem. To dobre, jeśli tragedie rozgrywa się w bezpiecznej odległości - jeśli możesz ją oglądać w kinie siedząc na wygodnym fotelu Ale inaczej się dzieje, kiedy nieszczęście puka do twoich drzwi - do wszystkich drzwi.

Podeszła do nich Olivia. Jane, które od porannej sceny z Pirrie'm przestała zwracać uwagę na Olivię, również się zbliżyła, tle stanęła obok Pirrle' go. Pirrie spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

Oliwia zebrała głos: - Nie rozumiem, co nam może zaszkodzić. Jeśli pozwolimy im się przyłączyć. Mogą nam pomóc.

- Pozwolili dziecku iść w tenisówkach na taką pogodę - zwrócił jej uwagę John. - Powinnaś do tego czasu zrozumieć, Olivio, że giną nie tylko najsłabsi, ale również najmniej zaradni. Oni nie mogą nam pomóc; mogą najwyżej zaszkodzić.

Matka chłopca zaczęła się tłumaczyć: - Mówiłem mu, żeby włożył buty. Nie zauważyliśmy, że jest w tenisówkach, aż byliśmy kilka mil od wioski. A wtedy nie mieliśmy odwagi wracać, John westchnął ze znużeniem, - Wiem. Po prostu chciałem powiedzieć, że teraz nie wolno o niczym zapominać. Jeśli nie zauważyliście, że chłopiec nie ma butów,

możecie także nie zauważyć czegoś bardziej istotnego. A w rezultacie wszyscy możemy zginąć. Nie mam zamiaru tego ryzykować. Nie mam zamiaru niczego ryzykować.

Olivia powiedziała: - Roger ...

Roger potrząsnął głową. - Wszystko się zmieniło przez te trzy dni kiedy Johnny i ja rzucaliśmy monetę, kto ma dowodzić, nie brałem tego poważnie, Ale teraz on jest szefem. On przyjmuje odpowiedzialność ze to wszystko i dzięki temu mogą spać spokojnie pozostali. I chyba ma rację.

Nowo przybyli śledzili z napięciem tę wymianę zdań. Teraz kiedy Roger okazał posłuszeństwo, upadły ich ostatnie nadzieje, Starszy mężczyzna odwrócił się potrząsając głową. Ale matka nie dała się tak łatwo zniechęcić.

- Możemy iść ze wami - oświadczyła, - Możemy poczekać, aż ruszycie i wtedy pójść za wami. Nie możecie nam tego zabronić.

- Lepiej już idźcie - ostrzegł John. - Ta rozmowa do niczego dobrego nie doprowadzi.

- Nie, zostaniemy! Nie możecie nas zmusić do odejścia.

Pirrie po raz pierwszy wtrącił się do rozmowy; - Nie możemy

was zmusić do odejścia, ale możemy was zmusić, żebyście zostali, kiedy my pójdziemy. - Znacząco dotknął swojej strzelby. - Chyba mądrzej będzie odejść.

Kobieta odparła bez przekonania: - Nie zrobiłby pan tego.

- On to zrobi - powiedziała gorzko Ann. - Można na nim polegać. Lepiej idźcie.

Kobieta przyjrzała im się po kolei; potem odwróciła się i zawołała dzieci: - Bessie! Wilf!

Dzieci niechętnie odłączyły się od reszty. Przypominało to inne podobne sytuacje, kiedy dzieci się spotykają i nagle, z powodu kaprysu rodziców, muszą się rozstać, chociaż ich przyjaźń zaledwie się zaczęła, Ann przypatrywała się , jak odchodzą.

Odwróciła się do Johna. - Proszę ...

Potrząsnął głową przecząco. - Muszę postępować, tak, jak jest dla nas najkorzystniej. Takich ludzi są miliony. Tych masz po prostu przed oczami.

- Miłosierdzie jest dla tych, których mamy przed oczami.

- Powiedziałem ci już - miłosierdzie, współczucie ... mogą istnieć wtedy, kiedy ma się stały dochód i pieniądze, którymi można się podzielić. A teraz wszyscy jesteśmy bankrutami.

Pirrie zawołał: - Panie Custance! Tam na drodze!

Pomiędzy Baugh Fell a Rise Hill droga biegła prosto przez jakieś trzy czwarte mili. Na niej poruszały się jakieś postacie, zmierzające w ich kierunku.

Byłe to duże grupa - siedmiu czy ośmiu mężczyzn z kobietami i

dziećmi. Maszerowali śmiało środkiem drogi i nawet z tej odległości można było zauważyć coś jakby błysk broni w ich rękach.

John stwierdził z satysfakcją: - To jest to, czego nam trzeba. - Jeśli zechcą z nami rozmawiać - mruknął Roger. - Może to teki rodzaj ludzi, którzy najpierw strzelają, a potem zadają pytania, Moglibyśmy się schować za murkiem, zanim spróbujemy nawiązać konwersację.

- Jeśli to zrobimy, damy im powód, żeby zaczęli strzelać.

- To chociaż kobiety i dzieci.

- To samo. Ich kobiety i dzieci są nieosłonięte.

Starszy mężczyzna zapytał: - Możemy zostać z państwem, dopóki oni nie przejdą?

John miał już odmówić, kiedy Pirrie pochwycił jego spojrzenie i nieznacznie skinął głową. John błyskawicznie zrozumiał: chwilowo lepiej, żeby ich było jak najwięcej, dzięki czemu będą mieli lepszą pozycję podczas targowania się.

- Jak chcecie - powiedział obojętnie.

W milczeniu obserwowali nadejście nowej grupy. Po chwili dzieci, Bessie i Wilf, ponownie odłączyły się od dorosłych i wróciły do pozostałych, które wciąż bawiły się na murku.

Wydawało się, że większość mężczyzn jest uzbrojona. John rozpoznał co najmniej dwa wojskowe karabiny kaliber 300, Winchester .202 i nieuniknione dubeltówki. Z rosnącą pewnością pomyślał: to jest to. To wystarczyło, żeby przeprowadzić ich przez wszystkie niebezpieczeństwa do Ślepej Doliny. Pozostawał tylko problem, jak ich do tego nakłonić.

Miał nadzieję, że zatrzymają się, zanim do nich dojdą, ale albo nic nie podejrzewali, albo byli pewni, że potrafią przyjąć każde wyzwanie, i szli dalej. Ich przywódca był krzepkim, tęgim mężczyzną z czerwoną twarzą. Miał na sobie skórzany pas, za który wetknął rewolwer. Kiedy zrównał się z oddziałem Johna, spojrzał nich obojętnie. Następnym dobrym znakiem było to, że nie patrzył pożądliwie na ich broń; a przynajmniej nie tak pożądliwie, żeby rozważać pomysł jej przywłaszczenie.

John zawołał do niego: - Chwileczkę!

Mężczyzna zatrzymał się i spojrzał na Johna. Poruszał się z uderzającym brakiem pośpiechu. Kiedy się odezwał, mówił z ciężkim akcentem z Yorkshire,

- Chciał pan o coś zapytać?

- Nazywam się John Custance. Idziemy do pewnego miejsca, które dobrze znam. Mój brat ma tam ziemię - w dolinie, która jest

zablokowana z jednego końce, a na drugim końcu ma wejście szerokie tylko na kilka stóp. Kto ją zajmie, może się obronić przed całą armią. Czy jest pan zainteresowany?

Mężczyzna wachał się przez chwilę. - Po co mi pan to mówi?

John wskazał w dół na dolinę. - Tam na dole jest dość paskudnie. Za mało nas jest, żebyśmy sobie z tym dali radę, Szukamy rekrutów .

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo. - Tak się składa, że my nie szukamy odmiany. Jak dotąd nieźle sobie radzimy.

- Teraz sobie dobrze radzicie - powiedział John - kiedy na polach są ziemniaki, a na farmach mięso, które można zrabować. Ale wkrótce mięso się skończy, i to ostatecznie. A w przyszłym roku nie znajdziecie na polach ziemniaków.

- Będziemy się o to martwić w przyszłym roku.

- Mogę wam powiedzieć, co wtedy nastąpi. Kanibalizm. Na to czekacie?

Przywódca nadal patrzył na nich z pogardliwą wrogością, ale John zauważył, że na pozostałych jego słowa zrobiły wrażenie. Ten człowiek wkrótce nie będzie w stanie utrzymać razem swoich ludzi; zaczną się szemrania, a może nawet otwarty bunt.

Tymczasem trwał przy swoim: - Może do tego czasu nabierzemy na to ochoty. Na razie nie mogę powiedzieć, żeby mi się pan spodobał .

- Jak pan sobie życzy - odparł John. Ponad jego ramieniem popatrzył na kobiety i dzieci; było tam pięć kobiet i czworo dzieci w wieku od pięciu do piętnastu lat. - Ci, którzy nie znajdą własnego kawałka ziemi, skończą jako dzikusy - o ile w ogóle przeżyją. Może panu to odpowiada, ale nie nam.

- Powiem panu, co mi nie odpowiada. - za dużo gadania. Nigdy nie lubiłem tracić czasu na pustą gadaninę.

- Za kilka lat w ogóle nie będzie pan musiał rozmawiać. Powróci pan do języka nieartykułowanych chrząknięć i znaków. Rozmawiam z panem, ponieważ mara panu coś do powiedzenia, i jeśli ma pan trochę rozsądku, powinien pan ranie wysłuchać dla własnego dobra.

- Dla własnego dobra, hę? Czy przypadkiem nie myśli pan raczej o swoich własnych korzyściach ?

- Byłbym durniem, gdybym o tym nie myślał. Ale wy robicie ne tym lepszy interes. Chwilowo potrzebujemy pomocy, żeby się dostać do miejsca, gdzie mieszka mój brat. Oferujemy wam ziemię, gdzie możecie żyć mniej więcej spokojnie i wychowywać dzieci na coś więcej niż dzikie zwierzęta.

Mężczyzna rozejrzał się po swojej grupie, jakby wyczuwając efekt, jaki sprawiły na nich słowa Johna.

- To tylko słowa - powiedział. - Myśli pan, że pójdziemy ze panem nie wiadomo dokąd, żeby w końcu się okazało, że męczyliśmy się na próżno?

- Macie lepsze wyjście? Kacie w ogóle dokąd iść? Co wam może zaszkodzić, jeśli pójdziecie z nami i przekonacie się?

Mężczyzna popatrzył na Johna wciąż wrogo nastawiony, ale zbity z tropu. W końcu odwrócił się do swoich ludzi.

- Co o tym myślicie? - zapytał ich,

Zanim ktokolwiek się odezwał, mógł odczytać odpowiedź z wyrazu ich twarzy.

- Nie zaszkodzi iść i zobaczyć - powiedział ciemnowłosy, krępy mężczyzna. Rozległ się pomruk aprobaty. Człowiek z czerwoną twarzą odwrócił się z powrotem do Johna.

- W porządku - powiedział. - Może nam pan pokazać drogę do tej doliny pańskiego brata. Zobaczymy, co o tym myśleć, kiedy tam dojedziemy. A tak w ogóle gdzie to jest?

Nieprzygotowany, żeby wyjawić położenie Ślepej Doliny czy choćby wymienić jej nazwę, John próbował znaleźć wymijającą odpowiedź, kiedy wytrącił się Pirrie :

- To już nie pański interes - oświadczył chłodno. - Pan Custance tu rządzi. Niech pan robi, co on każe, a wszystko będzie dobrze.

Ann wyrwał się okrzyk konsternacji. John nie umiał sobie wytłumaczyć tego zuchwalstwa, zarówno w treści, jak i w sposobie mówienia; to mogło tylko utwierdzić przywódcę obcej grupy we wrogim nastawieniu. Chciał powiedzieć coś, co złagodziłoby ostrość tej uwagi, ale powstrzymała go świadomość, że ma nie wielkie szanse naprawy sytuacji. Poza tym pokładał w Pirrie'm zaufanie. Pirrie Niewątpliwie wiedział, co robi.

- A więc to tak? - zawołał mężczyzna, - Mamy robić to, co nam każe pan Custance? Lepiej zastanówcie się nad tym dobrze, i mojej grupie ja wydaję rozkazy, i to dotyczy również was, jeśli się przyłączycie.

- Jest pan silnym mężczyzną - zauważył Pirrie tonem obserwacji - ale w sytuacji konieczne jest myślenie. A z tym, jak widzę, nie jest u pana najlepiej.

Mężczyzna z czerwoną twarzą odezwał się cichym głosem, nie pasującym do treści wypowiedzi.

- Nie zamierzam pozwalać na wszystko małym skurwysynom tylko dlatego, że są mniejsi ode mnie. Teraz nie ma już ze rogiem żadnych policjantów. Teraz je ustanawiam prawa, a jedno z nich mówi, że ludzie w moim otoczeniu mają trzymać język za zębami.

Kończąc przemowę dotknął rewolweru za pasem, żeby podkreślić swoje słowa. Pirrie natychmiast podniósł swój karabin. Mężczyzna, teraz już na serio, zaczął wyciągać rewolwer. Ale lufa tkwiła jeszcze na pasem, kiedy Pirrie strzelił. Z tej odległości siła uderzenia była tak wielka, że uniosła mężczyznę w górę i odrzuciła do tyłu. Upadł na ziemię. Pirrie stał spokojnie, trzymając karabin w gotowości.

Jedna z kobiet krzyknęła. Spojrzenie Johna skupiło się na mężczyznach stojących naprzeciwko. Zwalczył w sobie impuls, żeby także podnieść strzelbę, i z zadowoleniem zauważył, że Roger również nie wykonał żadnego ruchu. Kilku spośród obcych niepewnie próbowało sięgnąć po broń, ale wypadek - wydarzył się zbyt szybko i

stanowił dla nich zbyt duże zeskoczenie. Jeden z nich na pół uniósł swoją strzelbę; Pirrie, nie zmieszany, wycelował w niego karabin i mężczyzna opuścił broń.

John powiedział: - Szkoda, że tak się stało. - Zerknął na Pirrie'go. - Ale sam powinien wiedzieć, że nie należy grozić uzbrojonym ludziom, jeśli się nie ma pewności, że się potrafi szybciej od nich strzelać. No, w każdym razie podtrzymujemy ofertę. Każdy, kto chce przyłączyć się do nas i iść do doliny, jest mile widziany.

Jedna z kobiet przyklęknęła obok ciała mężczyzny. Podniosła wzrok.

- Nie żyje.

John lekko skinął głową. Spojrzał na pozostałych.

- Czy już się zdecydowaliście?

Krępy mężczyzna, który przedtem zabierał głos, powiedział:

- Myślę, że sam się o to prosił. W porządku, idę z wami. Nazywam się Parsons - Alf Parsons.

Powoli, niemal z namaszczeniem Pirrie opuścił karabin. Podszedł do ciała i wyciągnął rewolwer zza pasa. Ujął go za lufę i podał Johnowi. Potem zwrócił się do pozostałych:

- Nazywam się Pirrie, a to jest pan Buckley, na prawo ode mnie. Jak powiedziałem, pan Custance tutaj dowodzi. Ci, którzy pragną przyłączyć się do naszej grupy, niech podejdą, podadzą rękę panu Custance i przedstawią się. W porządku?

Alf Parsons pierwszy wypełnił to polecenie, ale inni natychmiast ruszyli za nim. W tej chwili najwyraźniej powstał swoisty rytuał, Z czasem mógł przekształcić się w zwyczaj przyklękania ną jedno kolano, jednakże już teraz ten formalny uścisk dłoni był niewątpliwie oznaką hołdu.

Dla niego, zrozumiał John, wyznaczało to nową rolę, znamionowało wzmocnienie jego władzy. Najpierw przez przypadek został wybrany przywódcą niewielkiej grupy, a teraz przyjmował deklaracje lojalności ze strony obcych ludzi; to było coś zupełnie Innego, Zaczynał się tu formować system feudalnej władzy, i John ku swojemu zdziwieniu godził się na to, więcej: znajdował w tym przyjemność. Obcy po kolei potrząsali jego ręką i przedstawiali się: Joe Harris ... Jeff Arkwright ... Bill Riggs ... Andy Anderson ... Will Secombe ... Martin Foster.

Kobiety nie podawały mu ręki. Ich mężowie po kolei przedstawiali je Johnowi. Arkwright oznajmił: - Moja żona, Alice. — Riggs mruknął: - To moja żona, Sylvie. - Foster, siwiejący mężczyzna o wąskiej twarzy, machnął ręką; - Moja żona Hilda i moja córka, Hildegarda.

Alf Parsons dodał: - To jest żona Joe'go Ashtona, Emily.

Myślał, że lepiej się poczuje, kiedy wyjdzie z szoku. On jej nigdy dobrze nie traktował.

Wszyscy mężczyźni z oddziału Joe'go Ashtona wymienili z nim odcisk dłoni. Starszy człowiek z pierwszej grupy dotknął łokcia Johna.

- Czy teraz zmienił pan zdanie, panie Custence? - zapytał. - Możemy zostać z pana ludźmi?

John zrozumiał nagle, co czuje feudalny książę, posiadający absolutną władzę, który z czystej próżności udziela słabym swojego wsparcia. Odkąd wstąpił na tron, głos żebraka proszącego o pomoc stał się podwójnie słodki. To było zabawne.

- Możecie zostać - zgodził się. - Trzymaj. - Rzucił mu swoją strzelbę, - W końcu jednak zdobyliśmy broń dla ciebie.

Kiedy Pirrie zastrzelił Joe'go Ashtona, dzieci na moment zastygły w czujnej nieruchomości, która zastąpiła zwykły dziecięcy strach. Szybko jednak wróciły do zabawy. Teraz następna grupa dzieci zbliżyła się do nich i po najkrótszej z możliwych ceremonii zawarcia znajomości wzięła udział w grze,

- Nazywam się Noah Blennit, panie Custance - powiedział starszy mężczyzna - a to mój syn Arthur. Dalej, to moja żona Iris i moja siostra Nelly, moja młodsze córka Barbara i moja zamężna córka Katie. Jej mąż pracował na kolei i był na południu, kiedy pociągi stanęły. Jesteśmy panu bardzo wdzięczni, panie Custance. Będziemy dobrze służyć, każde z nas.

Kobieta, którą przedstawił jako Katie, spojrzała na Johna przymilnie i z obawą.

- Może wszyscy napilibyśmy się herbaty? Jak pan uważa? Mamy wielki garnek i mnóstwo herbaty, i trochę mleka w proszku, a obok w strumieniu jest woda.

- To byłby dobry pomysł - odparł John - gdyby w promieniu dwudziestu mil znalazły się chociaż dwa suche patyki,

Na jej twarzy niepewność i chęć przypodobanie się ustąpiły teraz wyrazowi nieśmiałego triumfu.

- To nic nie szkodzi, penie Custance. Mamy też na wózku prymus na naftę.

- W takim razie do dzieła, Wypijemy popołudniową herbatę, zanim ruszymy. - Spojrzał na ciało Joe'go Ashtona. Ale najpierw niech ktoś lepiej to uprzątnie.

Dwóch spośród dawnej grupy Joe'go Ashtona pospieszyło, żeby wypełnić jego polecenie.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy ruszyli ponownie, Pirrie przez jakiś czas szedł obok Johna; Jane, na gest Pirrie'go, trzymała się ostentacyjnie dziesięć kroków w tyle. John, jak poprzednio Joe Ashton, objął prowadzenie kolumny, które urosła teraz do imponującej liczby trzydziestu czterech ludzi - dwunastu mężczyzn, dwunastu kobiet i dziesięciorga dzieci. John wyznaczył trzech mężczyzn, którzy mieli iść z nim na czele grupy, i

pięciu, którzy zamykali pochód wraz z rvogerem. Co do Pirrie'go wydał specjalne polecenie. Pirrie mógł iść tak, jak mu było wygodnie.

Schodząc w dolinę wyprzedzili nieco pozostałych, a kiedy znaleźli się poza zasięgiem ich uszu, Jona zauważył:

- Poszło bardzo dobrze, ale to było trochę ryzykowne.

Pirrie potrząsnął głową. - Nie sądzę. Ryzykowne byłoby pozwolić mu żyć, i to ryzykowne na dłuższą metę. Nawet gdybyśmy zdołali go nakłonić, żeby pozwolił panu przejąć dowodzenie, nigdy nie moglibyśmy mu ufać.

John zerknął na niego. - Czy to takie ważne, kto nami kieruje? W końcu chodzi tylko o to, żeby cię dostać do Ślepej Doliny.

- To prawda, że to najważniejsze, ale uważam, że powinniśmy również zastanowić się, co będzie, kiedy już tam dojdziemy.

- Kiedy tam dojdziemy?

Pirrie uśmiechnął się, - Ta mała dolina pańskiego brata może być odizolowana i spokojna, ale i tak będzie musiała być przygotowana na ataki, choćby sporadyczne. Innymi słowy będzie w stanie oblężenie. Musi zatem istnieć coś w rodzaju prawa wojennego i ktoś kto by je egzekwował.

- Nie rozumiem, dlaczego. Jakiś rodnej komitetu, być może, i wybieralnymi członkami, którzy by podejmowali decyzje ... z pewnością to wystarczy?

- Sadzę, że czasy komitetów jut minęły - oświadczył Pirrie.

Jego słowa zabrzmiały jak echo własnych myśli Johna sprzed

paru minut, i dlatego odpowiedział gwałtowniej, niż zamierzał, niemal z gniewem:

- Więc powróciły czasy feudalnych władców? Tylko wtedy co tego dojdzie, jeżeli nami przestaniemy wierzyć, ze możemy rozwiązać wszystkie swoje problemy na drodze demokracji.

- Naprawdę pan tak myśli, panie Custence? - Pirrie podkreślił lekko słowo "pan" zaznaczając w ten sposób, że zauważył, iż od śmierci Joe'go Ashtona to wyrażenie stało się pewnego rodzaju

tytułem. Dla wszystkich poza Ann, Rogerem i Olivią John stał się teraz "panem Custence"; pozostali zwracali się do siebie po imieniu lub nazwisku, bez słowa "pan". Była to drobna, lecz znacząca różnica. Czy Devey, pomyślał John, odziedziczy po nim ten tytuł? przypadkowa mydl zadziwiła go.

- Nawet jeśli jedna osoba ma rządzić w dolinie, tą osobą będzie mój brat - powiedział krótko. - To jego ziemia i to on jest najbardziej właściwą osobą, żeby się o nią troszczyć.

Pirrie wzniósł ręce w geście żartobliwej rezygnacji. - Żegnajcie, komitety - zaintonował - nie będziemy po was płakać. To następna przyczyna, dla której pan musi kierować grupą aż do Ślepej Doliny. Ktoś inny niekoniecznie mógłby się z panem zgadzać tym punkcie.

Zeszli w dolinę mijając ślady zniszczenia widoczne również z góry, ale tu, na dole, szczegóły występowały z brutalną dokładnością. Jeśli byli jacyś uciekinierzy, to omijali ich z daleka; widok zbrojnej bandy nie zachęcał do szukania pomocy. W pobliżu ruin Sedbergh zobaczyli grupę mniej więcej tek liczną, jak ich własna, w pośpiechu opuszczającą miasto. Kobiety obwieszone były błyskotkami wyglądającymi na kosztowną biżuterię, a jeden mężczyzna niósł sztabki złota. Nawet kiedy John im się przyglądał, ów mężczyzna odrzucił część z nich jako zbyt ciężkie. Inny mężczyzna podniósł je, zważył w ręku i ponownie odrzucił ze śmiechem. Poszli dalej, omijając oddział Johna od wschodu, a złoto pozostało, połyskując tłusto na brązowej , ogołoconej z trawy ziemi.

Z samotnej farmy, którą mijali kierując się do doliny Lunę, dobiegł ich krzyk, wysoki i nieustający, który zaniepokoił dzieci i kilka spośród kobiet. Przed domem spacerowało dwóch czy trzech uzbrojonych mężczyzn. John przeprowadził swoją grupę obok nich i jakimś czasie krzyki ucichły w oddali.

Na przedmieściach Sedbergh skręcili z drogi i Blennitowie musieli zostawić swój wózek. Jego zawartość rozdzieliło między siebie sześcioro dorosłych. Były to niewygodne do niesienie pakunki i odtąd Blennitowie w widoczny sposób nie nadążali za resztą. Nie ukrywali swojej ulgi, kiedy John zarządził postój wysoko w górze doliny Lune, na skraju wrzosowisk. Deszcz ustał na dobre, chmury przerzedziły się i pozostały tylko cirrusy płynące po niebie na znacznej wysokości. Nad zachodnim, wyższym krańcem wrzosowisk przeświecało przez nie zachodzące słońce.

- Rano przejdziemy przez wrzosowiska - oznajmił John. - Według moich obliczeń nie jesteśmy dalej, niż dwadzieścia pięć mil od doliny, ale droga będzie dość trudna. Mimo wszystko mam nadzieję, że do jutra wieczór będziemy na miejscu. Na dzisiejszą noc ...- wskazał na dom z powybijanymi oknami stojący przed nimi na niewielkim wzniesieniu - to wygląda obiecująco. Pirrie, proszę wziąć paru ludzi i przeprowadzić rozpoznanie, dobrze?

Pirrie bez wahanie wybrał Alfa Parsonsa i Billa Riggsa, a oni zaakceptowali jego wybór bez słowa, zerknąwszy jedynie na Johna dla uzyskanie potwierdzenia. Trzej mężczyźni podeszli do domu. Kiedy zbliżyli się na odległość jakichś dwudziestu jardów, Pirrie gestem nakazał im ukryć się w płytkim rowie. Sam, celując bez pośpiechu, strzelił w okno na piętrze. Usłyszeli jedynie huk wystrzału i cichy brzęk spadającego szkła. Nastąpiła cisza.

Po minucie mała figurka Pirrie'go podniósł się i ruszyła w stronę domu. Gdyby nie karabin pod pachą, wyglądałby całkiem jak urzędnik z administracji przeprowadzający powierzchowną kontrolę. Doszedł do drzwi i najwidoczniej zobaczył, że są uchylone, bo otworzył je

kopnięciem prawej nogi. Potem znikł w środku.

Ponownie John uświadomił sobie ze wstrząsem, jak niebezpiecznym przeciwnikiem byłby Pirrie, gdyby jego ambicją było bezpośrednie sprawowanie wiedzy zamiast umacniania władzy innych. Wszedł do tego domu sam jeden, chociaż nie mógł być pewny, że nie ma tam nikogo. Chyba wcale nie miał nerwów w każdym razie trudno by było sobie wyobrazić sytuację, w której nerwy by go zawiodły.

W oknie na piętrze pokazała się twarz - twarz Pirrie'go - i znikła. Czekali. Wreszcie Pirrie wyszedł z frontowych drzwi. Spokojnie ruszył ścieżką z powrotem, a dwaj mężczyźni podnieśli się i dołączyli do niego. Razem podeszli do Johna.

John zapytał: - I jak? O.K.?

- Wygląda zadowalająco. Nawet nie ma żadnych ciał. Właściciele musieli się wynieść przed nadejściem szabrowników.

- Został splądrowany?

- Tak jakby. Ale raczej nie przez zawodowców.

- Więc w nocy będziemy mieli dach nad głową - stwierdził John,

- Łóżka powinny wystarczyć dla dzieci. Reszta może spać na podłodze.

Pirrie przyjrzał mu się rozważając coś w głowie. - Trzydzieści cztery osoby. To niezbyt duży dom. Jane i ja zaryzykujemy chyba narażenie się na niepogodę. - Skinął na nią ręką i Jane podeszła do niego. Jej raczej głupkowata, wiejska twarz nie wyrażała nic poza poddaniem się nieuchronności, Pirrie wziął ją za ramię i uśmiechnął się. - Tak, myślę, że tak zrobimy.

- Jak pan sobie życzy - mruknął John. - Mogę pana na tę noc zwolnić z obowiązku warty.

- Dziękuję panu - odpowiedział Pirrie. - Dziękuję, panie Custance.

John znalazł na piętrze pokój z dwoma małymi łóżkami i zawołał Davey'a i Mary, żeby je wypróbowali. Na półpiętrze znajdowała się łazienka, w której wciąż była bieżąca woda, więc wysłał tam oboje nakazując im się umyć. Kiedy odeszli, usiadł na łóżku i spoglądał przez okno wychodzące na dolinę i Sedbergh. Wspaniały widok. Ktokolwiek tu mieszkał, z pewnością był do niego bardzo przywiązany - co dowodziło jeśli w ogóle dowód taki był potrzebny, że duchowe dziedzictwo można było tak samo łatwo utracić, jak materialną własność.

Jego krótką zadumę przerwało wejście Ann. Wyglądała na zmęczoną. John wskazał jej drugie łóżko.

- Odpocznij - powiedział, - Wysłałem dzieciaki, żeby doprowadziły się do porządku.

Zamiast go posłuchać stanęła w oknie i wyjrzała na zewnątrz.

- Wszystkie kobiety zadają mi pytania - odezwała się, - Jakie mięso ugotujemy...? Czy możemy zużyć wszystkie ziemniaki licząc na to, że

jutro znajdziemy więcej...? Czy mamy je obrać, czy ugotować w mundurkach,.,? Dlaczego je mam to wiedzieć?

Popatrzył na nią. A dlaczego nie?

- Dlatego, że jeśli nawet tobie odpowiada, że jesteś tu panem i władcą, to nie znaczy, że Je chcę być panią.

- Wobec tego zostawiłaś je?

- Powiedziałem im, żeby ze wszystkimi pytaniami zwracały się do Olivii.

John uśmiechnął się. - Przekazałaś odpowiedzialność. Jak mądra pani domu.

Ann zamilkła na chwilę; potem zapytała: - Czy to wszystko było potrzebne - przyłączać się do tych ludzi, tworzyć całą armię?

John potrząsnął głową, - Nie, nie wszystko. Blennitowie wcale byli potrzebni - ale to ty chciałaś ich zabrać, prawda?

- Nie chciałam tego. Po prostu nie mogłem zostawić dzieci. I nie chodzi mi o nich - chodzi mi o tych innych.

- Z Blennitami - tylko z Blennitemi - mielibyśmy jeszcze mniejsze szanse, żeby przedostać się przez tę dolinę, Z pozostałymi dokonamy tego bez trudności.

- Prowadzeni przez generała Custance, i w asyście jego głównego, utalentowanego mordercy, Pirrie’go.

- Nie doceniasz Pirrie’go, jeśli myślisz, że jest tylko mordercą .

- Nie. I nie obchodzi mnie, jaki jest wspaniały. Jest mordercą i nie znoszę go.

- Ja też jestem mordercą. - Zerknął na nią spod oka. - Wielu
z nas jest mordercami, chociaż nikt nie myślał, że do tego dojdzie.

- Nic musisz mi o tym przypominać. Ale Pirrie jest inny.

John wzruszył ramionami. - Potrzebujemy go - dopóki nie dojdziemy do Ślepej Doliny.

- Przystań to powtarzać!

- To prawda.

- Johnn. - Ich oczy się spotkały. - Chodzi o sposób, w jaki on ciebie zmienia. To okropne. Robi z ciebie jakiegoś szefa gangsterów. Dzieci zaczynają się ciebie bać.

- Jeśli się zmieniłem - odparł Johnn ponuro. - to pod wpływem czegoś bardziej bezosobowego, niż Pirrie.To rodzaj życia, jaki musimy prowadzić. Pragnę zapewnić nam bezpieczeństwo, nam wszystkim,i nic nie zdoła mnie przed tym powstrzymać. Nie wiem czy zdajesz sobie sprawę, jakie mieliśmy szczęście, że udało nam się dotrzeć tak daleko. Dziś po popołudniu ta dolina przypominała pole bitwy - ale to tylko drobna potyczka porównaniu z tym, co się dzieje na południu. Doszliśmy tak daleko, i mamy przed sobą prostą drogę – ale nie możemy spocząć, dopóki nie będziemy na miejscu.

- A kiedy już tam będziemy?

- Mówiłem ci - powtórzył cierpliwie - nauczymy się znów żyć normalnie. Chyba sobie nie wyobrażasz, że to wszystko mi się podoba?

- Nie wiem, - Wyjrżała przez okno i rozejrzała się wokoło. -

Gdzie jest Roger?

- Roger? Nie mam pojęcie.

- On i Olivia musieli na zmianę nieść Steve' a, odkąd ty byłeś taki Zajęty dowodzeniem. Zostali z tyłu. Zanim doszli do domu, wszystkie miejsca do spania poza zmywalnią naczyń były już zajęte.

- Dlaczego nie przyszedł z tym do mnie?

- Nie chciał ci przeszkadzać. Kiedy zawołałeś Davey'a, Spooks został na dole. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby pójść z nim, tak samo, jak Davey nie ośmielił się o to poprosić. To właśnie miałam na myśli mówiąc, że dzieci zaczynają się ciebie bać,

John nie odpowiedział, ale wyszedł z pokoju i zawołał ne dół schodów:

- Rodge! Chodź ne górę, stary. Oczywiście z Olivią i z dziećmi.

Za nim Ann powiedziała: - Teraz okazujesz im łaskę. Myślę, że nic nie możesz nic na to poradzić.

John odwrócił się do niej i gwałtownie złapał ją za ramiona.

- Jutro wieczorem to wszystko się skończy. Przekażę sprawy Davidowi i zacznę się od niego uczyć, jak hodować ziemniaki i buraki. Będziesz widziała, jak zamieniam się w tępego, ospałego, starego farmera o brudnych rękach. Czy to cię zadowoli?

- Gdybym tylko mogła to uwierzyć ...

Pocałował ją. - Możesz.

Wszedł Roger, a za nim Steve i Spooks. John zawołał:

- Co wy wyprawiacie, do diabła? Chcecie spać w zmywalni? Przecież tutaj jest mnóstwo miejsca. Możemy zsunąć te łóżka razem i położyć na nich dzieciaki. Dla nas zostaje wygodna podłoga. W sypialniach są zupełnie nowe dymany - nasi gospodarze musieli być

przyzwyczajeni do luksusu. A w tej szafie są koce.

Jeszcze kiedy mówił, zdał sobie sprawę, że jego ton jest zbyt przyjacielski i rubaszny - ton człowieka próbującego ośmielić swoich podwładnych. Ale nie można było tego zmienić. Stosunki między nim a Rogerem zmieniły się i nie leżało w ich mocy przywrócić im my, przyjacielski charakter.

Roger powiedział: - To bardzo miło z twojej strony, Johnny.

Bawialnia jest całkiem przyjemnym miejscem, ale trochę śmierdzi karaluchami. Wy dwaj możecie iść i stanąć w kolejce do łazienki.

Od okna odezwała się Ann; - O, idą.

- Idą? - zapytał John. - Kto?

- Pirrie i Jane - przypuszczam, że na przechadzkę przed obiadem.

W tym momencie do pokoju weszła Olivia. Zaczęła coś mówić, spojrzała na Johna i urwała, Roger zaśmiał się:

- Pirrie w zalotach. Jest bardzo żwawy jak na swój wiek.

Ann zawróciła się do Olivii: - Ty masz noże. Dopilnuj, żeby Jene dostała ostry, kiedy wróci na kolację, i powiedz jej, że nie od razu go oddawać.

- Nie! - Johnowi mimo woli wyrwał się ostry okrzyk protestu, Złagodził głos: - Potrzebujemy Pirrie'go. Dziewczyna ma szczęście, że się nią zajął. Ma szczęście, że w ogóle żyje.

- Myślałam że mamy już przed sobą prostą drogę - upierała się Ann. - Myślałam, że jutro wieczorem wszystko wróci do normy. Czy naprawdę uważasz,że Pirrie jest niezbędny dla naszego bezpieczeństwa, czy też doszło już do tego, że zacząłeś go cenić dla jego nielicznych zalet?

- Powiedziałem ci - John mówił ze znużeniem - nie chcę się na nic narażać. Być może jutro nie będziemy potrzebować Pirrie'go, ale to nie znaczy, że ucieszył mnie twój pomysł zachęcania dziewczyny, żeby w nocy podcięła mu gardło.

- Może spróbować na własną rękę - zauważył Roger.

- Jeśli to zrobi - zapytała Ann - co ty zrobisz, John? Skazujesz ją na śmierć za zdradę stanu?

- Nie. Zostawię ją tutaj.

Ann spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami - Chyba naprawdę mógłbyś to zrobić!

Olivia po raz pierwszy zabrała głos: - On zabił Millicent.

- Ale go nie zostawiliśmy? - Z rozdrażnieniem mówił dalej ; - Nie rozumiecie, że prawo i sprawiedliwość nie będą działać, dopóki nie odgrodzimy się murem od barbarzyńców? Pirrie jest pożyteczniejszy, niż ktokolwiek z nas. Jane, podobnie jak Blennitowie, jest tylko pasażerem, ciężarem. Może zostać tak długo, dopóki zachowuje się poprawnie, ale ani chwili dłużej, jeśli postąpi niewłaściwie.

Ann odezwała się: - Oto prawdziwy przywódca. Zwróćcie uwagę nr jego poczucie odpowiedzialności, najbardziej uderzające, kiedy przekonuje nas, że to, co mówi, jest słuszne, ponieważ on to mówi, John zaprzeczył gorąco: - To jest słuszne niezależnie od tego, kto to mówi. Możesz znaleźć jakikolwiek argument, żeby temu zaprzeczyć?

- Nie, - Popatrzyła, na niego. - Nie taki, który ty byś wziął poć uwagę.

- Rodge! - zaapelował do przyjaciela, - Ty się z tym zgadzasz, prawda?

- Tak, zgadzam się, - Niemal przepraszającym tonem dodał: - Ale zgadzam się również z tym, co mówi Ann. To nie twoja wina, Johnny. Wziąłeś na siebie obowiązek przeprowadzenia nas przez wszystkie niebezpieczeństwa i ten obowiązek musisz stawiać na pierwszym miejscu. A Pirrie okazał się właśnie człowiekiem, na którym możesz polegać.

Chciał już dalej z nimi się spierać, kiedy pochwycił wyraz ich twarzy. Było coś w sposobie, w jaki zebrali się wokół niego. Coś mu to przypominało. Tak samo stali kiedyś w przeszłości - na brzegu morze czy też na moście któregoś wieczora. To wspomnienie uderzyło go przypominając mu nagle, kim jest i kim są oni - Ann, jego żona, Roger i Olivia, jego najbliżsi przyjaciele.

Zawahał się i w końcu powiedział:

- Tak, chyba macie rację. Posłuchajcie - Pirrie nic mnie, nie obchodzi.

- Chyba jednak obchodzi - sprzeciwił się Roger, - Obchodzi cię czy dojdziemy do doliny, i dlatego Pirrie jest ważny. Nie tylko z powodu swojej użyteczności. Johnny, powtarzam jeszcze raz,że nie krytykuję niczego, co robisz. Sam nie potrafiłbym kierować tą syyuacją,bo nie mam dość wytrwałości. Ale gdybym był na twoim miejscu , czułbym to samo do Pierrie'go.

Zanim John odpowiedział, upłynęła długa chwila.

- Im szybciej tam się zajdziemy, tym lepiej - stwierdził. - Przyjemnie będzie znowu prowadzić normalne życie.

Olivia spojrzała na niego. Jej oczy w pełnej, szerokiej twarzy wyrażały nieśmiałą wątpliwość.

- Jesteś pewny, że będziesz tego chciał, Johnny?

- Tak. Całkiem pewny. Ale gdyby to miało potrwać jeszcze przez miesiąc, a nie tylko jeden dzień, nie byłbym już taki pewny.

Ann wyszeptała: - Popełnialiśmy straszliwe czyny. Niektórzy z nas być może mają więcej na sumieniu od innych, ale wszyscy w jakimś stopniu jesteśmy winni - choćby tylko godząc się na to, co dał nam Pirrie. Wątpię, czy kiedykolwiek będziemy mogli o tym zapomnieć.

- Najgorsze już za nami - oświadczył John. - Teraz droga jest łatwa i proste.

Mary i Devey wyskoczyli z łazienki i ze śmiechem wpadli do pokoju. Zachowywali się zbyt hałaśliwie.

John powiedział: Cisza, wy dwoje.

Mówił swoim zwykłym tonem. Dawniej te słowa nie wywarłyby żadnego efektu albo bardzo niewielki. Teraz oboje natychmiast ucichli i stali wpatrując się w niego. Ann, Roger i Olivia również to obserwowali.

Pochylił się do Davey' a. - Jutro wieczorem będziemy już u wujka Davida. Fajnie będzie, nie?

Davey odpowiedział: - Tak, tato.

Ton jego głosu był dość entuzjastyczny, ale entuzjazm został stłumiony przez przesadny szacunek.

Nad ranem Johna obudził odgłos wystrzału i kiedy usiadł, usłyszał jeszcze jeden strzał gdzieś z zewnątrz. Podniósł się szukając rewolweru i zawołał Rogera. Usłyszał, że Roger wymamrotał coś w odpowiedzi.

Ann odezwała się: - Co się dzieje?

Pewnie nic wielkiego. Może jakiś włóczęga szukał łatwej zdobyczy. Ty i Olivie zostańcie tu i zajmijcie się dziećmi. My pójdziemy zobaczyć, co się stało.

Wartownik miał obowiązek patrolować otoczenie domu, ale John zobaczył, że Joe Harris, który właśnie pełnił służbę, wygląda przez frontowe okno na parterze Harris był chudym, ciemnym mężczyzną z gęstym zarostem. Jego oczy zalśniły w świetle księżyca zaglądającym przez okna.

- Go się dzieje? - zapytał go John.

- Zobaczyłem ich, kiedy byłem na zewnątrz - odpowiedział Harris - Szli w górę doliny od strony Sedbergh. Pomyślałem, że najlepiej będzie nie zwracać ich uwagi na wypadek, gdyby tylko przechodzili obok, więc wszedłem do domu i stąd ich obserwowałem.

- No i co?

- Skręcili w stronę domu, Kiedy upewniłem się, że tu idą, wypaliłem do pierwszego z przodu.

- Trafiłeś go?

- Nie, nie przypuszczam. Któryś z nich strzelił w odpowiedzi, a potem ukryli się w krzakach. Ciągle tam są, panie Custence.

- Ilu ich jest?

- Trudno powiedzieć przy tym oświetleniu. Może być tuzin, może więcej.

- Aż tylu?

- Dlatego miałem nadzieję, że nas ominą.

John zawołał: - Rodge!

- Tak? - Roger stał w drzwiach. Oprócz niego w pokoju byli inni, ale zachowywali się cicho.

- Czy wszyscy wstali?

- Trzech czy czterech Jest tu w hallu.

W pobliżu Johna rozległ się głos Noaha Blennita:

- Jo i Arthur tu jesteśmy, panie Custence.

John zwrócił się do Rogera: - Wyślij jednego do tylnej sypialni pod okno, żeby ciał oczy otwarte w razie, gdyby spróbowali włamać się od tamtej strony. Dalej dwóch w sypialniach od frontu. Noah, możesz zająć swoje miejsce przy drugim oknie na parterze.

Dam wam czas, żebyście zajęli stanowiska. Potem, kiedy krzyknę, wystrzelimy razem w ich kierunku. To noże zrobić na nich dostateczne wrażenie, żeby się wynieśli. Jeżeli to nie podziała, niech każdy wybierze sobie cel. Mamy przewagę miejsca. Kobiety i dzieci niech się oczywiście trzymają z dala od okien.

Usłyszał, że się rozchodzą w miarę, jak Roger przekazywał im jego instrukcje. Gdzieś za nim w głębi pokoju dziecięcy głos zaczął płakać: Bessie Blennit. Obejrzał się i zobaczył ją siedzącą na

zaimprowizowanym posłaniu; metka uspokajała Ją siedząc obok.

- Lepiej zabrać ją stąd do tylnych pokoi - powiedział. Tam nie będzie tak głośno.

Zdziwiło go łagodne brzmienie własnego głosu. Katie Blennit odpowiedziała:

- Tak, zabiorę ją, penie Custance. Ty też chodź, Wilf. Wszystko będzie dobrze. Pan Custance się wami zaopiekuje.

John zwrócił się do pozostałych kobiet: - Wy również możecie wszystkie iść na tyły domu.

Ukląkł obok Joe ‘go Harrisa.

- Widzisz jakieś poruszenia?

- Wydawało mi się, że coś widziałem. Te cienie mylą wzrok.

John popatrzył na ogród zalany blaskiem księżyce. Na niebie ciężkim od gwiazd nie było ani jednej chmurki - przypadek niekorzystny dla obu stron. Światło księżyca dawało obleganym znaczną przewagę, ale gdyby było ciemno, maruderzy prawdopodobnie nie zauważaliby domu, stojącego na wzniesieniu i z dala od drogi.

Wydało mu sin, że cień się poruszył, a po chwili wiedział już, że miał rację. Ktoś skradał się nie dalej, niż piętnaście jardów od domu. John krzyknął najgłośniej, jak mógł:

- Teraz !

Chociaż uważał, że ma niewielkie szanse trafić kogoś z rewolweru, wycelował w poruszający się cień i strzelił przez otwarte okno. Jego wystrzałowi towarzyszyła nierównomierne salwa, która jednak nie przeszła bez wrażenia. Usłyszał okrzyk bólu; ciemna sylwetka zatoczyła się i upadła ciężko na ziemię, John zanurkował za parapet okna spodziewając się odpowiedzi, ale rozległ się tylko jeden wystrzał i sącząc z odgłosu kula uderzyła w ścianę. Potem słychać było tylko mamrotanie głosów i jęki trafionego mężczyzny.

Siła ognia musiała być dla nich niemiłym zaskoczeniem. Nie mogli spodziewać się, że samotny dom, teki jak ten, jest tak mocno broniony. Próbując postawić się na miejscu ich przywódcy John doszedł do wniosku, że natknąwszy się na teki opór wolałby raczej wycofać swoich ludzi przy najmniejszych możliwych stratach.

Z drugiej strony, wciąż uwzględniając ich punkt widzenia, był w tym pewien haczyk. Księżyc oczywiście oświetlał obrońców; ale było też wystarczająco jasno, żeby napastnicy stanowili łatwy cel, gdyby spróbowali nagle się wycofać. John wpatrzył się w nocne niebo szukając chmur. Gdyby miały przesłonić księżyc, zdrowy rozsądek nakazywał wstrzymać się do tego czasu, Ale wszędzie jasno błyszczały gwiazdy.

Dalej należało wziąć pod uwagę fakt, że gdyby obrońcy zostali pokonani, napastnicy mogliby zdobyć sporą ilość broni wraz z amunicją. Broń była warta ryzyka, A było wysoce prawdopodobne, że

napastnicy mieli przewagę zarówno ilościową, jak i w uzbrojeniu.

Doszedł do wniosku, że cała demonstracja ich siły była taktycznym błędem. Dwa lub trzy strzały zamiast siedmiu prędzej zniechęciłyby ich do ataku. Pirrie mógłby ... Przypomniał sobie, że Pirrie był gdzieś na zewnątrz i cieszył się swoją nocą poślubną.

Do tego czasu wszystkie dzieci musiały się już obudzić, ale nadal zachowywały się cicho. Usłyszał, że ktoś schodzi ze schodów. Roger zawołał go zniżonym głosem:

- Johnny!

- Tek? - Nie odrywał oczu od ogrodu.

- Co dalej? Jeden gość sterczy tam jak bolący palec. Czy możemy zacząć ich wykruszać, czy też chcesz im dać szansę ucieczki?

John niechętnie myślał o tyra, że znowu oni pierwsi otworzą ogień. Tamci poznali już ich siłę. Dalsza strzelanina oznaczałaby marnowanie cennej amunicji bez żadnej praktycznej korzyści.

- Czekajcie - nakazał. - Dajmy im jeszcze trochę czasu.

Roger zapytał : - Czy myślisz ...

W zalanym światłem księżycowym ogrodzie jakiś głos wrzasnął:

- Dalej w nich!

John odruchowo skoczył za parapet kiedy salwa karabinowa uderzyła w ściany domu. Szkło posypało się z brzękiem protestu. Z góry usłyszał, że jogo ludzie odpowiadają strzałami .

Zawołał do Rogera: - W porządku! Wracaj na górę i powiedz im, żeby zachowali ostrożność. Jeśli ta banda zmieni zdanie i będzie chciała się wycofać, pozwólcie im odejść.

Tym razem jedno z dzieci zaczęło płakać cienkim , przestraszonym głosem. John niezbyt optymistycznie zapatrywał się na możliwość wycofania się atakujących. Przypuszczalnie rozważyli wszystkie za i przeciw, tak jak on sam to zrobił, i zdecydowali, że najlepszym wyjściem będzie wznowienie ataku.

Kiedy strzelanina na chwilę się urwała, zawołał w głąb ogrodu:

- Nie chcemy żadnych kłopotów! Wstrzymamy ogień, jeśli się wyniesiecie!

Miał dość rozsądku, żeby najpierw przycisnąć się do ściany pobliżu okna. W odpowiedzi na jego słowa dwie lub trzy kule uderzyły w przeciwległą ścianę pokoju. Jakiś człowiek zaśmiał się i John wystrzelił w kierunku, skąd dochodził ten śmiech. Przez cały czas trwałe sporadyczna wymiana strzałów.

Wpatrując się intensywnie w ciemność John dostrzegł jakąś sylwetkę czerniejącą w cieniu i ponownie dał ognia. Coś przeleciało w powietrzu, uderzyło w ścianę domu i upadło na ziemię niedaleko od okna, w którym stał Joe Harris.

John wrzasnął - Na dół, Joe!

Eksplozja wstrząsnęła budynkiem wymiatając resztki szkła z okien,

ale poza tym nie sprawiła żadnej szkody, Z wnętrza domu odpowiedział grzechot wystrzałów.

Granaty, pomyślał czując, jak nogi się pod nim uginają - dlaczego te, możliwość nie przyszłe mu do głowy? Większość broni, która obecnie rozprzestrzeniała się po całym kraju, pochodziła z baraków wojskowych, a granaty z pewnością były równie przydatne, wobec tego było zupełnie możliwe, że ci ludzie to żołnierze; ich opanowanie wskazywało na zawodowe przygotowanie do walki.

Bez wątpienia granaty przeważały szalę na stronę atakujących. Pierwszy nie trafił i mogło to się powtórzyć jeszcze kilka razy, ale w końcu zdołają wrzucić je do środka i zdobędą jeden pokój za drugim. Sytuacja nagle się zmieniła. Niemal u progu doliny spotkała go klęska; mógł się spodziewać, że zginie, on i wszyscy z jego grupy.

- Idź na górę i powiedz im, żeby ani na chwilę nie przerywali ognia - nakazał pośpiesznie Harrisowi. - Ale niech celują, a nie strzelają na oślep. Jak tylko zobaczą, że ktoś podnosi rękę, niech koncentrują ogień na nim. Jeśli nie obronimy się przed granatami, jesteśmy załatwieni,

- Tak jest, panie Custance - odpowiedział Joe.

Nie wyglądał na szczególnie przestraszonego; albo brakowało mu wyobraźni, żeby zrozumieć, co znaczyły dla nich granaty, albo też ślepo wierzył w Johna. Pirrie zrobił dobrą robotę wpajając im tak wielki szacunek dla przywódcy, ale John wolałby, żeby zamiast tego Pirrie był przy jego boku. Gdyby w tych warunkach ktokolwiek z nich trafił, byłby to szczęśliwy przypadek; natomiast Pirrie bez trudności wyłuskałby z mroku sylwetki napastników.

John ponownie strzelił do poruszającego się cienia, a z góry rozległy się kolejne strzały. Potem na zewnątrz nastąpiła szybka seria wystrzałów, skoncentrowane na jednym z okien sypialni. Jednocześnie w innej części ogrodu ręka podniosła się i następny granat wyleciał w powietrze. Ponownie uderzył w ścianę domu i upadł bezsilnie, John wycelował w miejsce, skąd wyrzucono granat. Wokół trwałe bezładna strzelanina we wszystkich kierunkach. Zagłuszył ją krzyk urwany w połowie. Krzyk dochodził z ogrodu. Ktoś trafił następnego z atakujących!

To dodawało otuchy, ale poza tym było bez znaczenia. Nie zwiększało możliwości wydostania się z pułapki. John wystrzelił kolejny nabój i kucnął na parapecie, kiedy w odpowiedzi kule przeleciała mu nad głową. Wątpliwe, żeby ludzie ne zewnątrz dali się zniechęcić dwoma szczęśliwymi strzałami,

Nawet kiedy po dalszej wymianie strzałów ujrzał ponownie unoszącą się rękę z granatem, a potem zobaczył, że ręka, zamiast rzucić granat, opada bezwładnie - na-wet wtedy ten widok nie rozbudził w nim nadziei, a tylko wywołał uczucie ponurej satysfakcji. Dwie sekundy później granat wybuchnął i zapoczątkował serię eksplozji, co było

widomym znakiem, że ten, kto go trzymał, miał tego więcej.

W ogrodzie rozległy się okrzyki i kilka wrzasków bólu, John wypalił w ich kierunku, a inni poszli za jego przykładem. Tym razem nie było odpowiedzi .

A jednak, mimo wszystko, owładnęły nim zdziwienie i ulga, kiedy ujrzał nisko skulone postacie podnoszące się spod osłony gruntu i zbiegające w dół zbocze ku dolinie. Postacie trzymały się blisko przy ziemi. John i pozostali oddali za nimi parę strzałów i próbowali je policzyć w miarę, jak się wycofywały. Gdzieś pomiędzy dziesięcioma a dwudziestoma - nic licząc dwóch ozy trzech, którzy pozostali.

Wszyscy stłoczyli się w pokoju - kobiety i dzieci razem z mężczyznami. W słabym świetle John widział ich twarze, odprężone i uradowane. Wszyscy gadali jeden przez drugiego. Musiał podnieś głos, żeby go usłyszeli.

- Joe! Masz jeszcze pół godziny warty. Na resztę nocy podwajamy straż. Noth, dołączysz do Joe’go. Potem będzie Jess z Rogerem i Andy z Alfem. Ja obejmę kolejkę z Villem. I od tej chwili najpierw podnoście alarm , a potem zaczynajcie się zastanawiać co to może być.

Joe Harris usprawiedliwiał się: - Proszę zrozumieć, panie Custance, miałem nadzieję, że nas ominą.

- Tak, wiem - odparł John. - Reszta może już wracać do łóżka.

Alf Parsons zapytał: - Widzieliście jakiś ślad Pirrie’go i Jego kobiety?

John usłyszał głos Olivii: - Jane ... tam na zewnątrz ...

- Znajdą się - oświadczył. - Teraz wracajcie do łóżek.

- Jeśli wpadli na tę bandę, to mogą nie wrócić - zauważył

Parsons.

John podszedł do okna i zawołał: - Pirrie! Jane!

Nadsłuchiwali w milczeniu. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. W księżycowej poświacie ogród wyglądał jak pokryty szronem.

- Czy mamy iść ich poszukać? - zapytał Parsons.

- Nie - zdecydował John, - Dziś w nocy niech nikt się stąd nie rusza. Przede wszystkim nie wiemy, jak daleko odeszli ci chłopcy

z granatami i czy odeszli na dobre. Teraz do łóżek. Wyjdźmy najpierw z tego pokoju i pozwólmy Blennitom się położyć. Chodźmy. Musimy wypocząć przed jutrzejszym dniem.

Wszyscy wyszli w milczeniu, choć z pewnym ociąganiem. Ann, Olivia i dzieci poszły na górę, a John z Rogerem ruszyli ze nimi.

Na górze John wszedł do obieralni, a Roger zaczekał na niego półpiętrze.

- Obawiałem się, że w końcu to nas spotka - powiedział.

- Granaty? Tak,

- Myślę, że naprawdę mieliśmy szczęście.

- Nie całkiem to rozumiem. Rzeczywiście mieliśmy szczęście,

że trafiliśmy tego gościa, kiedy jeszcze trzymał granat. To musiało nim nieźle wstrząsnąć. Ale nadal jestem zdziwiony, że poruszyło to ich na tyle, żeby zwinęli manatki. Nie spodziewałem się tego.

Roger ziewnął. - W każdym razie zwiali. Co myślisz o Pirrie'm i Jane?

- Albo odeszli tak daleko, że nie słyszeli strzałów, albo zostali wytropieni i zabici. Ci ludzie nieźle strzelali. Poza domem Pirrie i Jane nie mieli żadnej osłony.

- Mogli odejść poza zasięg strzałów - powiedział Roger. Zaśmiał się.

- Po ścieżkach miłości.

- Poza zasięg tego huku? To by sprowadziło Pirrie'go z powrotem.

- Jest jeszcze jedna możliwość - zasugerował Roger. - Jane mogła na własną rękę ukraść nóż i schować za podwiązką. Kobietom takie pomysły czasem nagle strzelają do głowy.

- W takim razie gdzie jest Jane?

- Mogła sama natknąć się na naszych przyjaciół. Albo mogła ją ją powstrzymać świadomość, że stanie się pośród nas niezbyt popularną osobą, jeżeli wróci sama z historyjką, że zgubiła swojego męża podczas nocy poślubnej.

- Ma dość rozsądku, żeby wiedzieć, że samotna kobieta jest w obecnych czasach bezradna.

- Kobiety to zabawne stworzenia - mruknął Roger. - W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto bez wahania postępują zgodnie z rozsądkiem, a za setnym razem nagle robią coś dokładnie odwrotnego z tym samym entuzjazmem.

John zaintrygowany powiedział: - Wydajesz się dziś bardzo wesoły, Rodge.

- Któż by nie był zadowolony, gdyby usłyszał odroczenie wyroku. Ten drugi granat przeleciał dosłownie parę stóp od mojego okna.

- I nie żałowałbyś, gdyby Pirrie oberwał, albo od Jane, albo od tych granatników, tak?

- Nieszczególnie. Tak naprawdę to wcale. Myślę, że byłbym raczej zadowolony. Mówiłem ci - nie mam specjalnych powodów, żeby szaleć za Pirrie'm. Nie musiałem wszystkim kierować.

- Czy tak byś to nazwał — szaleć za nim?

- Nie znajdziesz wielu takich Pirrie'ch. On jest jak perła w ostrydze — twarda i błyszcząca, ale dla ostrygi to choroba.

- A ta ostryga to ma być świat, który znamy? — zapytał ironicznie John.

- Analogia jest zbyt skomplikowana. Poza tym jestem zmęczony. Ale wiesz co myślę o Pirri'em. W trudnych warunkach jest niezastąpiony; ale mam w bogu nadzieję, że nie będziemy żyli w tych warunkach wiecznie.

- Przedtem był dość spokojnym obywatelem. Nie ma powodu

przypuszczać, że nie stanie się taki znowu.

- Czyżby? Nie można wepchnąć perły z powrotem do ostrygi. Nie uśmiecha mi się życie w dolinie z Pirrie'm stojącym za tobą i w każdej chwili poprzeć czyms twoje słowa.

- Jeśli ktoś ma w dolinie być szefem, to tylko David. Ani ja, ani Pirrie. Wiesz o tym.

- Nigdy nie widziałem twojego brata — odparł Roger. — Wiem o nim bardzo mało.Ale nigdy nie musiał przeprowadzić swojej rodziny i gromady czepiających się go ludzi przez świat, który rozpada się pod nogami.

- To nie stanowi żadnej różnicy.

- Nie? — Roger ziewnął ponownie. — Jestem zmęczony. Idż spać. Nie warto tracić nawet pół godziny snu. Zobaczę tylko, czy dzieci są w łóżkach.

Stali w pokoju. Ann i Olivia leżały na kocach pod oknem; Ann podniosła na nich wzrok, ale nic nie powiedziała. Księżycowa poświata sięgała aż do podwójnego łóżka., które powstało po zestawieniu dwóch pojedynczych. Mary leżała pod ścianą zwinięta w kłębek. Davey i Steve leżeli obok siebie; Jedna ręka Davey'a przerzucona była przez ramię Stev'a. Spooks leżał z drugiej strony. Bez okularów jego twarz wydawała się dziwnie dorosła. On również nie spał i wpatrywał się w sufit.

- Nie myśl, że nie jestem wdzięczny za Pirrie'go. — dodał Roger. — Ale cieszę się, że się okazało, że potrafimy sobie poradzić bez niego.

Nowy sposób życia wyznaczał godziny snu od dziewiątej do czwartej rano, z tym, że dzieci należało spakować godzinę wcześniej, jeśli to było możliwe, i pozwolić im spać dalej, dopóki starsi nie przygotują śniadania. Podczas ostatniej warty, którą John pełnił z Willem Secombe, zaczęło już świtać. John wyszedł do ogrodu i obejrzał pole bitwy . W odległości jakiś piętnastu jardów od domu leżał mężczyzna w wieku około dwudziestu pięciu lat, zastrzelony strzałem w bok głowy. Miał na sobie mundur i przypiętą do niego na piersi drogocenną broszkę. Jeśli kamienie były diamentami, na co wyglądały, broszka musiała być warta kiedyś kilkadziesiąt funtów.

Na drugim ciele zachowały się strzępy munduru. Ten człowiek przedstawiał sobą jeszcze gorszy widok; najwidoczniej miał granaty zawieszone na biodrach, kiedy pierwszy z nich spowodował wybuch pozostałych. Trudno było odgadnąć, jak wyglądał za życia. John zawołał Secombe'a; wspólnie odciągnęli oba ciała od domu i wepchnęli pod kępę nisko rosnącego ostrokrzewu, usuwając je z widoku.

Secombe był jasnowłosym, jasnoskórym mężczyzną po trzydziestce, ale wyglądał o wiele młodziej. Kopnął wystającą nogę wpychając ją głębiej pod ostrokrzew i spojrzał z niesmakiem na swoje ręce.

- Idz się umyć, jeśli chcesz — powiedział John — Dopilnuję tu wszystkiego. I tak wkrótce będzie czas wstawać.

- Dziękuje, panie Custance. Paskudna robota, to tutaj. Nawet podczas wojny nie widziałem nic tak okropnego.

Kiedy odszedł, John jeszcze raz sprawdził otoczenie domu. Mężczyzna z granatami miał również strzelbę; leżała obok, złamana i bezużyteczna. Żadnej innej broni nie było; strzelba należąca do drugiego zabitego została przypuszczalnie zabrana przez jego towarzyszy.

Nie znalazł już nic oprócz dwóch czy trzech magazynków i wielu pustych łusek po nabojach. Rozglądał się za Pirrie'm i Jane, ale nie było po nich śladu. W świetle poranka dolina rozpościerała się przed nimi bez śladu życia. Niebo było wciąż czyste.

Wyglądało na to, że zapowiada się piękny dzień.

Pomyślał, że może ich zawołać, a potem zdecydował, że to nic nie da. Wrócił Secombe i John popatrzył na zegarek.

- W porządku. Możesz ich budzić.

Śniadanie było prawie gotowe, a z góry dochodziły odgłosy świadczące, że dzieci już wstały, kiedy John usłyszał, że Roger wykrzykuje:

- Wielki Boże!

Znajdowali się we frontowym pokoju, skąd John w nocy kierował całą operacją. John spojrzał tam, gdzie patrzył Roger. Przez rozbite okno zobaczył, że ścieżką przez ogród nadchodzi Pirrie ze swoim karabinem pod pachą; Jane szła tuż za nim.

John krzyknął do niego : Pirrie! Gdzie pan był, do cholery?

Pirrie uśmiechnął się lekko. — Kiwnął głowa wskazując ogród. — Więc zlikwidowaliście ten bałagan?

- Słyszał pan to?

- Trudno byłoby nie słyszeć. Czy udało im się wrzucić jakiś granat do środka? - John potrząsnął głową. - Tak myślałem.

- Wynieśli się, kiedy zaczęło być gorąco - wyjaśnił John. -

Wciąż jestem tym zdziwiony.

- Prawdopodobnie zaniepokoił ich ogień z boku? - odparł Pirrie.

- Ogień z boku?

Pirrie machnął ręką w kierunku, gdzie po prawej grunt wznosił się stromo.

- Zaatakował ich pan stamtąd? - upewnił się John.

Pirrie przytaknął. - Oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył jak echo John.- To wiele wyjaśnia. Zastanawiałem się, kto z pośród nas zdołałby trafić w taki cel w tym oświetleniu, i nie tylko zranić ale i zabić. - Popatrzył na Pierrie'go.

- Więc słyszał pan, jak pana wołałem kiedy sobie poszli?

Dlaczego się pan nie odezwał?

Pierrie uśmiechnął się ponownie. - Byłem zajęty.

Tego dnia posuwali się naprzód bez przeszkód, chociaż dość wolno.

Ich trasa prowadziła teraz w większej części przez wrzosowiska: w kilku miejscach musieli schodzić z drogi i przecinać nagie lub porośnięte wrzosem zbocza albo też wędrować brzegiem licznych strumieni i rzek, które spływały z wrzosowisk w doliny. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce ,grzejąc ich plecy,i przed południem zrobiło się już zbyt gorąco, żeby iść dalej. John zarządził wczesny postój na obiad, a potem nakazał kobietom, żeby zabrały dzieci na odpoczynek w cieniu grupy sykomorów.

- Nie nalegasz na pośpiech? - zapytał go Roger.

John potrząsnął głową. - Mam cel w zasięgu ręki. Będziemy tam przed zmrokiem, a tylko to jest ważne. Dzieci są przemęczone.

- Ja też - westchnął Roger. Leżał na plecach na suchej, kamienistej ziemi z rękami założonymi pod głowę. - A Pierrie jakoś nie.

Pierrie tłumaczył coś Jane, pokazując na południe ponad płaską ziemią.

- Teraz już go nie zarżnie - dodał Roger. - Następna Sabinka rezygnuje z zemsty. Ciekawe, jakie będą małe Pirrie'ątka?

- Millicent nie miała dzieci.

- Nie wykluczone, że to była wina Millicent. Taka kobieta, jak ona, pilnowałaby, żeby się nie obciążać dziećmi. To by ograniczało jej możliwości.

- Millicent ... To wydaje się tak dawno - mruknął John.

- Względność upływu czasu. Kiedy to było, kiedy cię ściągnąłem z dźwigu? Wydaje się, że minęło sześć miesięcy.

Wrzosowisko były niemal całkiem bezludne, ale kiedy zeszli w dół i przecinali niżej położony teren kierując się na północ do Kendal, napotykali znajome oznaki świadczące, że ludzie przemienili się w. dzikie bestie: domy płonęły, z oddali dobiegały co jakiś czas wrzaski, nie wiadomo, rozpaczy czy dzikiego triumfu, widzieli morderstwa i słyszeli strzały. I jeszcze jeden zmysł został pobudzony - od czasu do czasu w ich nozdrza uderzał słodko-kwaśny odór rozkładających się ciał.

Ale ich własny marsz przebiegał bez zakłóceń i wkrótce zaczęli znowu się wspinać na nagie, ponure skały, spiesząc ku swemu schronieniu. Z czystego nieba dochodził śpiew ,skowronków i świergotków łąkowych, a parę razy biełożytka przebiegła przed nimi, kilka kroków z przodu. Raz zobaczyli jelenia, zaledwie o trzysta jardów. Pirrie natychmiast rzucił się na ziemię, ale zanim zdołał wycelować, jeleń skrył się za wypukłością gruntu. Nawet z tej odległości wyglądał na wycieńczonego, John zastanowił się, w jaki sposób jeleń zdołał przeżyć. Przypuszczalnie żywił się mchem i innymi drobnymi roślinkami.

Dochodziła piąta, kiedy doszli nad brzeg Lepe. Jej nurt był lak szybki i rwący, jak zawsze; w tym miejscu płynęła wśród skał, więc

nawet brak trawy nie był niczym niezwykłym w tym znajomym widoku.

Ann stanęła obok Johna, Po raz pierwszy, odkąd wyjechali z Londynu, jej twarz miała tek spokojny i szczęśliwy wyraz.

- Nareszcie w domu - powiedziała.

- Jeszcze około dwóch mil - dodał John, - Ale już z połowy drogi zobaczymy wejście. Znam tutaj rzekę na odcinku kilku mil w dół.

A trochę bardziej w górę można wyjść po kamieniach na środek rzeki. Dave i je zwykle łowiliśmy tam ryby,

- Czy w Lepe są ryby? Nie wiedziałem.

Potrząsnął głową - Nigdy nie złapaliśmy żadnej wewnątrz doliny. Nie przypuszczam, żeby wpływały tak daleko. Ale w dolnym biegu są pstrągi. - Uśmiechnął się. - Będziemy wysyłać ekspedycje i łapać je w sieci. Musimy wprowadzić jakieś urozmaicenie w naszej diecie.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. - Tak. Kochanie, myślę, że teraz naprawdę mogę w to uwierzyć - że wszystko będzie dobrze - że znowu będziemy szczęśliwi, że znowu będziemy ludźmi,

- Oczywiście. Nigdy w to nie wątpiłem.

- Barykada Dave'e - oznajmił John. - Wygląda ładnie i solidnie.

Mieli przed sobą wejście do Ślepej Doliny. Droga prowadziła nad samą krawędzią wody, a wysoka drewniana przegroda ciągnęła się od brzegu rzeki przez drogę jej naturalne przedłużenie stanowiło strono wznoszące się zbocze. Ta część, która przegradzała drogę, wyglądała tak, jakby mogła się otwierać, tworząc bramę.

Pirrie wysunął się do przodu i szedł obok Johna; on również z respektem szacował wzrokiem barykadę.

- Ładny kawałek roboty. Jak już będziemy.

Seria z karabinu maszynowego przerwała brutalnie jego słowa.

Przez chwilę John stał nieruchomo, usztywniony. Zbyt zaszokowany , żeby poczuć strach, zawołał głośno : - Dave!

Karabin znów plunął ogniem , i tym razem John rzucił się , by osłonić Mary i Davey'a. Krzyknął do pozostałych: Do rowu!

Zobaczył, że Ann ściąga na dół Spooksa i Davey'a i że Mary kuli się w rowie. Skoczył za nimi i rzucił się obok na ziemię.

Mary zapytała: - Co się dzieje, tato?

- Skąd te strzały? - chciała wiedzieć Ann.

Wskazał na barykadę. - Stamtąd. Czy wszyscy sie schowali?

Kto tam jest na drodze? Pirrie!

Mała figurka Pirrie'go leżała rozciągnięta na środku drogi w kałuży krwi.

Ann złapała Johna ze ramię, kiedy się zaczął podnosić. - Nie! Nie wolno ci! Zostań na miejscu. Pomyśl o mnie - o dzieciach.

- Zabiorę go - odparł. - Nie będą strzelać, kiedy go będę zabierał.

Ann wczepiła się w niego. Płakała; krzyknęła na Mary, i Mary również chwyciła jego płaszcz. Kiedy próbował się uwolnić, zobaczył, że

ktoś wyskakuje z rowu i biegnie do miejsce, gdzie leżał Pirrie. To była kobieta.

John przestał się szarpać i wykrzyknął w osłupieniu: - Jane!

Jane wsunęła ręce pod ramiona .Pirrie'go i z łatwością go podniosła. Nie obejrzała się na barykadę, skąd wymierzony był karabin, Przerzuciła sobie przez ramię Jedną rękę Pirrie'go i na pół zaniosła, na pół zaciągnęła go do rowu. Opuściła go na ziemię obok Johna, po czym usiadła obok, kładąc sobie jego głowę na kolanach.

Ann zapytała: - Czy on - nie żyje?

Z boku głowy spływała krew. John starł ją. Rena, jak zauważył od razu, była tylko powierzchowna. Kula drasnęła czaszkę z siłą wystarczającą, żeby przewrócić Pirrie'go. Z drugiej strony głowy skóra byłe zdarte w miejscu, gdzie uderzył o ziemię. Najprawdopodobniej właśnie ten upadek pozbawił go przytomności.

- Będzie żył - stwierdził John. Jane podniosła wzrok; płakała. - Przekaż Olivii, że potrzebujemy bandaży - dorzucił. - I szarpi i, żeby zatamować krew.

Ann przeniosła wzrok z Pirrie'go na barykadę blokującą drogę.

- Ale dlaczego mieliby do nas strzelać? Co się stało?

- Pomyłka. - John wpatrywał się w barykadę. - Po prostu pomyłka z łatwością ją wyjaśnimy.

ROZDZIAŁ 11

Ann próbowała go powstrzymać, kiedy zobaczyła, że przywiązuje do kija białą chustkę do nosa.

- Nie możesz tego zrobić! Zastrzelą cię!

John potrząsnął głową. - Nie, nie zastrzelą.

- Strzelili do nas bez żadnej prowokacji. Do ciebie też będą strzelać.

- Bez żadnej prowokacji? Kiedy cała banda, i to uzbrojona, maszeruje prosto na barykadę? To był też mój błąd, nie tylko ich. Powinienem był przewidzieć, jak zareagują.

- Jak zareagują? Jak David zareaguje!

- Nie. Raczej nie. Nie mógłby przez cały czas pilnować barykady . Bóg raczy wiedzieć, kim oni są. Ale jeden człowiek z pokojową flagą to co innego. Nie będą mieli żadnego powodu, żeby strzelać.

- Ale mogą!

- Nie zrobią tego,

A jednak czuł się dziwnie, kiedy szedł środkiem drogi zbliżając się do barykady i trzymając nad głową swoją białą flagę. To nie był dokładnie rzecz biorąc strach, raczej sten zwiększonej uwagi - ożywienie i towarzyszące temu zmęczenie; doświadczał już tego uczucia, kiedy miał gorączkę. Zaczął odmierzać kroki, licząc bezgłośnie raz, dwa, trzy, cztery, pięć ... Przed sobą ujrzał lufę karabinu

maszynowego wystająca przez dziurę w barykadzie dobre dziesięć stóp nad ziemią, niedaleko od szczytu. David musiał zbudować platformę po drugiej stronie.

Zatrzymał się jakieś siedem czy osiem stóp przeć barykadą i spojrzał w górę. Spoza paszczy karabinu jakiś glos zapytał:

- Ko, czego tu szukasz?

John odparł: - Chciałbym zamienić parę słów z Davidem Custauce.

- Chciałbyś, co? On jest zajęty. A w każdym razie odpowiedź brzmi: nie.

- To mój brat.

Na chwilę zapadło milczenie. Potem głos powiedział:

- Jego brat jest w Londynie. Mówisz, że jak się nazywasz?

- Nazywam się John Custcnce. Wydostaliśmy się z Londynu. Zebrało nam trochę czasu, żeby się tu dostać. Mogę się z nim zobaczyć ?

- Chwileczkę, - John usłyszał stłumione mamrotanie głosów; nie mógł rozróżnić słów. - W porządku. Możesz tu zaczekać. Poślemy po niego na farmę.

John przeszedł kilka kroków i stanął, spoza barykady usłyszał odgłos zapuszczanego silnika; warkot przycichł i rozpłynął się , kiedy samochód odjechał. To brzmiało jak łazik Davida. Ciekaw był, ile benzyny mają zmagazynowane w dolinie. Prawdopodobnie niewiele. Teraz to nie ma znaczenia. Im ludzie szybciej przywykną do świata pozbawionego zarówno silników spalinowych, jak i dawnych zwierząt pociągowych,tym lepiej.

Zawołał do człowieka za barykadą: - A ci ludzie ze mną - mogą wyjść z rowu? Nie będziecie do nich strzelać?

- Mogą zostać tam gdzie są .

- Ależ to nie ma sensu. Co wam szkodzi, że wyjdą na drogę?

- Rów im wystarczy.

John chciał się kłócić, ale po namyśle dał spokój. Ktokolwiek był tam po drugiej stronie, będą musieli w przyszłości żyć z tym człowiekiem; jeśli chciał wypróbować swoją chwilową władzę , najlepiej było ustąpić. Niepokój Johna uśmierzyła szybkość, z jaką tamten zgodził się posłać po Davida. Przynajmniej przestał cię obawiać, że David stracił kontrolę nad tym, co się dzieje w dolinie.

- Pójdę i powiem moim ludziom, co się dzieje - zawołał.

- Proszę bardzo - odpowiedział obojętnie głos. - Ale trzymaj ich z daleka od drogi.

Pirrie już siedział i był przytomny. Wysłuchał tego, co John miał do powiedzenia, ale nie skomentował tego ani słowem. To Roger zabrał głos:

- Więc myślisz, że wszystko będzie dobrze?

- Nie widzę przeszkód. Ten gość z karabinem maszynowym może

jest trochę prędki do strzelenia, ale jak już będziemy po drugiej stronie, to nie będzie nasze zmartwienie.

- Zdaje się, że nie bardzo ma ochotę nas wpuścić na drugą stronę . - powiedział Alf Parsons.

- Wypełnia rozkazy. Halo!

Rozległ się warkot nadjeżdżającego samochodu. Samochód zatrzymał się ze barykadą.

- To na pewno David! - John podniósł się. - Ann, możesz także iść i porozmawiać z nim.

- Czy to nie jest zbyt ryzykowne? - sprzeciwił się Roger.

- Niespecjalnie. Teraz tam jest David.

Ann powiedziała: - Davey też chciałby pójść. Myślę, że i Mary by chciała.

- Oczywiście.

Pirrie powiedział: - Nie. - Mówił cicho, ale zdecydowanym tonem. John popatrzył na niego.

- Dlaczego? O co chodzi?

- Uważam, że tutaj będą bezpieczniejsi - oświadczył Pirrie. robił pauzę. - Sądzę, że nie powinniście iść tam razem.

Upłynęło kilka sekund, zanim John pojął znaczenie jego słów; gdyby nie to, że wypowiedział je Pirrie, po którym należało się spodziewał krańcowo cynicznego realizmu, nie zrozumiałby, o co chodzi.

- Cóż - powiedział w końcu - to deje mi pewne pojęcie, jak rn by postąpił na moim miejscu.

Pirrie tylko się uśmiechnął. Ann zapytała: - O co chodzi?

John usłyszał głos Davida wołający go z oddali: - Johnny!

- O nic - odpowiedział. - Nieważne, Ann. Zostaniecie tu. Nie zabierze mi dużo czasu, żeby ustalić wszystko z Davidem.

Na pół oczekiwał, że brama w barykadzie otworzy się przed nim. I jednocześnie rozumiał, że ostrożność - może przesadna, lecz w pełni usprawiedliwione - nakazuje poczekać z tym, dopóki nie zostanie ustalony status Johna i grupy, która mu towarzyszyła. Stanął od barykadą, wciąż nie wiedząc, co się dzieje po drugiej stronie, zawołał:

- Deve! To ty?

Usłyszał głos Davida: - Tak, oczywiście - otwórzcie mu! Jak ma wejść, do diabła, jeśli mu nie otworzycie?

Zobaczył, że paszcza karabinu drgnęła, kiedy brama pod nią uchyliła się lekko. Nie mieli zamiaru ryzykować. Przecisnął się przez szparę i znalazł się twarzą w twarz z Davidem. Podali sobie ręce. Brama zamknęła się za nim

- Jak ty to zrobiłeś? - zapytał David. - Gdzie jest Davey - Ann, i Mary?

- Zostali z tyłu. Chowają się w rowie. Twój strzelec wyborowy o mało

nas nie pozabijał.

David przyjrzał mu się. - Nie mogę w to uwierzyć! Powiedziałem ludziom przy bramie, żeby się ciebie spodziewali, ale nigdy nie wierzyłem, że się pojawisz. Ten zakaz podróżowanie ... a potem zamieszki i pogłoski o bombardowaniach ... Straciłem nadzieję.

- To długa historia - odparł John. - Może poczekać. Chciałbym najpierw wprowadzić mój oddział.

- Twój oddział? Chcesz powiedzieć ... Zawiadomiono mnie, że na drodze jest tłum ludzi.

John przytaknął. - Tłum. Trzydzieści cztery osoby, w tym dziesięcioro dzieci. Wszyscy jesteśmy w drodze od jakiegoś czasu. Przyprowadziłem ich tutaj.

Przypatrując się Davidovi ujrzał na jego twarzy wyraz, który widział przedtem tylko raz, o ile dobrze pamiętał: wtedy, kiedy po śmierci ich dziadka usłyszeli, że całą posiadłość zostawił Davidowi.To było zakłopotanie i poczucie winy.

David powiedział: To nie takie proste Johny.

- O co chodzi?

- Już jest za dużo ludzi. Kiedy sytuacja sie pogorszyła, miejscowi zaczęli tu napływać. Riversowie z Stonebeck, i tak dalej. To ich chłopak zdobył karabin maszynowy, w jednostce wojskowej koło Windenmare. Z nimi przyszło jeszcze trzech czy czterech. Jest dość cienko . Jakoś sobie radzimy, ale każde niepowodzenie - nieurodzaj ziemniaków czy coś w tym rodzaju - może nas rozłożyć.

- Z moimi trzydziestoma czterema ludźmi będzie jeszcze trudniej - przyznał John. - Ale zapracują na swoje utrzymanie. Odpowiadam za to.

- To nie o to chodzi - odparł David. - Ta ziemia może wyżywić tylko niewielką ilość ludzi. Już jest nas za dużo.

Na chwilę zapadło milczenie. Z prawej strony dochodził szum Lape. Zarówno człowiek pilnujący ognia, nad którym kipiał garnek, jak i dwóch ludzi na platformie byli poza zasięgiem głosu. Pomimo tego John zauważył, że zaczął mówić ciszej.

- Co proponujesz w takim razie? - zapytał. Mamy wreszcie do Londynu?

David chwycił go za ramię. - Na miłość boską, nie! Nie bądź głupi! Próbuje ci tylko wyjaśnić, że mogę znaleźć miejsce dla ciebie, Ann i dzieci, ale nie dla pozostałych.

- Dave - powiedział John - musisz znaleźć miejsce. Możesz to zrobić i musisz to zrobić.

David potrząsnął głowa. - Przyjąłbym ich, gdybym mógł. Zrozum , ci ludzie nie są pierwszymi, których musieliśmy odprawić. Byli inni musieliśmy być twardzi. Zawsze im mówiłem, że dla ciebie i twojej rodziny musi się znaleźć miejsce. Ale trzydziestu, czterech ludzi ...! To

niemożliwe. Nawet gdybym ją się zgodził, inni nie pozwolą nas wpuścić.

- To twoja ziemia.

- Tylko dlatego, że inni się na to godzą. Ich jest więcej.

Johny, wiemy, że nie podoba ci się pomysł, żeby zostawić ludzi, z którymi podróżowałeś. Ale bodziesz musiał to zrobić. Nie ma innego wyjścia.

- Zawsze jest jakieś inne wyjście.

- Nie. Przyprowadź ich tu - Ann i dzieci - możesz znaleźć jakąś wymówkę. A inni ... mają przecież broń, prawda? Poradzą sobie.

- Nie wiesz, co się dzieje poza doliną.

Ich oczy znów się spotkały. David powtórzył: - Wiem, że nie chcesz tego zrobić, ale będziesz musiał. Nie możesz stawiać ich bezpieczeństwa wyżej od bezpieczeństwa Ann i dzieci.

John roześmiał się, aż dwóch mężczyzn na platformie popatrzyłO na nich z góry.

- Pirrie! - powiedział. - Musi być jasnowidzem.

- Pirrie?

- Jeden z mojego oddziału. Przypuszczam, że bez niego nie doszli byśmy tak daleko. Chciałem wziąć Ann i dzieci ze sobą, kiedy szedłem się z tobą spotkać. Zabronił mi. Kazał im postać. Zrozumiałem, że obawiał się, żebym go nie przechytrzył, i byłem słusznie oburzony, A teraz ... gdybym miał ich tu, za barykadą, zastanawiam się, co bym zrobił?

David zaniepokoił się: - To brzmi poważnie. Nie można go jakoś wyprowadzić w pole?

- Wyprowadzić w pole? Nie Pirrie'go. - Jego wzrok powędrował dalej obejmując widok Ślepej Doliny wtulonej bezpiecznie pomiędzy wzgórza. - Jeśli ich odtrącisz - powiedział powoli - odtrącisz również nas - odtrącisz Davey'a.

- Ten człowiek, Pirrie ... mogę ich przekonać, żeby wpuścili i tobą jeszcze jedną osobę. Czy on się da przekupić?

- Niewątpliwie. Ale do tej pory ten pomysł musiał już zaświtać w głowie pozostałym, zwłaszcza kiedy będę musiał im powiedzieć,

że nie mogą po prostu wejść do środka, jak się spodziewali. Nie ma co liczyć aa to, że będę mógł przyprowadzić tu dzieci, a ich zostawić. Pójdą za mną.

- Musi być jakieś wyjście.

- To samo ci mówiłem. Ale teraz obaj mamy związane ręce. - Popatrzył na brata, - W pewien sposób jesteśmy wrogami.

- Nie. Znajdziemy jakiś sposób, żeby to obejść. Może ... gdybyś wrócił, a ja kazałbym moim ludziom zrobić wypad przeciwko wam pod osłoną karabinu maszynowego ... Mógłbyś powiedzieć Ann i dzieciom, żeby leżały spokojnie, dopóki ich nie przegonimy.

John uśmiechnął się z ironią. Nawet gdybym ich przygotował, to nie poskutkuje, Moi ludzie przeszli już chrzest bojowy. Ten rów daje dobrą osłonę. Nie przestraszą się karabinu maszynowego.

- W takim razie nie wiem. Ale musi być jakieś wyjście.

John ponownie obrzucił wzrokiem dolinę. Pola były starannie uprawiane i w większości obsadzone ziemniakami.

- Ann będzie się niepokoić, nie mówiąc już o innych - powiedział.

- Muszę wracać. Co będzie dalej, Dave?

Podjął już decyzję i niepewność dręcząca jego brata nie zdołała naruszyć jego ponurej zawziętości. David odezwał się w korcu, z wysiłkiem formułując słowa:

- Pomówię z nimi. Wróć za godzinę. Zobaczę, co powiedzą na to, żeby wpuścić wszystkich. Może do tego czasu coś wymyślimy. Spróbuj coś wymyślić, Johnny!

John kiwnął głową. - Spróbuję. Na razie, Dave.

David spojrzał na niego nieszczęśliwym wzrokiem. Ucałuj odo mnie wszystkich, zwłaszcza Davey'a.

- Tak, oczywiście.

Dwaj mężczyźni zeszli z platformy i ponownie odblokowali bramę. John prześliznął się przez otwór. Nie obejrzał się więcej na Davida.

Czekali na niego, kiedy zeskakiwał do rowu. Z ich twarzy odczytał, że spodziewali się tylko złych wiadomości musiały być złe, skoro brama do doliny nie otwarła się od razu, żeby ich wpuścić do środka.

- Jak poszło, panie Custance? - zapytał Noah Blennit.

- Nie za dobrze, - Powiedział im wszystko, nic nie ukrywając, jedynie szybko prześlizgując się nad zaproszeniem ofiarowanym jego własnej rodzinie. Kiedy skończył, Roger oświadczył:

- Rozumiem ich punkt widzenia, David może znaleźć miejsce dla ciebie, Ann i dzieci, tak?

- On nic nie może zrobić. To inni zgodzili się na to i najwyraźniej zamierzają się tego trzymać.

- Przyjmij to, Johnny - oświadczył Roger. - Przyprowadziłeś nas tu i nic ne tym nie straciliśmy, a nie me sensu, żeby ktokolwiek rezygnował z szansy tylko dlatego, że wszyscy nie możemy jej mieć.

Pomruk pozostałych był wystarczająco niepewny, żeby stanowić pokusę. Zaproponowali mi to pomyślał, i nie będą mnie powstrzymywać, jeśli się zgodzę od razu, dopóki wciąż są pod wrażeniem własnej wielkoduszności. Mógłbym zabrać Ann, Mary Davey'a do bramy i popatrzyć, jak się otwiera, i widzieć dolinę poza nią...

Spojrzał na Pirrie'go. Pirrie spokojnie odwzajemnił jego spojrzenie; jego prawa ręka, niewielka, z paznokciami wciąż starannie wymanikirowanymi, spoczywała na kolbie karabinu.

Widząc, jak pryska mydlana bańka, pokusy, John zastanowił się, co

by zrobił, gdyby posiadał rzeczywistą, a nie pozorną wolność wyboru. Feudalny baron, pomyślał, tak tanio sprzedać swoich podwładnych. Ale możliwe, że oni byli właśnie tacy - przynajmniej większość z nich.

Patrząc na. Pirrie'go oświadczył: - Przemyślałem to. Szczerze mówiąc nie uważam, żeby istniała jakakolwiek nadzieja, że mój brat przekona pozostałych, żeby nas wpuścili. Jak sam powiedział, niektórzy z nich musieli odesłać własnych krewnych. Pozostały nam dwie możliwości i albo zawrócić i poszukać domu gdzie indziej, albo siłą wtargnąć do doliny i zdobyć ją.

Ann, wstrząśnięta, zawołała: - Nie! - Davey zapytał: - Tato,

czy to znaczy, że mamy walczyć z wujkiem Davidem? - Reszta milczała.

- Nie musimy decydować od razu - dodał John. - Dopóki nie porozmawiam ponownie z moim bratem, możemy jeszcze zakładać, że istnieje szansa pokojowego rozwiązania. Ale przemyślcie to.

Roger powiedział: - Dalej uważam , że powinieneś przyjąć to,

co ci zaofiarowali, Johnny.

Tym razem nie było żadnego oddźwięku; moment niezdecydowania minął, osądził John kwaśno. Poddani ponownie zdali sobie sprawę z powinności barona względem nich.

Alf Persons zapytał: - A co pan myśli, panie Custance?

- Zachowam swoją opinię dla siebie, dopóki nie wrócę - odparł John. - Tymczasem wy się zastanówcie.

Pirrie wciąż nic nie mówił, ale uśmiechnął się powoli. Z bandażem owinięty wokół głowy wyglądał jak kruchy, nieszkodliwy staruszek. Jane siedziała blisko niego w opiekuńczej pozie.

Nie odezwał się, dopóki John nie zaczął się zbierać do odejścia. Wtedy przemówił:

- Oczywiście obejrzy pan wszystko od wewnątrz?

- Oczywiście - powiedział John.

Jeśli miał w głębi duszy jakąkolwiek nadzieję, że Dave zdoła wymusić jakieś ustępstwa na pozostałych mieszkańcach doliny, to nadzieję te rozwiała się w chwili, gdy ujrzał ponownie twarz brata.

Towarzyszyło mu czterech czy pięciu innych mężczyzn, prawdopodobnie po to, żeby wesprzeć trzech strażników na wypadek, gdyby banda Johna nie chciała się pogodzić z odprawą. John zauważył, że na barykadzie wisiał telefon, a więc strażnicy mogli szybko wezwać pomoc w razie, gdyby sytuacja wyglądała groźnie. Rozejrzał się dookoła, szukając dalszych szczegółów obronnego wyposażenia doliny,

David powiedział: - Nie zgodzą się, Johnny. Tak naprawdę to nie mogliśmy się tego po nich spodziewać.

Mężczyźni, którzy z nim przyszli, stali obok, nawet nie udając, że zezwalają. braciom nr. prywatną rozmowę. To jeszcze dobitniej uświadomiło Johnowi, jak słaba pozycję zajmuje jego brat.

Kiwnął głową. - Więc musimy znowu ruszać w drogę. Przekazałem Davoy'owi ucałowania. Przykro mi , że nie mogłeś go zobaczyć,

- Posłuchaj - przerwał David - myślałem nad tym. Jest pewien sposób. - Mówił z gorączkową szczerością . - Możesz to zrobić.

John spojrzał na niego pytająco. Zauważył kąt, jaki tworzyła rzeka z barykadą.

- Powiedz im, że nic z tego - tłumaczył David - że musicie znaleźć inne miejsce. Ale nie podchodźcie dziś wieczorem zbyt daleko. Musisz tak to przygotować, żebyście mogli się wymknąć z Ann i dziećmi i wrócić tu. Wpuścimy was. Zostanę tu na noc i dopilnuję tego.

John zdał sobie sprawę, że w innych warunkach, z innymi ludźmi, ten plan mógłby się udać. Ale nie czuł pokusy, żeby spróbować. David nie doceniał trudności, jakie nastręczała obecność Pirrie'go; błąd wyleczalny u kogoś, kto go nie znał.

- Tak - powiedział powoli - myślę, że to się może udać. W każdym razie warto spróbować. Ale nie chciałbym, żeby w nocy ten twój karabin pozabijał rai dzieci.

- Nie ma obawy - zapewnił go skwapliwie David. - Jak podejdziecie bliżej, zagwiżdż nasz stary sygnał. A poza tym jest pełnia.

- Tak - przyznał John - rzeczywiście.

ROZDZIAŁ 12

John zeskoczył do rowu, gdzie czekali pozostali.

Od razu powiedział: - Nie wejdziemy tam bez użycie siły. Nie ustąpią. Mój brat próbował ich przekonać, ale nic z tego nie wyszło. Wobec tego mamy alternatywę, o której mówiłem: albo iść gdzie indziej, albo zdobyć dolinę siłą. Zastanawialiście się nad tym?

Odpowiedziało mu milczenie , które przerwał w końcu Alf Persons:

- To zależy od pana, penie Custance - sam pan wie. Zrobimy, co pan uzna za najlepsze.

- Dobrze - powiedział John, - Po pierwsze jedne sprawa. Mój brat jest podobny do mnie, ma na sobie niebieski kombinezon i koszulę w biało szarą kratę. Mówię wam to, żebyście mogli go rozpoznać . Nie chcę, żeby mu się coś stało, jeśli można będzie tego uniknąć.

Joe Harris zapytał: - A więc atakujemy, panie Custance?

- Tak. Nie teraz - w nocy. Teraz grzecznie wycofamy się z zasięgu wzroku tamtych ludzi. Ma to wyglądać tak, jakbyśmy zrezygnowali z dostania się do środka. Naszą jedyną szansą jest zaskoczenie ich.

Od razu posłuchali i zaczęli wyłazić z rowu, kierując się z powrotem w stronę, z której przyszli, John szedł na korcu, a Roger i Pirrie szli obok niego.

Roger powiedział: - Dalej myślę, że źle robisz, Johnny. Mógłbyś nas zostawić i wrócić do rodziny. Przyjęliby cię z powrotem.

Pirrie zauważył z namysłem: - Nie przypuszczam, żeby poszło łatwo, nawet atakując z zaskoczenia. - Popatrzył na Johna, - Chyba, że zna pan drogę przez wzgórze.

- Nie. Nawet gdyby istniała taka droga, to nie jest wyjście. Zbocze są tutaj strome. Nie dałoby się uniknąć strącenia kamieni, a gdyby nas dostrzegli, bylibyśmy zbyt łatwym celem.

- Rozumiem - upewnił się Pirrie - że nie bierze pan pod uwagę możliwości zaatakowania barykady od przodu, skoro mają karabin maszynowy Vickersa?

- Nie, - John przyjrzał się dokładnie Pirrie'mu. - Jak się pan teraz czuje?

- Normalnie.

- Dość dobrze, żeby przejść w bród pół mili w górę rzeki, która jest zimna nawet o tej porze roku?

- Tak,

Obydwaj patrzyli, na niego pytająco, John zaczął wyjaśniać:

- Mój brat ustawił barykadę przez przejście między, rzeką a wzgórzem, ale przyjął pewnik, że sama rzeka jest także nie do przejścia. Przy brzegach jest rzeczywiście szybka i głęboka — utonęło w niej sporo bydła i kilku ludzi. Ale kiedy byłem dzieckiem, wpadłem do wody na drugim brzegu i nie utonąłem. Jest ten grzebień skalny mniej więcej pośrodku rzeki; nawet jako jedenastoletni chłopiec mogłem na nim stanąć trzymając głowę nad wodą.

Roger zapytał: - Czy chcesz, żebyśmy wszyscy przeszli tamtędy w górę rzeki? Ne pewno nas zobaczą. A jak się stamtąd wydostać, skoro mówisz, że przy brzegach jest teka głęboka i szybka?

Pirrie, jak przewidywał John, nie potrzebował dalszych wyjaśnień, żeby uchwycić sens propozycji.

- Mam unieszkodliwić karabin maszynowy? - upewnił się — A reszta?

- Ja pójdę z panem - odparł John. - Wezmę ze sobą strzelbę. Wątpię, czy potrafię coś zrobić, jeśli panu się nie uda, ale przynajmniej będziemy mieli dodatkową szansę. Roger, musisz zdobyć barykadę, jak tylko uciszymy karabin. Możecie się podkraść na odległość stu jardów, chowając się w rowie. Na barykadę można się wspiąć kiedy zaczniemy do nich strzelać, przekręcą karabin i skierują na nas. Wtedy ty poprowadzisz swój oddział do ataku.

- Czy to się uda? - zapytał Roger z powątpiewaniem. To Pirrie mu odpowiedział.

- Tak. - odparł. - Wierzę, że tak.

Stał obok Ann spoglądając na dzieci

Spooks i Steve leżeli przytuleni do siebie, a Mary nieco dniej, z ręką podłożoną pod głowę. Półgłosem opowiedzieł jej o planie. Davida. Kiedy skończył, zapytała:

- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś? Mogliśmy uciec. Mogliśmy jakoś wymknąć się Pirrie'mu - wzdrygnęła się - zabić go, jeśli to konieczne! Dość już było zabijania niewinnych ludzi - a teraz będzie jeszcze więcej. Och, dlaczego tego nie przyjąłeś? Ciągle jeszcze mamy szansę!

Słońce już zaszło, a księżyc miał dopiero wzejść. Było niemal całkiem ciemno. Nie mogli widzieć nawzajem swoich twarzy.

- Cieszę się, że Pirrie jest z nami - powiedział.

- Cieszysz się!

- Tak. Potrzebna mi była obecność tego palca na spuście karabinu, żeby podjąć decyzję, ale on tylko skierował mnie na właściwą drogę. Ann, pewne rzeczy, które musiałem robić, były okropne. Nie mógłbym ich usprawiedliwić nawet przed sobą samym, gdybym nie miał nadziei, że jak już dojdziemy do doliny, wszystko będzie inaczej .

- Będzie inaczej.

- Mam nadzieję. Dlatego nie mogę dopuścić do zdrady.

- Zdrady?

- Nie mogę zdradzić pozostałych. - Wskazał na nich ruchem głowy. - To by była zdrada, gdybym ich teraz opuścił.

- Nie rozumiem - Ann potrząsnęła głową. - Nic nie rozumień. Czy to nie zdrada w stosunku do Davida - zaatakować jego dolinę?

- Devid nie jest wolny. W przeciwnym razie wpuściłby nas wszystkich. Wiesz o tym. Pomyśl, Ann! Musielibyśmy zostawić Rogera i Ollvię - Steve'a i Spooksa. Co mogłabyś powiedzieć Davey' owi?

A reszta tych biedaków ... Jane ... tak, i Pirrie? Nawet jeśli go nie lubisz, nie zapominaj, że bez niego nigdy nie dobilibyśmy do doliny.

Ann popatrzyła w dół na kpiące dzieci. - Wszystko, o czym mogę myśleć, to że dziś w nocy moglibyśmy być bezpieczni w dolinie - bez walki.

- Ale mając niemiłe wspomnienie.

- I tak je mamy.

- Nie takie same.

Zamilkła na chwilę. - Jesteś przywódcą, prawda.? Średniowiecznym władcą - sam to powiedziałeś.

John wzruszył ramionami. - Jakie to ma znaczenie?

- Ma znaczenie dla ciebie. Teraz to widzę. Większe, niż nasze bezpieczeństwo i bezpieczeństwo dzieci.

- Ann, kochanie, o czym tym mówisz? - zapytał łagodnie,

- O twoich zobowiązaniach, o to chodzi, prawda? Tak naprawdę nie myślałeś o Rogerze i Olivii, o Steve i Spooksie - nie myślałeś o nich jak o żywych ludziach. Chodzi o twój honor - honor władcy. Nie jesteś już sobą. Jesteś marionetką.

- Jutro będzie po wszystkim. Będziemy mogli o tym zapomnieć.

- Nie, Przedtem prawie mnie przekonałeś ale teraz wiem lepiej. Zmieniłeś się, i to nieodwracalnie.

- Nie zmieniłem się.

- Nigdy zostaniesz Królem w Ślepej Dolinie - powiedziała - Jak długo potrwa, zanim założą ci koronę na głowę?

Niebezpiecznym odcinkiem, myślał John, był pas wody pomiędzy brzegiem a miejscem odległym o jakieś trzydzieści jardów od barykady, dokąd sięgał cień rzucany przez wzgórze. Gdyby musieli je opuścić w pełnym blasku księżyca, całe przedsięwzięcie spaliłoby na panewce, ponieważ światło było jasne i musieliby minąć obrońców w odległości paru jardów.

Na razie znajdowali się w odległości dwudziestu pięciu jardów i każde dokładniejsze oględziny powierzchni rzeki musiałyby ujawnić ich obecność. Mieli jednak uzasadnioną nadzieję, że uwaga obrońców skupia się raczej na drodze i że nie spodziewają się, żeby ktoś wpadł na szaleńczy pomysł walki z tak głęboką i bystrą rzeką, jak Lepe. Przed nim Pirrie kulił się tak, że tylko jego głowa i jedna ręka trzymające karabin wystawały nad powierzchnią wody, a John naśladował jego przykład.

Woda była jeszcze zimniejsza, niż John pamiętał, a wyczerpująca walka z prądem dawała im się we znaki. Raz czy dwa Pirrie się pośliznął i John musiał go podtrzymać. Pocieszające było tylko, że szum rzeki zagłuszał wszelkie hałasy.

Parli do przodu i w końcu, ku swojej uldze, znaleźli się w cieniu rzucanym przez wzgórze. Cień ten był długi, ale niezbyt szeroki; wyraźnie widzieli barykadę i drogę oświetloną księżycem. John nie był przedtem tego pewny, teraz więc nabrał otuchy. Gdyby barykada pozostawała w cieniu, nawet niezwykłe umiejętności strzeleckie Pirrie’go na nic by się nie zdały.

Kiedy byli nie dalej, niż dziesięć jardów od barykady, Pirrie zatrzymał się.

- Co się stało? - szepnął nagląco John.

Usłyszał, że Pirrie z wysiłkiem łapie oddech. - Zmę... jestem zmęczony ....

Z zeskoczeniem przypomniał sobie, że przecież Pirrie był starym człowiekiem, słabym fizycznie, który odbył uciążliwą podróż i zaledwie parę godzin wcześniej został ogłuszony przez kulę. John zebrał siły i wolną ręką objął Pirrie’ go w pasie.

- Odpocznijmy przez chwilę - powiedział cicho. - Jeśli to dla pana za wiele niech pan wraca sam sobie poradzę.

Stali tak przez parę sekund. Pirrie dygotał przyciśnięty do Johna, Potem wyprostował cię,

- W porządku - odetchnął.

- Na pewno?

Zamiast odpowiedzi Pirrie ruszył do przodu. Byli przed samą barykadą, a potem ze nią,

John obejrzał, się. Obronne umocnienia doliny były wyraźnie widoczne w łagodnym świetle księżyca. Ne platformie byli trzej mężczyźni, a następni trzej czy czterej kulili się pod nią na ziemi. Chyba spali. Szepnął do Pirrie'go:

- Tutaj!

- Dajmy sobie szansę - odszepnął Pirrie. - Wydłużmy dystans... Mogę ich trafić z większej odległości, jeszcze ze dwadzieścia jardów ...

Jego głos wydawał się teraz silniejszy, Pirrie był widocznie niezniszczalny, skonstatował John, Pobrnął za nim przez spienioną wodę, uświadamiając sobie narastające zmęczenie, zdwajane przez opór prądu.

Pirrie zatrzymał się w końcu i odwrócił, ze wszystkich sił opierając się prądowi. Posunęli się jakieś dwadzieścia pięć jardów w głąb doliny. John zajął pozycję przy lewym boku Pirrie'go.

- Niech pan spróbuje trafić tego po prawej - szepnął Pirrie.

- Ja poradzę sobie z pozostałymi dwoma.

- Najpierw tych przy karabinie - przypomniał John.

Pirrie nie ręczył mu odpowiedzieć. Podniósł karabin do ramienia, a John uczynił to samo, tylko o wiele wolniej.

Karabin Pirrie'go plunął ogniem; i w świetle Księżyca sylwetka mężczyzny na górze wyprostowała się i z krzykiem bólu stoczyła cię na dół, czepiając się krawędzi platformy i nie trafiając. John wystrzelił do swojego celu, ale chybił. Większą niespodzianką było, że drugi strzał Pirrie'go również chybił. Dwaj mężczyźni pozostali na platformie skoczyli do karabinu maszynowego i próbowali go obrócić. Pirrie strzelił ponownie i jeden z nich upadł w poprzek broni. Dragi odepchnął go i zdołał odwrócić całe urządzenie. John i Pirrie ponownie dali ognia, bez rezultatu. Postacie leżące na ziemi zerwały się sięgnęły po broń. Wtedy karabin maszynowy przemówił staccato, zionąc ogniem.

Zdołał wystrzelić najwyżej tuzin naboi, zanim Pirrie dostał swoją trzecią ofiarę i śmiertelny odgłos zamilkł. Mężczyźni spod platformy zaczęli teraz do nich strzelać, ale w porównaniu z serią karabinową świst pojedynczych kul wydawał się niegroźny.

Pirrie powiedział: Drabina ... nie dopuszczaj ich do platformy ...

Jego głos był znowu słabszy, ale John zobaczył, że ponownie ładuje karabin i ze zwykłą szybkością i precyzją, trefię następną sylwetkę, które zaczęła wspinać się na drabinę prowadzącą na platformę. John próbował złowić uchem jakieś odgłosy świadczące o obecności Rogera i innych ze barykadą, ale nie słyszał nic. Musieli już dojść do barykady. Popatrzył na czarną linię wyznaczającą jej szczyt, szukając sylwetek, które powinny przez nią przechodzić.

Nagle Pirrie powiedział całkowicie naturalnym i niewymuszonym tonom;

- Proszę to wziąć.
John zobaczył, że podaje mu swój karabin.
- Dlaczego ...? - zapytał.
- Ty głupcze - powiedział Pirrie. - Jestem ranny.
Nad powierzchnią wody zagwizdała kula. Przyglądając się z bliska Pirrie'mu John zobaczył, że jego koszula jest na ramieniu rozdarta i zakrwawione. Wziął karabin, wrzucając swoją strzelbę do wody.
- Oprzyj się na mnie - powiedział do Pirrie'go.
- Nieważne, Drabina!
Ne drabinę wspinała się następna postać. John strzelił, załadował ponownie, strzelił ... Za trzecim razem trafił. Odwrócił się do Pirrie'go.
- A teraz ... - zaczął.
Ale Pirrie'go nie było. Johnowi wydawało się, że zobaczył jego ciało kilka jardów dalej, ale nie był pewien. Na szczycie barykady zaroiły się postacie i jedna z nich zawładnęła już karabinem maszynowym, kierując go na dół.
Zobaczył, że pozostali obrońcy odrzucają broń, a wtedy, przemarznięty i krańcowo wyczerpany, zaczął rozglądać się za najlepszym miejscem, żeby wyjść na brzeg.

ROZDZIAŁ 13

Do tego pokoju wchodzili niegdyś ramię w ramię z Davidem, kurczowo ściskając się za ręce, zwalczając w ten sposób swój strach i niepokój w obliczu tajemnicy śmierci - żeby zobaczyć ciało dziadka Beverley. Pokój w ciągu minionych lat zmienił się bardzo niewiele.
David nigdy nie czuł potrzeby, żeby unowocześnić swoje otoczenie.
Ann powiedziała: - Kochanie, przepraszam za wczorajszej nocy. - Nie odpowiedział. - Teraz będzie inaczej .Miałeś rację.
A po południu tego odległego dnia z Lepeton przyjechał doradca prawny i nastąpiło odczytanie testamentu, i zakłopotanie i poczucie winy Davida, kiedy dowiedzieli się, że dziadek zostawił mu wszystko - zarówno ziemię, jak i pieniądze, ponieważ dobry farmer nigdy, jeśli może, nie rozdziela tych dwóch rzeczy. Cóż, pomyślał, w końcu je to dostałem.
- To nie twoja wina - powiedziała Ann. - Nie wolno ci tak myśleć.
Jego matka powiedziała wtedy: - Nie jest ci przykro z tego powodu, prawda, kochanie? Wiesz, że to nie znaczy, że dziadek cię nie lubił. Bardzo cię lubił. Powiedział mi o tym. Wiedział, że David chce być farmerom, a ty nie chcesz. To znaczy, że tobie przypadną wszystkie moje pieniądze - wszystko, co zostawił twój ojciec, Będziesz mógł otrzymać najlepsze wykształcenie, jakie może otrzymać inżynier. Rozumiesz to, prawda?
Powiedział wtedy, że tak, bardziej zakłopotany jej poważnym

tonem, niż tym, co mówiło. Zawsze się spodziewał, że Ślepa Dolina przejdzie na Davida; ani ziemia, ani pieniądze nie liczyły się wobec zalewającego go uczucia niesmaku, odrazy, wobec faktu i obecności śmierci. Teraz, kiedy było już po pogrzebie i podniesiono ciężkie zasłony, chciał tylko jak najszybciej zapomnieć o tym ponurym cieniu.

- Będziesz miał więcej, niż dosyć, kochanie - powiedział wtedy jego matka. Kiwnął głową niecierpliwie, pragnąc uwolnić się od tej rozmowy, będącej ostatnią kroplą dopełniającą czarę goryczy. Nie zwrócił uwagi na nalegający ton matki, podobnie jak w następnych latach nie zauważał, że stawała się coraz bledsza i szczuplejsza. Nie wiedział, że matka na przed sobą już niewiele życia ale ona wiedziała.

- Johnny - powiedziała Ann, Podeszła i położyła mu rękę na ramieniu. - Musisz się z tego otrząsnąć,

A potem przypomniał sobie, były wakacje z ciotkami i jego przyjaźń z Davidem, pogłębiana jeszcze przez ich wspólne osamotnienie . Czyżby pod tym wszystkim kryła się uraza, zazdrość o to, co miał jego brat - nienawiść ukrywana nawet przed sobą? Nie mógł to uwierzyć, ale ta myśl uczepiła się go i nie dawała się zagłuszyć.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Ann. - Dzieci mogą tu

rosnąć w spokoju, nawet jeśli cały świat obróci się w ruinę. Davey będzie uprawiał ziemię w dolinie. - Spojrzała szybko na ciało leżące na łóżku. - David pragnął tego bardziej, niż czegokolwiek w świecie.

Wtedy John powiedział. - Nie tylko będzie uprawiał tę siemię, Więcej. Będzie ją posiadał. To ładny kawałek ziemi. Chociaż nie tak duży, jak to, co Kain zostawił Enochowi.

- Nie wolno ci tak mówić. Poza tym to nie ty go zabiłeś.

- Czyżby? Nie wiem. Ale będziemy winić Perry'ego, prawda? Pirrie odszedł, porwany przez rzekę, i odtąd ta ziemia znowu popłynie mlekiem i miodem, i zakwitnie niewinnością. Czy tak jest dobrze?

- John! To był Pirrie.

Popatrzył na nią. - Pirrie dał mi swój karabin - musiał już wiedzieć że z nic koniec. A kiedy zobaczyłem, że zniknął pod wodą chciałem rzucić ten karabin ze nim - to była broń, która przyprowadziła do doliny, zabijając na swojej drodze poprzez Ann.

Mógłbym bez niej o wiele dotrzeć do brzegu, a byłem śmiertelnie zmęczony. Ale zachowałem ją.

- Ciągle jeszcze możesz ją wyrzucić - powiedziała. - Nie musisz trzymać.

- Nie, Pirrie miał rację. Nie wyrzuca się dobrej broni.

Popatrzył na karabin spoczywający na komodzie. - Będzie należała do Davey'a, kiedy dorodnie.

Ann drgnęła lekko. - Nie! Nie będzie jej potrzebować. Wtedy zapanuje pokój.

– Enoch był mężem pokoju. Żył w mieście, które zbudował dla

niego ojciec, Ale zawsze nosił sztylet ojca przy boku.

Podszedł do łóżka, pochylił się i ucałował twarz brata. Zaledwie kilka dni wcześniej całował inna martwą twarz, ale między jednym a drugim hołdem minęły wieki . Kiedy odwrócił się do drzwi, Ann zapytała;

– Dokąd idziesz?

– Jest mnóstwo robót. - odpowiedział. - Musimy zbudować miasto.